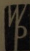
Jerzy Dowiat

CHRZEST POLSKI



Wiedza Powszechna 1958

Rozdział pierwszy

GDY SŁOWIANIE BYLI POGANAMI

Wędrowcowi, który przebiega drogi naszego kraju, oznajmiają bliskość większego osiedla ukazujące się na widnokręgu wieże kościelne. Jeśli nie kościół, to kapliczki przydrożne, figury Matki Boskiej, różne świątki przypominają o chrześcijańskiej przeszłości Polski. Zabytkowe budownictwo sakralne i rzeźba kultowa nadały tak silne piętno krajobrazowi, że bez nich — zdawałoby się — trudno sobie wyobrazić nasze miasteczka i wioski. Dla polskiego malarza wiejski kościółek jest nieodzownym elementem pejzażu, niejedna święta figura czy krzyż na rozstajach staje się wdzięcznym tematem artystycznej fotografii.

A jednak wszystko to, choć tak na pozór zrośnięte nierozerwalnie z naszą ziemią, jest zjawiskiem historycznym. Nie zawsze wystrzelały wieże kościelne ponad osady ludzkie, nie zawsze rozstajnych dróg pilnowały kapliczki, nie zawsze cmentarz rozpoznawało się po krzyżach. Przed tysiącem lat nie było w Polsce ani kościołów, ani krzyżów; ludność Polski nie znała wówczas chrześcijaństwa.

Jakże trudno wyobrazić sobie owe czasy! Nie tylko przecież z krajobrazu wyobraźnia nasza musi usunąć ślady chrześcijaństwa. Również obyczaj ludowy, chociaż dawne pamięta on dzieje i niejedno do dziś zachował z zamierzchłych, pogańskich jeszcze czasów, nasiąknął mocno przez tysiąc lat panującym kultem i wiele jest w nim szczegółów, które dopiero chrześci-

jaństwo przyniosło. Tak więc tysiąc lat temu nie witali się na wsi polskiej starcy pozdrowieniem: „Pochwalony Jezus Chrystus", nie roiły się w niedziele drogi od ludu spieszącego do kościoła, nie zbierały się w majowe popołudnia kobiety i dziewczęta pod figurami Matki Boskiej. Nic nie wiedziano o chrztach, ślubach czy egzekwiach. Nie znano dźwięku dzwonów kościelnych. W domu matka przed przekrajaniem bochenka chleba nie kreśliła na nim znaku krzyża. W wiosenne święta nie noszono jadła, by je ksiądz poświęcił. Świąt zimowych nie nazywano Gwiazdką, pieśni śpiewane w tych dniach nie były kolędami.

Inna wtedy panowała wiara, inne były obyczaje. Polska była pogańska.

Może łatwiej by nam było wyobrazić sobie ówczesne życie, gdybyśmy więcej o nim wiedzieli, gdybyśmy znali dokładnie wierzenia naszych przodków i z wiary ich wypływające obyczaje. Niestety! Chociaż nauka odsłania przed nami coraz więcej nie znanej dotąd przeszłości, pogaństwo polskie jest wciąż jeszcze dla nas pojęciem bardzo niejasnym.

Jeżeli wiemy, że ktoś jest katolikiem czy protestantem, mahometaninem czy buddystą, to tym samym wiemy już w zasadzie, w co on wierzy. Katolicyzm, protestantyzm, islam są to bowiem określone systemy religijne, znane nam, i w swoich najważniejszych formach — a tym bardziej w treści — jednakowe w każdym kraju i w każdym społeczeństwie. Pogaństwo natomiast nie jest takim określonym systemem. Wyrazem tym określano różne kulty przedchrześcijańskie. Sama nazwa zrodziła się jeszcze w starożytności w cesarstwie rzymskim. Gdy mianowicie cesarze rzymscy wyrzekli się swych dawnych bogów i przyjęli chrześcijaństwo, które w ten sposób stało się religią panującą w państwie, po pewnym czasie zaczęli prześladować wyznawców dawnego kultu. Jedynie w odległych wioskach utrzymywała się stara wiara. Łacińską nazwą mieszkańców takich wiosek — „pagani" — zaczęto więc określać tych, którzy jeszcze nie nawrócili się na chrześcijaństwo. Ale w samym cesarstwie rzymskim różne w starożytności wyznawano

kulty i nie wszyscy „pagani" wierzyli w to samo, choć na ogół wspólne im wszystkim było bałwochwalstwo, to znaczy oddawanie czci boskiej posągom uczynionym ręką ludzką, czyli bałwanom.[1] W późniejszym języku zwano więc pogaństwem wszelkie kulty oparte na bałwochwalstwie, a także kult sił przyrody. W każdym jednak kraju to pogaństwo wyglądało inaczej. Pogaństwo słowiańskie na pewno niewiele miało wspólnego z religią starożytnych Greków i Rzymian.

Nie o każdym pogaństwie mamy jednakowo obszerne wiadomości. Znamy na przykład dość dokładnie bogów, wierzenia i obrzędy starożytnych Egipcjan, Greków czy Rzymian, bo ludy te osiągnęły już wtedy wysoki stopień cywilizacji, a w szczególności znały pismo. Grecy i Rzymianie mieli swych historyków, wielkich poetów i filozofów, z których pism dowiadujemy się wiele o życiu i religii ówczesnego społeczeństwa. Nieporównanie mniej wiemy natomiast o wierzeniach tych ludów, które znajomość pisma posiadły dopiero po przyjęciu chrześcijaństwa, jak Germanowie i Słowianie. Nie mając swej literatury, nie mogli słowiańscy poganie sami uwiecznić swych bogów. Tylko obcy, przeważnie niemieccy kapłani chrześcijańscy zanotowali to i owo o zwyczajach i wierze Słowian. Relacje te mają jednak niewielką stosunkowo wartość. Ich autorzy albo znali kult słowiański bardzo powierzchownie, albo nawet nie znali go wcale, a podawane przez nich szczegóły dyktowała im własna fantazja. Nic w tym dziwnego: nie rozumieli przecież najczęściej nawet języka Słowian. Taki na przykład niemiecki proboszcz Helmold, żyjący w XII wieku, który napisał kronikę Słowian połabskich, wtedy jeszcze w znacznej części pogan, podaje kilka imion bogów słowiańskich, niestety tak przekręconych, że nie można z całą pewnością odtworzyć ich poprawnego brzmienia.

Nawet jednak owe pełne błędów relacje dotyczą głównie tej części Słowiańszczyzny, z którą Niemcy stykali się najbar-

---

[1] W religiach późniejszych i bardziej rozwiniętych posągi i inne wizerunki są uważane jedynie za wyobrażenie lub symbol niewidzialnego bóstwa.

dziej bezpośrednio, to znaczy najbliższej im Słowiańszczyzny połabskiej. O pogaństwie w Czechach czy w Polsce nie znamy ani jednej notatki, która by pochodziła z czasów przed przyjęciem przez te kraje chrześcijaństwa. Dopiero później, w formalnie ochrzczonym już kraju, duchowieństwo miejscowe pośród wyrzekań na złych chrześcijan, nie wypełniających należycie obowiązków religijnych i zachowujących obyczaje pogańskie, pozostawiło czasem jakąś wzmiankę informującą o charakterze dawnego kultu. Tak więc czeski kronikarz z XII wieku, Kosmas, pisze, że jeszcze za jego czasów modlą się niektórzy Czesi do starych bogów, i nawet ich wylicza, nadając im jednak — niestety — imiona bóstw grecko-rzymskich. W Polsce podobny materiał zawierają teksty kazań, z których można się na przykład dowiedzieć, że w kilka wieków po przyjęciu chrześcijaństwa wciąż jeszcze krzewiły się obrzędy zakazywane przez Kościół, podczas których śpiewano pieśni na cześć bogów pogańskich: Łady, Kupały i innych. W jakim stopniu te wiadomości odpowiadały prawdzie, wyjaśnimy później.

Mimo że pewne zwyczaje z czasów przedchrześcijańskich zachowały się długo, to jednak mieszały się z nowymi, przyniesionymi przez Kościół, a właściwy kult pogański zanikł w ciągu kilku pokoleń zupełnie. Że zaś, jak widzieliśmy, nie pozostawił on właściwie żadnych śladów w piśmiennictwie, przeto już w wieku XV kanonik krakowski Jan Długosz, autor pierwszych *Dziejów Polski*, znalazł się w nie lada kłopocie, gdy mu przyszło opisywać pogańską religię Polski. A uważał, że tematu tego pominąć w swoim dziele nie powinien. I rzeczywiście nie pominął. Jego *Dzieje*... przyniosły po raz pierwszy w naszej literaturze dość obszerne przedstawienie polskiego pogaństwa. Przytoczymy je w całości:

„...Polacy w pierwszych swego narodu zawiązkach byli bałwochwalcami i czcili wielką liczbę bogów i bogiń, jako to Jowisza, Marsa, Wenerę, Plutona, Dianę, Cererę, zaraziwszy się błędami innych ludów pogańskich.

Nazywali zaś Jowisza w swoim języku Jesse, wierząc i mniemając, że od niego jako najwyższego boga wszystkie dobra

doczesne i wypadki tak pomyślne jako i przeciwne pochodziły. Jemu też przed innymi bogami większą cześć oddawali i częstsze składali ofiary.

Marsa, którego marzenia poetów zrobiły bogiem wojny, nazywali Ładą. Modlili się do niego o odwagę i zwycięstwo nad nieprzyjaciółmi, czcząc go nader dzikimi obrządkami.

Wenerę zwano Dziedzilią, którą uważając za boginię małżeństwa błagali o użyczenie licznego w synach i córkach potomstwa.

Pluto u nich nazywał się Nija. Mieli go za stróża piekieł i zachowawcę dusz po ich wyjściu z ciała; błagali go zatem, aby po śmierci zaprowadził ich do lepszych siedlisk podziemnego świata.

Wybudowali im też najpierwszą w Gnieźnie świątynię, do której się ze wszystkich stron zgromadzali.

Dianę przesądem pogańskim wyobrażali sobie jak niewiastę i dziewicę, do jej przeto posągu mężatki i panny znosiły wieńce w ofierze.

Ceres czczona była od ziemian i rolników, którzy w zawody składali na jej cześć obiaty ze zboża ' ziarna.

Mieli też za bóstwo pogodną porę, którą w mowie swojej nazywali Pogodą, jakoby dawczynię pogodnego czasu. Nie mniej bożka życia, którego nazywali Żywie.

A że władztwo Lechitów założone było w kraju rozległym, przerosłym lasami i gajami, o których starożytni mniemali, jakoby były mieszkaniem i krainą panowania Diany, Cererę zaś wyobrażali sobie jakoby matkę i boginię urodzajów polnych, których kraj potrzebował, przeto Diana w ich języku Dziewanną, a Ceres Marzanną zwana w osobliwszej u nich były czci i poszanowaniu.

Tym przeto bogom i boginiom Polacy budowali świątynie i posągi, ustanawiali kapłanów i rozmaite obrzędy, poświęcali gaje w miejscach celniejszych i ludniejszych do oddawania im czci i pokłonów. Tam zgromadzający się mężczyźni i kobiety wraz z dziećmi czynili ofiary i całopalenia z trzód, bydła i zwierzyny, a niekiedy z ludzi pojmanych w bitwie. Mieli też

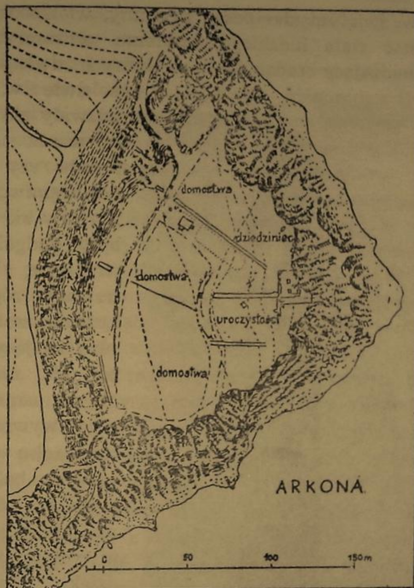
przesądne nabożeństwo wylewania ofiar na ubłaganie mnogich bożyszcz krajowych i w pewnych dniach i porach roku ustanowione igrzyska, na które zwoływano z miast lud obojej płci z siół i osad. Te igrzyska obchodzili rozpustnie śpiewaniem i rozwiązłymi ruchy, niekiedy klaskaniem, wykręcaniem się lubieżnym i inną swawolą w pieśniach, igraszkach i sprośnych uczynkach, przy czym wzywali pomienione bóstwa przyjętym zwyczajem. Obrządki takowe i niektóre ich zabytki, lubo od pięciuset lat, jak wiadomo, Polacy wiarę chrześcijańską przyjęli, aż do dzisiejszych czasów powtarzają się corocznie w dni Zielonych Świątek, przypominając bałwochwalstwo pogańskie igrzyskiem zwanym w ich języku Stado, ponieważ na nie gromady zbierają się ludzi, którzy podzieleni na stada, czyli rzesze szaleńców i rozkoszników, radzi obchodzą one świątki godowaniem i swobodnymi wczasy." [1]

Badacze pogaństwa polskiego czerpali także z nierównie liczniejszych relacji kronikarzy o kulcie pogańskim na słowiańskiej wyspie Rugii, gdzie w miejscowości Arkona znajdowała się jeszcze w XII wieku słynna świątynia bożka Świętowita. Mniemano bowiem, że formy kultowe zachowane stosunkowo tak długo na Rugii były zbliżone do tych, które przed przyjęciem chrztu panować musiały w Polsce.

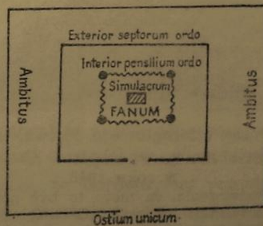
Najwięcej szczegółów o Arkonie przekazał kronikarz duński, Saxo Gramatyk. Warto się z jego opowieścią zapoznać.

„W środku miasta — pisze Saxo — znajdował się plac, na którym stała świątynia drewniana o misternej budowie. Zewnętrzny jej obwód dokładną płaskorzeźbą się odznaczał, przedstawiając prostą i nie wydoskonaloną sztuką malarską postacie najrozmaitszych rzeczy. Jedno tylko było wejście. Samą świątynię podwójny rząd ogrodzenia otaczał, z których zewnętrzne, ze ścian złożone, dach czerwony pokrywał, wewnętrzne, czterema słupami podparte, zamiast ścian świeciło czerwonymi zawieszonymi zasłonami i z zewnętrznymi ścianami było połączone tylko kilku poprzecznymi tramami.

[1] *Jana Długosza dziejów Polski ksiąg dwanaście*, przekład Karola Mecherzyńskiego, Kraków 1867, str. 39—40.







Rozplanowanie i rekonstrukcja świątyni Świętowita w Arkonie na Rugii

Według L. Niederlego, wybitnego slawisty czeskiego

W świątyni stał posąg ogromny, wielkością przewyższający postać ciała ludzkiego, czterema głowami i tyluż karkami wzbudzający zadziwienie, z których dwie w stronę piersi, a dwie w stronę pleców zdawały się patrzeć. Zresztą wzrok umieszczonych z przodu czy tyłu głów jednej w prawo, drugiej w lewo zdawały się zwracać. Brody były podgolone, włosy postrzyżone. W prawej ręce trzymał róg z rozmaitego kruszcu zrobiony, który kapłan znający się na ofiarach co rok napełniał miodem, aby ze samego stanu napoju mógł wywnioskować o obfitości roku przyszłego. Lewa ręka na boku wsparta tworzyła łuk. Szata dochodząca aż do goleni kończyła się w tym miejscu, w którym, dzięki zastosowaniu rozmaitości drzewa, były połączone z kolanami tak niewidocznie, że miejsce ich spojenia tylko przy bacznej uwadze można było dostrzec. Nogi dotykały gruntu, a podstawy ukryte były w ziemi. Opodal widziało się uzdę i siodło bóstwa i kilka innych oznak boskości. A podziw dla nich zwiększał się z uwagi na miecz znacznej wielkości, którego po-



Posąg czterogłowego bóstwa, tzw. Światowida, wydobyty ze Zbrucza w roku 1848.

Podejrzenia, że może to być późny falsyfikat, okazały się niesłuszne. Posiąg ze Zbrucza różni się jednak znacznie od przytoczonego opisu Świętowita arkońskiego w kronice *Saxo Gramatyka* i nie może być z nim identyfikowany

chwa i rękojeść rzucały się w oczy zewnętrznym wyglądem srebra i znakomitej ozdoby rzeźbiarskiej.

Uroczysty obrządek na jego cześć w ten sposób się odbywał. Raz do roku po zbiorze plonów zbierał się różnorodny tłum przed świątynią bóstwa, a odprawiwszy ofiary ze zwierząt odbywał uroczystą ucztę pod pozorem kultu. Kapłan świątyni, odznaczający się wbrew powszechnemu miejscowemu zwyczajowi długością spadających włosów, na dzień przed mającym się odbyć nabożeństwem najstaranniej oczyszczał miotłą wewnętrzną świątynię, do której on sam tylko miał prawo wstępować. Strzegł się przy tym, aby tchu wewnątrz świątyni nie wypuścić; ilekroć miał oddech wciągnąć lub wypuścić, tylekroć biegał do drzwi, widocznie, aby obecność bóstwa nie została pokalana przez zetknięcie się z oddechem śmiertelnika.

Następnego dnia, gdy lud rozłożył się przed drzwiami pod gołym niebem, kapłan, wyjąwszy bóstwu kielich, ciekawie badał, czy coś z miary wlanego napoju nie ubyło, co by było oznaką nieurodzaju w przyszłym roku. Gdy to stwierdził, nakazywał zachować płody na czas przyszły. Jeżeli zauważył, że nic ze zwykłej ilości nie ubyło, przepowiadał, że przyjdą czasy urodzaju ziemiopłodów. Zgodnie z taką coroczną wróżbą napominał bądź do obfitszego, bądź do oszczędniejszego zużywania zapasów. Wylawszy potem stary miód u stóp bóstwa, nalewał świeżego do pucharu, oddawszy następnie cześć posągowi, jakby przypijając do niego, prosił uroczystymi słowami to dla siebie, to dla ojczyzny o dobra doczesne i pomnożenie dostatków i zwycięstw dla obywateli. Po czym przyłożywszy do ust puchar, pijąc jednym haustem, szybko go wysuszał, a napełniwszy świeżym miodem znowu wsuwał w prawą rękę posągu. Przynoszono także w ofierze kołacz przyprawiony miodem, okrągłego kształtu a takiej wielkości, że dorównywał prawie wysokości człowieka. Stawiając go pomiędzy sobą a ludem, zwykł się pytać kapłan, czy go Rugianie widzą. Gdy ci odpowiadali, że go widzą, wypowiadał życzenie, aby za rok nie mogli go zobaczyć. Tym życzeniem obejmował on nie tyle

swoją lub ludu przyszłość, ile pomyślny urodzaj w przyszłości w ogóle.

Następnie w imię bóstwa naradzał się z obecnym ludem i upominał go, aby i nadal pilnym składaniem ofiar oddawał cześć bóstwu. I obiecywał jako najpewniejszą nagrodę za tę cześć zwycięstwo na lądzie i morzu. Zakończywszy w ten sposób uroczystości, pozostałą część dnia zużywali na zbytkowne biesiadowanie i obracali przyniesione na ofiarę zapasy na ucztowanie. Przekroczenie wstrzemięźliwości uważano w tej uczcie za czyn pobożny, a jej zachowanie za bezbożność miano.

Każdy mężczyzna i każda niewiasta rocznie składali pieniążek na cześć bóstwa jako dar. Odmierzano mu także trzecią część zdobyczy wojennych, tak jak gdyby zostały dokonane pod jego dowództwem. Bóstwo to miało wyznaczonych do służby trzysta koni i tyluż jeźdźców na nich służbę odbywających. Wszelki zysk zdobyty przez nich bronią lub kradzieżą oddawano pod nadzór kapłana, który z tych zdobyczy różnego rodzaju zbierał ozdoby i upiększenia i układał w skrzynie zaopatrzone zamkami; a w tych prócz kosztowności i pieniędzy było ułożonych wiele purpurowych tkanin ze starości nadpsutych. Tamże znajdowało się dużo darów publicznych i prywatnych, zebranych przez gorliwe śluby tych, którzy prosili o łaski.

Bóstwo to miało także inne świątynie w wielu miejscach, którymi opiekowali się kapłani prawie równej zażywający czci, ale mniejszej władzy. Oprócz tego posiadało ono osobnego konia białej maści; wyrywanie włosów z jego grzywy lub ogona uważano za czyn bezbożny. Jedynie kapłanowi było wolno zadawać mu obrok i dosiadać go, aby przez częste używanie koń nie stał się pospolity. Na tym koniu, jak wierzono powszechnie na Rugii, Świętowit — tak było na imię bóstwu — prowadził bój przeciw wrogom swej świętości. A jako widoczny na to dowód przytaczano to, że ów koń, chociaż w nocnej porze znajdował się w stajni, rano zwykle pokryty był potem i błotem, jak gdyby z nocnych wracając ćwiczeń przebiegał wielkie przestrzenie.

Wróżenie zaś z konia odbywało się w ten sposób: gdy zamierzali oni przedsięwziąć wojnę przeciw innej krainie, rozkładali słudzy przed świątynią potrójny rząd włóczni skrzyżowanych z sobą po dwie w każdym rzędzie, które wbijano ostrzem w ziemię; rzędy te były w równej odległości od siebie. Gdy miała być przedsięwzięta wyprawa, kapłan odmówiwszy solenne modły wyprowadzał ze stajni konia, upiększonego rzemieniami, by przeszedł przez włócznie. Jeżeli przestąpił ustawione przed nim rzędy najprzód prawą, a nie lewą nogą, przyjmowano to jako pomyślny znak dla prowadzenia wojny; jeżeli lewą chociaż raz tylko przed prawą podniósł, porzucano zamiar najechania owego kraju. Nie prędzej też przepowiadano pewność żeglugi, aż stwierdzono trzy po sobie następujące znaki pomyślnego przejścia. Do innych także zajęć się zabierając, z pierwszego przejścia zwierzęcia brali wróżbę dla swych poczynań. Gdy ta była pomyślna, sprawę chętnie dalej przeprowadzano, gdy niepomyślna, zmieniwszy kierunek do domu wracali. Był im także dobrze znany zwyczaj losowania; mianowicie trzy kawałki drewna, białe po jednej, czarne po drugiej stronie, rzucali na podołek zamiast losów i określali powodzenie białymi a niepowodzenie czarnymi. Lecz nawet kobiety nie były wolne od tego rodzaju wróżenia, siedząc mianowicie przy ognisku kreśliły bez liczenia na chybił trafił linie w popiele i jeżeli wykreśliły parzystą liczbę, miały to za oznakę powodzenia, jeśli zaś nieparzystą, uważały to za zwiastuna nieszczęścia."[1]

Tyle kronikarz. Na tych dwu głównie tekstach — Długosza i Saxo Gramatyka — budowano jeszcze pół wieku temu wyobrażenia o polskim pogaństwie. Popularyzowały je dawne podręczniki, wzbogacała fantazja poetów i powieściopisarzy. Największy wpływ na powszechny pogląd społeczeństwa na polskie pogaństwo wywarła znana powieść historyczna Józefa Ignacego Kraszewskiego *Stara Baśń*, osnuta na tle stosunków panujących na ziemiach polskich za mitycznego Popiela i Pia-

---

[1] *Saxonis Gesta Danorum*, wyd. J. Olrik i H. Raeder, Hauniae 1931, księga XVI, rozdział 39. Tekst polski wg: G. Labuda, *Słowiańszczyzna pierwotna*, Warszawa 1954, str. 232—236.



Ruiny na Ostrowie Lednickim, gdzie według dawniejszych badaczy miała się znajdować świątynia pogańska

sta. Kto pamięta opisy zawarte w tej pięknej i ciekawej powieści, łatwo teraz spostrzeże, jak bardzo pełną garścią czerpał jej autor z przytaczanych wyżej źródeł. Bogi pogańskie *Starej Baśni* — to bogi zarejestrowane przez Długosza. Świątynia na Ostrowie Lednickim w przedstawieniu Kraszewskiego — to bliska krewna arkońskiego chramu Świętowita.

Źródła te jednak nie mogły wystarczyć powieściopisarzowi. Aby dać obraz barwny, za mało mimo wszystko było w nich szczegółów. W pomoc przyjść musiała znajomość obyczajów ludowych — dała ona między innymi żywy opis „nocki Kupałowej", obrzędu znanego dziś pod nazwą nocy świętojańskiej. Gdzie zaś i te nie wystarczyły, sięgał Kraszewski swobodnie po szczegóły kultu pogańskiego innych ludów i uzupełniał nimi obraz życia naszych przodków. Tak na przykład dziewice, które w lednickim chramie pilnują wiecznie płonącego znicza, to obyczaj zupełnie nie znany w Słowiańszczyźnie. Stworzyła go fantazja autora *Starej Baśni,* który w tym wypadku przeniósł

na ziemie polskie starorzymski kult bogini Westy i rzymskie kapłanki-dziewice, zwane westalkami. Gdy zaś Kraszewski każe jednej z tych dziewic wróżyć Popielowi, w opisie tej wróżby z łatwością można odnaleźć jej wzór: grecką wyrocznię delficką.

Jak świadczą ostatnie przykłady, daleko *Starej Baśni* do wiernego obrazu historycznego. Nie ulega wątpliwości, że wyobraźnia i domysły autora tej popularnej powieści wniosły do niej wiele elementów obcych źródłom, a więc obcych również prawdzie historycznej.

Dlaczego więc zajmujemy się tutaj *Starą Baśnią*? Otóż chcieliśmy na przykładzie Kraszewskiego pokazać, jak musiał radzić sobie literat, który pragnął przedstawić sprawy z odległej przeszłości, o których źródła historyczne mówią zbyt mało, by móc z nich zaczerpnąć potrzebny wiarygodny materiał.

Ale teraz cofnijmy się do XV wieku. Wspominaliśmy już, że żyjący wtenczas Jan Długosz również nie dysponował żadnymi wiadomościami o pogaństwie w Polsce, które już dawno w mrokach niepamięci utonęło. A mimo to kanonik krakowski zostawił, jak widzieliśmy, stosunkowo obszerny i dokładny opis bóstw polskich. Jak więc powstał ten opis? Czy przypadkiem nie w podobny sposób, jak kilka wieków później *Stara Baśń*?

No, oczywiście! Już kilkadziesiąt lat temu udowodnił znakomity polski językoznawca i historyk kultury, Aleksander Brückner, że to, co Długosz pisał o polskim pogaństwie, to tylko jego własny wymysł. Nie wiedząc nic o tych sprawach, wyobraził sobie, że pogaństwo polskie mogło być podobne starożytnemu pogaństwu rzymskiemu, i opisał w gruncie rzeczy rzymskie bóstwa nadając im jedynie słowiańskie imiona. Imiona te zaś albo sam stworzył, albo też niektóre z nich wyczytał w starych kazaniach i uchwałach polskiego Kościoła. Ale i ten materiał nie okazuje się obecnie wiarygodny. Brücknerowi udało się wykazać, że takie rzekome nazwy bóstw jak Łada czy Lel i Polel były po prostu ludowymi przyśpiewkami tego typu, co „oj dana". Niezrozumiałe te zawołania

poczytali średniowieczni księża za imiona bogów pogańskich, a pieśni z podobnymi refrenami — za pogańskie pieśni religijne. Takie oto jest źródło owych wykazów bóstw w uchwałach synodalnych, w kazaniach, a wreszcie u Długosza.

Z tego wynika, że wiadomości Długosza o religii naszych przodków trzeba całkowicie odrzucić, a dalej — że wobec tego nie znamy ani jednej nazwy bóstwa pogańskiego z ziem polskich. Wszelkie dawniejsze rekonstrukcje polskich wierzeń pogańskich oparte o przytaczany tekst Długosza nie mają żadnej wartości naukowej, nie mają nic wspólnego z rzeczywistością. O pogaństwie polskim sądzić zatem musimy nie ze źródeł polskich, bo te w gruncie rzeczy nie istnieją, lecz ze świadectw o kulcie przedchrześcijańskim w innych krajach słowiańskich, w których zapewne panowały początkowo mniej więcej takie same stosunki społeczne, obyczaje i wierzenia.

Zastanówmy się więc, czy drugi z wyżej cytowanych tekstów, mianowicie fragment kroniki Saxo Gramatyka mówiący o świątyni w Arkonie i o formach czci oddawanej na Rugii Świętowitowi, można uważać za źródło również do poznania kultu panującego niegdyś w Polsce. Wydawało się dawniej, że tak. Dawniejsi badacze pogaństwa słowiańskiego popełniali jednak wciąż zasadniczy błąd w rozumowaniu, zapominali mianowicie, że kulty religijne ulegają w ciągu wieków przemianom. Dotyczy to zwłaszcza kultów bardziej prymitywnych, które nie miały tak jak religie nam współczesne swoich ksiąg świętych, nie miały nigdzie zapisanych zasad swej wiary. Dziś rozumiemy już dobrze, że w Polsce wieku X mogło nie być jeszcze tych form kultowych, jakie poznajemy na Rugii w wieku XII, a więc o 200 lat później.

I to jakie 200 lat! W ciągu tych dwóch wieków dokonywały się w zachodniej Słowiańszczyźnie poważne przemiany społeczne. Kształtował się ustrój feudalny, krzepły organizacje państwowe. Musiało to mieć wpływ również na przemiany w treści i formach wierzeń religijnych. Poza tym nie należy zapominać, że Rugia i inne kraje najbardziej na zachód w Sło-

wiańszczyźnie wysunięte stykały się już od dłuższego czasu z chrześcijaństwem, walczyły z chrześcijańskimi Niemcami, chrześcijańską Danią, bywały okresami przymusowo chrystianizowane. Taka sytuacja wymagała wzmocnienia własnej organizacji kultowej, sprzyjała przejmowaniu przez tamtejsze pogaństwo pewnych form od znacznie wyżej zorganizowanego chrześcijaństwa.

Nie są to czcze domysły. Już badania Brücknera, a jeszcze bardziej późniejszych uczonych, wykazały, że te formy kultu pogańskiego, które poznajemy w XII wieku w Słowiańszczyźnie północno-zachodniej, były tworem stosunkowo późnym i nie znajdują analogii w innych krajach słowiańskich. Tak na przykład wątpliwą jest rzeczą, by na innych ziemiach słowiańskich wznoszono bóstwom świątynie. Istnienie posągów bóstw poza Połabiem i Pomorzem Zachodnim daje się stwierdzić tylko na Rusi. Zorganizowana warstwa kapłańska jest również specyficzną właściwością późnego okresu pogaństwa w krajach połabskich. Małe więc, jak widzimy, mogły być podobieństwa między wyjątkowo potężną organizacją pogaństwa wytworzoną wokół rugijskiego Świętowita w XII wieku a dwieście lat wcześniejszym pogaństwem na ziemiach polskich.

Jak więc widać, próżno szukać w źródłach kronikarskich gotowego opisu wierzeń, który moglibyśmy odnieść do Słowiańszczyzny IX—X wieku, czyli do czasów bezpośrednio poprzedzających przyjęcie chrześcijaństwa przez większość ludów słowiańskich, w tym także przez Polskę. Jeśli nauka mimo to pewien obraz — bardzo ogólny i niedokładny, a w znacznej mierze hipotetyczny tylko — może ustalić, to złożyły się nań żmudne badania różnego rodzaju specjalistów: nie tylko właściwych historyków, ale i językoznawców, etnografów, ostatnio wreszcie archeologów.

W świetle tych badań najbardziej pewnie wygląda powszechna w Słowiańszczyźnie wiara w najprzeróżniejsze demony: a więc nimfy wodne u źródeł, rzek i jezior, a także leśne, górskie i polne, zwane wiłami i brzeginiami, demony nieszczęścia i choroby, zwane jędzami, duszki domowe — skrzaty

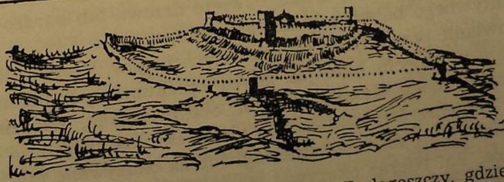
i ubożęta. Ten liczny zastęp drobnych półbóstw spełniał jednak według wierzeń ówczesnych ludzi, wierzeń, których część przetrwała do dziś w przesądach ludowych, dość ograniczone funkcje, choć o tyle ważne, że związane z wieloma przejawami codziennego życia. Trzeba było zabiegów o ich przychylność, aby zabezpieczyć się przed czyhającymi na człowieka na każdym kroku niebezpieczeństwami. Formy tych zabiegów o przychylność demonów znamy częściowo z późniejszych zwyczajów ludowych. Na pierwszy plan wysuwa się tu zostawianie jedzenia duchom oraz wszelkiego rodzaju zaklęcia.

Obok wiary w rój drobnych istot mogących szkodzić człowiekowi, jeśli się ich nie zadowoli, znali jednak Słowianie i bogów decydujących o wielu ważnych sprawach, opiekujących się całą zbiorowością — tak zwanym plemieniem, wspomagających ludzi w pracy, podróży i na wojnie, a przede wszystkim odsłaniających na prośbę swych czcicieli przyszłość. Wydaje się, chociaż nie jest to rzeczą pewną i nie wszyscy badacze są co do tego zgodni, że każda organizacja terytorialna Słowian, każde plemię czciło jedno własne bóstwo. Wskazuje na to najstarsze świadectwo pisane o religii Słowian, relacja bizantyjskiego historyka z VI wieku, Prokopiusza z Cezarei: „Uważają bowiem, że jeden tylko bóg, twórca błyskawicy, jest panem wszystkich rzeczy."[1] Wspomniany zaś już Helmold pisze: „Prócz gajów i bogów domowych najpierwszą i szczególną cześć odbierali Prowe, bóg ziemi stargardzkiej, Siwa, bogini Połabian i Radigast, bóg ziemi obodrzyckiej."[2] Mniejsza tu o nazwy niemiłosiernie poprzekręcane, z których jedynie Radigast, a raczej Radogost wydaje się prawdopodobny; tekst ten jednak świadczy, że każda ziemia słowiańska miała swego odrębnego boga. Podobny wniosek można by wyciągnąć również ze słów niemieckiego biskupa Thietmara z Merseburga, który informuje, że tyle jest u Słowian miejsc kultu, ile prowincji.

---

[1] M. Plezia, *Greckie i łacińskie źródła do najstarszych dziejów Słowian*, część I (do VIII wieku), Poznań—Kraków 1952, str. 68.
[2] G. Labuda, *Słowiańszczyzna pierwotna*, str. 228.

staw
brama A
brama B
staw
brama
domostwa
świątynia
brama
domostwa
brama C
Jezioro Lucyńskie
0 50 100 200 m



Rekonstrukcja grodu wieleckiego w Radogoszczy, gdzie znajdowała się świątynia Swarożyca
Według C. Schuchhardta

Bóstwu plemiennemu składali Słowianie ofiary, oczekiwali od niego przepowiedni. Toteż w związku z tymi wierzeniami musiała się z wolna wytwarzać pewna organizacja kultowa. Początkowo może obrzędy związane z czcią bóstwa odprawiała starszyzna plemienna. W miarę jednak jak zaczęto się zwracać do bóstwa nie tylko w sprawach publicznych, nie tylko z prośbami o dobre urodzaje czy o szczęśliwy wynik wojny, ale również w sprawach osobistych, stali się potrzebni specjalni ludzie, którzy by przyjmowali złożone ofiary, przeprowadzali wróżby i wyjaśniali ludziom wolę bóstwa. Tak powstał stan kapłański. Jego tworzenie się i rozwój przypadły zapewne na okres od X do XII wieku; dlatego szczególnie liczny i mocny stał się on w tych krajach, gdzie pogaństwo przetrwało najdłużej. W krajach zaś, które już w X wieku przyjęły chrześcijaństwo, jak Polska, Czechy i Ruś, byli wprawdzie rozmaici wróże, wyspecjalizowani w odgadywaniu przyszłości i wyroków boskich, nie tworzyli oni jednak zwartej organizacji.

Gdzie zaś nie było jeszcze takiej organizacji, tam nie stawiano świątyń i nie rzeźbiono posągów. Jako miejsce kultu wystarczało jakieś uświęcone tradycją miejsce. Mógł to być święty gaj, częściej jakieś wzgórze. Na Śląsku na przykład miejscem obrzędowym była góra Sobótka. Liczne podania związane z Łysą Górą w pasmie Gór Świętokrzyskich świadczyłyby, że w tym rejonie ona znów była otoczona szczególną czcią. Zamiast późniejszych starannie obrobionych posągów, jakim był chociażby znany nam z przytoczonego wyżej opisu Świętowit w Arkonie, czczono święte drzewa lub bardzo często prymitywnego bałwana w kształcie słupa.

Słowianie przywiązani byli do swych bogów. Bóstwo ich było bowiem w pojęciu ludu jak gdyby opiekunem plemienia. Nie odmawiali mocy również cudzym, obcym bogom. Wiedzieli, że także bóg chrześcijański — bóg niemiecki, jak zwykli go nazywać, potrafi się mścić za zniewagi lub za okazywane mu lekceważenie. Ba! Nieraz okazywał się on przecież nawet silniejszy od bogów Słowian. A jednak próby nawracania czcicieli Świętowita czy Radogosta na wiarę chrześcijańską natrafiały na

opór. Tamten bóg był bowiem bogiem obcym. Czy będzie chciał on, bóg niemiecki przecież, opiekować się szczerze naszym plemieniem? — myślano. — Czy nie będzie stronniczy? Czy nie więcej da nam nasz własny Świętowit, jeśli nawet nie tak silny, to jednak wierny?

To przywiązanie do własnego bóstwa plemiennego, wiara w jego przychylność i opiekę, było jednym z czynników niewątpliwie cementujących owe drobne organizmy polityczne. Przyszedł jednak czas powstawania większych państw, w których skład weszło po kilka, a nawet więcej dawnych państewek plemiennych. Polanie, Mazowszanie, Pomorzanie, Wiślanie i Ślęzanie znaleźli się w końcu X wieku w jednym państwie, zwanym później Polską. Z kilku plemion składało się też sąsiednie państwo czeskie. Jeszcze większą ich liczbę zjednoczyli książęta ruscy. Nawet na Połabiu, gdzie nigdy nie doszło do powstania wielkiego państwa słowiańskiego, istniejące tam państwa Obodrzyców i Wieletów powstały z kilku odrębnych terytoriów.

Jedność polityczna wymagała jedności publicznego kultu. Niezależna od siebie cześć konkurencyjnych bóstw plemiennych na poszczególnych ziemiach nie sprzyjała konsolidacji państwa. Toteż w tych słowiańskich państwach wczesnofeudalnych, które pozostały jeszcze pewien czas przy pogaństwie, nastąpiły znaczne zmiany w kulcie. Już nie mogło być mowy o ograniczeniu się do czci jednego tylko boga — opiekuna całej społeczności. Tradycje i uczucia poszczególnych grup terytorialnych w państwie nie pozwalały na to, żeby odrzucić większość bóstw lokalnych i pozostawić cześć tylko jednego z nich. Z drugiej strony jednak interes państwa wymagał względnie jednolitego systemu kultowego dla całej ludności. Stąd miejsce jednego bóstwa zaczął zajmować ich zespół. Spośród kilku bogów wyróżniał się wszelako jeden najwyższy, któremu pozostali byli podlegli. Powstawała w ten sposób hierarchia bogów, która odpowiadała stosunkom między plemionami państwa. Jedno z nich było wszakże hegemonem, doprowadziło do

zjednoczenia politycznego danej grupy plemion, panowało nad nimi. Jego bóstwo plemienne stało się wobec tego głównym bóstwem państwa, otoczonym jednak przez pozostałe bóstwa dawniej lokalne, obecnie odbierające cześć od wszystkich jako bóstwa drugiego rzędu.

Tak więc u Wieletów w ich grodzie stołecznym stanęła — jak pisze Thietmar z Merseburga — „jedna tylko świątynia, zbudowana misternie z drzewa i spoczywająca na fundamencie z rogów dzikich zwierząt. Wewnątrz zaś stoją bogowie zrobieni ludzką ręką w straszliwych hełmach i pancerzach, każdy z wyrytym u spodu imieniem. Pierwszy z nich nazywa się Swarożyc i szczególnej doznaje czci u wszystkich pogan."[1]

Podobną w treści reformę kultu pogańskiego przeprowadził w X wieku na Rusi książę kijowski Włodzimierz. Nakazał on oddawać cześć kilku bogom, których posągi zgromadził na jednym wzgórzu, ale swego własnego boga, Peruna, wywyższył jako głównego pośród nich. Kult Peruna, jako naczelnego bóstwa państwowego, został wówczas wprowadzony i w tych miejscowościach, gdzie go dotąd nie znano, na przykład w Nowogrodzie. Opowiada bowiem kronikarz ruski, że „Włodzimierz posadził Dobrynię, wuja swego, w Nowogrodzie. I przyszedłszy Dobrynia do Nowogrodu postawił Peruna bałwana nad rzeką Wołchowem; składali mu Nowogrodzianie ofiary jako bogu."[2]

Gdzie indziej może ta sama treść — stopienie się kilku kultów plemiennych w jeden kult ogólnopaństwowy — bywała wyrażana za pomocą innych form. W wielu państewkach Słowiańszczyzny połabskiej i pomorskiej spotykamy na przykład wielogłowe posągi bóstw. W Szczecinie rozwija się w XII wieku kult boga Trzygłowa, który — jak sama nazwa wskazuje — był wyobrażany z trzema głowami. Dotąd jeszcze nauka nie wypowiedziała się ostatecznie, co oznacza tak wykonany wizerunek. Nie potrafią nam tego wytłumaczyć przekonywająco nawet ci

---

[1] *Kronika Thietmara,* przekład M. Z. Jedlickiego, Poznań 1953, str. 344—346.

[2] G. Labuda, *Słowiańszczyzna pierwotna,* str. 236.




Dwugłowe popiersie, prawdopodobnie z IX—X wieku, jest jednym z nielicznych źródeł materialnych, które poświadczają istnienie w dawnej Słowiańszczyźnie posągów łączących wyobrażenia kilku postaci

kronikarze, którzy takie posągi oglądali na własne oczy. Dla przykładu: autor żywota misjonarza Pomorza, biskupa Ottona z Bambergi, wyjaśnia, że „dlatego bóg najwyższy trzy posiada głowy, bo trzema włada królestwami, to jest niebem, ziemią i piekłem."[1] Otóż łatwo udowodnić, że tłumaczenie to było tylko dowolnym domysłem obcokrajowca. Po pierwsze bowiem pojęcia nieba i piekła, naturalne dla chrześcijanina, były zupełnie obce poganom. Po drugie zaś zbyt wielkie jest podobieństwo między różnymi połabsko-pomorskimi bóstwami wielogłowymi, aby w ich pochodzeniu nie doszukiwać się jakiejś wspólnej zasady. Tymczasem wyjaśnienie kronikarza pasowałoby od biedy jedynie do Trzygłowa, nie dałoby się natomiast zastosować już do czterogłowego Świętowita z Arkony, a tym

[1] G. Labuda, *Słowiańszczyzna pierwotna*, str. 227.

bardziej do bóstw, które miewały po pięć czy po siedem głów. Nie trafia także do przekonania inna próba wytłumaczenia wielogłowości posągów, według której bogowie, jako wszystkowidzący, musieli mieć kilka głów, aby móc patrzeć na wszystkie świata strony. I w takim przypuszczeniu bowiem zbyt wyraźne są nawyki chrześcijanina, dla którego nieodłącznym atrybutem boskości jest wszechobecność. Z tego jednak, że bóg chrześcijański wszystko widzi i wszystko słyszy, nie wynika wcale, by te same właściwości mieli bogowie Słowian. Poza tym — i to będzie argumentem silniejszym — rozmieszczenie głów u Świętowita według przytaczanego już opisu Saxo Gramatyka — nie zapewnia wcale widzenia na wszystkie strony świata.

Narzuca się natomiast pytanie, czy bóstwa wielogłowe nie powstały w wyniku zastąpienia przez nie kilku odrębnych bóstw plemiennych. Jak Wieletowie łączyli kulty lokalne gromadząc wszystkie bóstwa we wspólnej świątyni, tak Szczecinianie i Rugianie ze wszystkich bóstw podlegającego im terenu uczynili, być może, jeden wspólny posąg wielogłowy. W takim razie informacja, którą przekazał nam autor żywota Ottona z Bambergi, nie byłaby wyssana z palca, lecz tylko skażona ostatnim komentarzem. Po jego odrzuceniu otrzymujemy twierdzenie, że Trzygłów „trzy posiada głowy, bo trzema włada królestwami", czyli jest bóstwem opiekuńczym trzech plemion. Cztery oblicza Świętowita odpowiadałyby wówczas czterem zjednoczonym wokół jego kultu plemionom.

W taki to różny sposób zmieniały się formy głównego kultu pod wpływem przemian społeczno-politycznych, wywołanych postępowaniem procesu kształtowania się wczesnofeudalnych państw słowiańskich.

Nie znaczy to oczywiście, że nakreślona wyżej ewolucja odbyła się do końca w całej Słowiańszczyźnie. Wyśledzić ją udało się nam jedynie na Rusi i w Słowiańszczyźnie połabskiej. W tych krajach natomiast, które wcześniej przyjęły chrześcijaństwo, a więc w Czechach, w Polsce, a przede wszystkim w Słowiańszczyźnie południowej, nie wiadomo na pewno, jaki stopień rozwoju pogaństwo zdążyło osiągnąć. Jest rzeczą wielce

prawdopodobną, że w krajach tych pogaństwo upadło, zanim weszło w swoją ostatnią fazę rozwojową. Przemawia za tym zwłaszcza brak śladów świątyń, a nawet posągów bóstw na tych terenach.

Wynika z tego, że kult pogański u Serbów, Czechów czy w państwie Piastów nie stał się instytucją państwową. Pozostał on zespołem wierzeń ludowych koncentrujących się wokół lokalnych miejsc obrzędowych. Religią państwową natomiast miało stać się dopiero chrześcijaństwo.

Rozdział drugi

LEGENDY I HISTORIA O CYRYLU I METODYM

Do tych to odległych czasów, sprzed przeszło tysiąca lat, odnosi się legenda opowiadana w polskich kołach dworskich i kościelnych w XII wieku. Podajemy ją najpierw tak, jak ją zanotował pierwszy, nie znany z imienia kronikarz polski, zwany Gallem:

„Był mianowicie w grodzie Gnieźnie, które w słowiańskim tłumaczy się jako gniazdo, książę imieniem Popiel, mający dwóch synów; przygotował on zwyczajem pogańskim wielką ucztę na ich postrzyżyny, na którą zaprosił bardzo wielu swych dostojników i przyjaciół. Zdarzyło się zaś — w myśl ukrytej woli Boga — że przybyli tam dwaj goście, którzy nie tylko że nie zostali zaproszeni na ucztę, lecz nawet odpędzeni w krzywdzący sposób od wejścia do grodu i kierując się na podgrodzie przybyli szczęśliwym przypadkiem przed domek oracza wspomnianego księcia urządzającego ucztę dla synów. Ów zaś biedak pełen współczucia zaprosił owych przybyszów do swej chatki i najuprzejmiej roztoczył przed nimi obraz swego ubóstwa. A oni, chętnie przychylając się do zaprosin ubogiego i wchodząc do gościnnej chaty, mówią mu: — Ciesz się zaiste, iżeśmy przybyli, i obyś z naszego przybycia pozyskał obfitość dobra wszelakiego, a z potomstwa honor i sławę.

Mieszkańcami gościnnej chaty byli Piast, syn Chościszka, i żona jego Rzepka; z wielkim wylaniem serca wedle możności starali się oni spełniać życzenia gości, a zauważając ich roz-

tropność gotowali się pewien poufny zamysł, jaki mieli, wykonać za ich doradą. Gdy usiadłszy wedle zwyczaju rozmawiali tak o bardzo wielu rzeczach, a przybysze zapytali, czy mają jaki napój, gościnny oracz odpowiedział: — Mam beczułkę sfermentowanego piwa, które przygotowałem na postrzyżyny jedynego syna, jakiego mam, lecz cóż znaczy taka odrobina? Jeśli chcecie, to pijcie! — Postanowił bowiem ów ubogi wieśniak... urządzić skromny posiłek przy sposobności postrzyżyn swego malca i zaprosić paru równie ubogich przyjaciół nie na ucztę, lecz raczej na skromne śniadanie; toteż karmił prosiaka, którego przeznaczał na ową potrzebę... Każą tedy Piastowi pewni siebie goście nalewać piwo, o którym dobrze wiedzieli, że przez picie nie ubędzie go, lecz przybędzie. I opowiadają istotnie, że piwa tak ogromnie przybywało, iż napełniono nim wszystkie wypożyczone naczynia i jakie tylko znaleziono próżne na uczcie u księcia. Polecają też zabić wspomnianego prosiaka, którego mięsem, jak wieść niesie, napełniono ku ogólnemu zdumieniu dziesięć naczyń, zwanych po słowiańsku: cebry. Zobaczywszy więc Piast i Rzepka te cuda, co się działy, domyślali się w tym jakiejś wróżby dla syna. I już zamierzali zaprosić księcia i jego biesiadników, lecz nie śmieli wpierw, nim się o to nie poradzą wędrowców. Po cóż zwlekać? Za radą więc gości i ich poleceniem pan ich książę i jego wszyscy współbiesiadnicy zaproszeni zostają przez kmiotka Piasta, a zaproszony książę wcale nie uważał sobie za ujmę zajść do chaty swojego wieśniaka... Urządziwszy zwyczajową ucztę i pod dostatkiem przyrządziwszy wszystkiego, goście owi postrzygli chłopaka i nadali mu imię Siemowita..." [1]

Łatwo zauważyć, że w przytoczonej legendzie mieszają się dwa elementy: miejscowa stara tradycja o ubogim Piaście, przodku późniejszej dynastii książąt i królów Polski, oraz nowe szczegóły pochodzenia kościelnego. Do tych ostatnich wyraźnie należy opowieść o cudownym rozmnożeniu piwa i mięsa, wzorowana na ewangelicznych cudach Chrystusa, w szczególności

[1] Anonim, tzw. Gall, *Kronika polska*, przełożył i opracował R. Grodecki, Kraków 1923, str. 67—68.

na cudzie w Kanie Galilejskiej. Świadectwem dawnego obyczaju Słowian pogańskich jest tu natomiast wzmianka o obrzędzie postrzyżyn, polegającym na obcinaniu po raz pierwszy włosów siedmioletniemu chłopcu i nadawaniu mu przy tym imienia.

Jak więc widzimy, legenda o Piaście opowiedziana przez Galla składa się z treści dawnej, przekazywanej ustnie z pokolenia w pokolenie, oraz z później dodawanych szczegółów. Takie są zresztą losy każdej legendy, że z biegiem czasu zmienia ona swą pierwotną postać. Nasza legenda nie przestała też rozwijać się z chwilą jej pierwszego zapisania. Następne pokolenia wciąż jeszcze dodawały do niej coś nowego, odmieniały niektóre szczegóły, przenosiły gdzie indziej miejsce akcji. Przemiany te dokonywały się jeszcze w czasach bardzo nam bliskich, bo w XIX wieku. Wtedy przybrała ona następującą postać.

Rzecz dzieje się już nie pod Gnieznem, lecz pod Kruszwicą, gdzie miał się znajdować zamek księcia Popiela. Na zamku tym, a ściślej w wieży, zwanej Mysią, miał Popiel ponieść okrutną karę za swe zbrodnie: został mianowicie zjedzony przez myszy, które rozmnażały się z taką szybkością, że nie było przed nimi obrony. Na dni bezpośrednio po katastrofie Popiela przypadły właśnie postrzyżyny syna ubogiego kołodzieja Piasta. Na uroczystość przygotował on trochę napoju i jadła dla zaproszonych sąsiadów. Tymczasem niedaleko od Piastowej chaty zebrał się lud na wiec celem wyboru nowego księcia. Zmęczeni długimi sporami wiecownicy zwiedziawszy się o uczcie u Piasta zaczęli na nią tłumnie ściągać. Gościnny kołodziej wszystkich uprzejmie przyjmował, ale stopniowo i jego, i zwłaszcza gospodarną jego żonę Rzepichę ogarniało przerażenie, wiedzieli bowiem, że nie zdołają tylu ludzi nakarmić i napoić. Zwierzyli się ze swym zmartwieniem dwom tajemniczym pielgrzymom, którzy już wcześniej przybyli pod ich dach. Ci zaś uspokoili gospodarzy i polecili im częstować gości bez obawy, aby czegokolwiek miało zabraknąć. I rzeczywiście: nie ubywało w stągwiach napoju ani w misach jadła.

W wesołym nastroju odbył się obrzęd postrzyżyn, którego dokonał jeden z pielgrzymów wypowiadając nad chłopcem niezrozumiałe dla obecnych słowa:

— W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego chrzczę cię imieniem Siemowita.

Nie zastanawiali się jednak długo goście nad tym tajemniczym odmienieniem zwykłego obrzędu. Zachwyceni przyjęciem, jakiego doznali, okrzyknęli Piasta księciem:

— Jeśliś tak dobrym gospodarzem, że z małego tyle zebrać potrafiłeś i nas ugościć, równie dobrze będziesz gospodarzył całym krajem. Bądź księciem naszym!

Tak to nieznani pielgrzymi, którymi byli apostołowie Słowian Cyryl i Metody, przyczynili się do powołania na tron polski Piasta i jego potomków.

Oto jak wygląda w nowożytnej wersji ta miła legenda. Czytając dalej zobaczymy, że późniejsze dodatki, a zwłaszcza wprowadzenie postaci Cyryla i Metodego, są czczym wymysłem. Cyryl i Metody nie chodzili po Polsce północnej i nie mogli chrzcić Siemowita. To, że trafili do legendy o Piaście, jest wyrazem kultu, jakim cała Słowiańszczyzna otaczała właśnie w XIX wieku te dwie postacie. A ponieważ w dziejach chrystianizacji Słowian odegrali oni bardzo doniosłą i pouczającą rolę, przeto musimy się z ich rzeczywistą działalnością dokładnie zapoznać.

Spośród Słowian cieszących się samodzielnym bytem politycznym najwcześniej zetknęli się z chrześcijaństwem Słowianie południowo-zachodni, to znaczy ci, którzy pierwsi stanęli w obliczu grożącej im ekspansji niemieckiej. Napór na wschód najpotężniejszego we wczesnym średniowieczu państwa, jakim było początkowo cesarstwo Karola Wielkiego, panujące nad obszarami dzisiejszej Francji, Niemiec oraz części Włoch, był bowiem uzasadniany dążeniem do rozszerzenia wpływów chrześcijaństwa. Podbijane przez cesarstwo kraje otrzymywały organizację kościelną; od władców ziem uzależnianych, ale zachowujących odrębność, żądano również często przyjęcia chrztu, który w tych razach był równoznaczny z uznaniem zwierzchnic-

twa cesarskiego. Według panujących we wczesnośredniowiecznym świecie chrześcijańskim poglądów cesarz był bowiem wraz z papieżem najwyższą władzą całego chrześcijaństwa.

Państwo Karola Wielkiego, które szczyt swej potęgi osiągnęło na przełomie VIII i IX wieku, rozpadło się już w roku 843 na trzy części. Część wschodnia, nazywana początkowo państwem wschodniofrankijskim, a znacznie później Niemcami, stała się rychło bezpośrednim sąsiadem Słowian. Toteż w dwa lata po wspomnianym podziale, w roku 845, widzimy na dworze wnuka Karola Wielkiego, króla Ludwika Niemca, 14 plemiennych wojewodów z ziem czeskich, którzy przybyli do Ratyzbony celem przyjęcia chrztu.

Czy datę tę należy uważać za początek chrystianizacji Słowian czeskich? Bynajmniej. Chrzest przywódców słowiańskich w Ratyzbonie nie był w gruncie rzeczy aktem religijnym, lecz politycznym, był potrzebny królowi niemieckiemu jako forma uznania jego zwierzchnictwa. Na praktycznym wyznawaniu nowej religii przez owych wodzów, a tym bardziej na szerzeniu chrześcijaństwa wśród całej ludności słowiańskiej wcale królowi nie zależało. Metoda narzucania nowej wiary książętom słowiańskim przy jednoczesnym braku zainteresowania dla działalności misyjnej w ich krajach była przez długi czas charakterystyczna dla Niemców. Jeszcze nawet kilka wieków później, mimo że czasy i pojęcia się już zmieniły, będziemy się spotykali ze stosowaniem tej samej metody w stosunku do Słowian nadbałtyckich, najdłużej, bo aż do XII wieku, pozostających w pogaństwie. Wtedy to misjonarz Zachodniego Pomorza biskup Otton nie mógł wyjść ze zdumienia, jak zaniedbana jest akcja misyjna na ziemiach słowiańskich, podporządkowanych arcybiskupom magdeburskim.

Jeżeli jednak łatwo zrozumieć obojętność niemieckich panujących wobec tej sprawy, to niewątpliwie budzi zdziwienie współczesnego czytelnika postawa dostojników kościelnych, biskupów niemieckich, którzy nie korzystali z politycznego sukcesu króla, by kraj nowo ochrzczonego księcia objąć gęstą siecią placówek misyjnych. Aby to zrozumieć, trzeba wiedzieć,

że Kościół ówczesny różnił się bardzo zarówno od organizacji pierwszych chrześcijan, jak i od Kościoła późniejszego, zależnego ściśle od papieża, a niezależnego od władzy świeckiej. W okresie, o którym mówimy, istniała natomiast silna więź między organizacją państwową i kościelną: biskupów mianował na ich stanowiska panujący, który przy wyborze kandydatów brał pod uwagę nie tyle ich żarliwość religijną, co przydatność polityczną. Że zaś do dostojeństw kościelnych były przywiązane wielkie nieraz dochody, więc i ubiegali się o nie niekoniecznie ludzie mający powołanie do stanu duchownego. Stąd znaczna część, jeżeli nie większość, biskupów niemieckich traktowała sprawę chrystianizacji ziem pogańskich jedynie jako narzędzie rozszerzania niemieckich wpływów politycznych. Wśród tych zaś przedstawicieli Kościoła, którzy rzeczywiście uważali się za sługi Prawdy Objawionej i których celem było istotnie szerzenie chrześcijaństwa, panowały dziwne poglądy na metody, jakie należy stosować. Nie rozumieli oni mianowicie konieczności przekonywania pogan do nowej religii. Zdawało się im, że prawda religii Chrystusa jest dla wszystkich ludzi oczywista i ci, którzy tkwią w pogaństwie, czynią tak jedynie przez złośliwość, z podszeptu szatana. Toteż za właściwy środek nawracania uważano rozkaz i zagrożenie karami, jednym słowem przymus, nie widziano natomiast potrzeby nauczania ludu ani tłumaczenia mu zasad nowej wiary. Konsekwencją tego był tak na pozór niedorzeczny fakt, że od kierowanych na ziemie słowiańskie księży nie wymagano nawet znajomości miejscowego języka.

Tam więc, gdzie w ciągu IX wieku poszczególne ludy słowiańskie wchodziły w zasięg oddziaływania politycznego Niemiec, następowały zazwyczaj tylko dwa akty, nie mające w praktyce znaczenia religijnego. Pierwszym aktem, o którym już mówiliśmy, był chrzest książąt oznaczający ich uległość wobec Niemiec. Drugim było formalne włączenie ziem tych książąt do najbliższej diecezji niemieckiej, co oprócz znaczenia politycznego miało też gospodarcze, gdyż dany kraj był odtąd zobowiązany do świadczeń materialnych na rzecz biskupa.

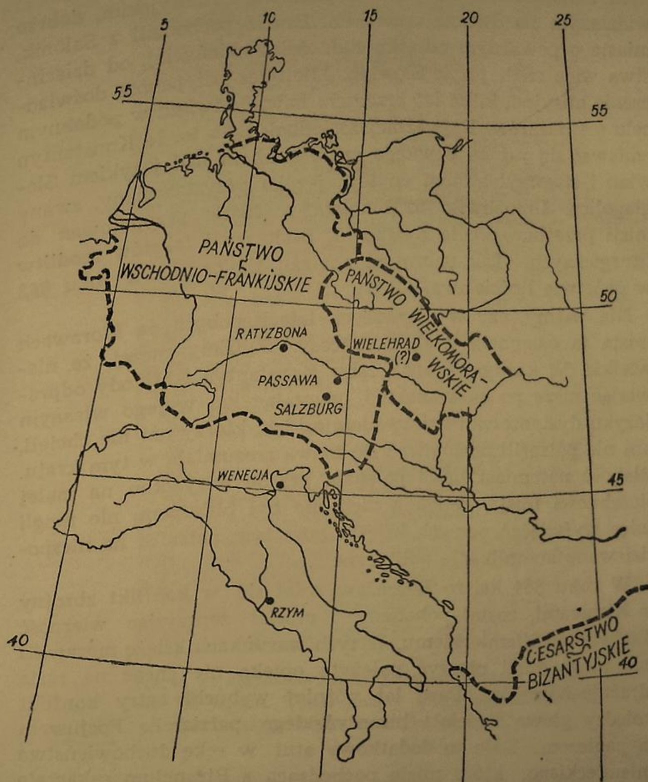
W kulturze i życiu religijnym tak „schrystianizowanego" kraju nic się natomiast nie zmieniało. Lud w dalszym ciągu o chrześcijaństwie nic nie wiedział, ochrzczeni zaś książęta czasem brali ze sobą jakiegoś kapelana, nieraz jednak również pozostawali jeszcze na długo przy wierze przodków.

Z pierwszą rzeczywistą misją chrześcijańską zetknęli się dopiero w drugiej połowie IX wieku Słowianie należący do największego ówczesnego państwa słowiańskiego, zwanego w historii państwem wielkomorawskim. Co charakterystyczne, misja ta nie była dziełem niemieckim.

Państwo wielkomorawskie istniało już na pewno w początkach IX wieku. Czytamy o nim w źródłach już pod rokiem 822, a w roku 830 pojawia się książę Mojmir, uważany za założyciela panującej tam następnie dynastii Mojmirowiców. Zetknięcie się Morawian z potęgą Cesarstwa doprowadziło do chrztu Mojmira oraz przyniosło formalne zaliczenie jego państwa do terenu niemieckiej diecezji w Passawie (Passau). Stosunkowo silne i duże państwo Mojmirowiców, obejmujące w końcu IX wieku prócz właściwych Moraw także ziemie czeskie, Panonię, Słowację, a na północy zapewne Łużyce, Śląsk i kraj nad górną Wisłą, stawiało skuteczny opór wpływom niemieckim, opór tak orężny, jak i dyplomatyczny.

Następca Mojmira Rościsław obawiał się mimo to, aby chrześcijaństwo nie przyniosło z sobą także całkowitej zależności od Niemiec. Postanowił jednak zapobiec temu nie przez walkę z chrześcijaństwem, lecz przeciwnie: przez jego upowszechnienie w kraju bez korzystania w tej akcji z pomocy duchowieństwa niemieckiego. Korzystając z okazywanej dotąd obojętności Niemców wobec potrzeb misyjnych w krajach słowiańskich Rościsław zwrócił się w roku 862 do Bizancjum o przysłanie misjonarzy. Książę kładł przy tym nacisk na to, aby misjonarze ci znali język Słowian. Cesarz bizantyński prośbie oczywiście nie odmówił, gdyż sprawa ta leżała także w jego politycznym interesie, i skierował na Morawy dwóch braci, Greków z Salonik — Konstantyna i Metodego.

Wybór ten był nadzwyczaj szczęśliwy. Konstantyn był jed-



Państwo wielkomorawskie w końcu IX wieku

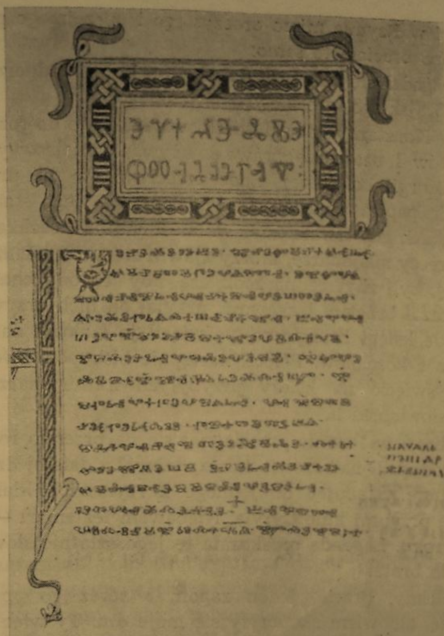
Szkic ilustruje jego położenie wobec dwóch głównych mocarstw ówczesnej Europy: cesarstwa bizantyjskiego oraz państwa wschodniofrankijskiego. Nakreślone granice Wielkich Moraw są dyskusyjne, według innych autorów sięgały one w dobie największej potęgi państwa dalej zarówno na południe, jak i na północ. Również położenie stolicy państwa, Wielehradu, nie jest pewne

nym z najuczeńszych ludzi w państwie bizantyjskim, dobrze widzianym na dworze cesarskim. Bracia pochodzili z Salonik, miasta o poważnym odsetku ludności słowiańskiej, od dzieciństwa więc znali język Słowian. Mieli też już pewne doświadczenie misyjne, kilka lat przedtem bawili bowiem w podobnym celu u Chazarów. Najważniejsze jednak było to, że Konstantyn oddawał się już od pewnego czasu studiom nad językiem Słowian i stworzył alfabet do tego języka przystosowany, zwany głagolicą. Umożliwiło to braciom w czasie przygotowań do misji przetłumaczenie *Ewangelii*, psałterza i tekstów modlitw liturgicznych. Tak uzbrojeni znaleźli się bracia w roku 863 w państwie Rościsława.

Nie wiemy, czy w pierwszych latach pobytu na Morawach misja ta osiągnęła wielkie sukcesy. Sądzimy raczej, że niewielkie. W każdym jednak razie Konstantyn i Metody odprawiając mszę po słowiańsku i nauczając lud w jego własnym języku dystansowali księży niemieckich, którzy ani nie chcieli, ani nie potrafili posługiwać się mową zrozumiałą w tym kraju. Słabość natomiast braci polegała przede wszystkim na małej liczebności misji. Żaden z nich nie był biskupem, nie mogli więc wyświęcać nowych księży. Poza tym natrafili na niespodziewane komplikacje polityczne.

W roku 864 książę Rościsław wdał się w konflikt zbrojny z Niemcami, został pokonany i musiał zaprzysiąc wierność Ludwikowi Niemieckiemu. W tych warunkach książę morawski nie mógł misji otoczyć należytą opieką nie chcąc na razie drażnić Niemców. Parę lat później wybuchł ostry konflikt między głową Kościoła bizantyńskiego patriarchą Focjuszem a papieżem. Dało to dodatkowy atut w rękę duchowieństwa niemieckiego, które misję pochodzącą z Bizancjum oskarżało o herezję. Przyszło do tego, że braćmi zainteresował się papież i kazał im stawić się przed swoje oblicze.

Porozumienie z papieżem było dla przyszłości misji słowiańskiej konieczne. Rościsława nie stać było na zrywanie z Rzymem. Toteż Konstantyn i Metody niezwłocznie udali się w podróż.



Karta ze starosłowiańskiego ewangeliarza z połowy IX wieku. Tekst pisany głagolicą, alfabetem słowiańskim wynalezionym przez Cyryla

W drodze do Rzymu bracia zatrzymali się w Wenecji. Nie spotkali się tam z dobrym przyjęciem. Zgromadzeni właśnie na jakimś synodzie okoliczni biskupi rzucili się na nich z oburzeniem.

— Jakie to stworzyliście dla Słowian księgi i jak ich nauczacie — wołali. — Przecież Bóg trzy tylko języki wybrał: hebrajski, grecki i łaciński!

Także i w Rzymie mimo uroczystego i uprzejmego przyjęcia tłumaczono braciom to samo:

— Nie godzi się używać do służby bożej żadnego języka prócz hebrajskiego, greckiego i łacińskiego.

Uczony Konstantyn sięgał w odpowiedzi na to do rozlicznych argumentów i uzasadniał prawo do używania miejscowych języków w liturgii kościelnej. Choć przeciwników nie przekonał, to jednak papież Hadrian II zaakceptował jego stanowisko. W warunkach gdy trwała ostra walka Rzymu z Kościołem greckim, ci greccy misjonarze, którzy zjawili się z uznaniem władzy papieskiej, byli zbyt cenną zdobyczą, aby ich odpychać. Toteż papież okazał braciom łaskawość, przyjął od nich przywiezione słowiańskie księgi liturgiczne, poświęcił je i złożył na ołtarzu w jednym z kościołów. Polecił następnie biskupom swego otoczenia wyświęcić na księży przybyłych z misjonarzami ich uczniów słowiańskich.

Pobyt braci w Rzymie przeciągnął się na przeszło rok. Konstantyn podupadł na zdrowiu i zrezygnował z dalszej działalności misyjnej wstępując do jednego z rzymskich klasztorów, w którym przybrał imię Cyryla. Niebawem też zmarł — 14 lutego 869 roku. Legenda przekazała te jego ostatnie słowa skierowane do brata:

— Oraliśmy, bracie, jeden zagon, a teraz go opuszczam i odchodzę, albowiem skończyły się moje dni. Ty więc nie porzucaj pracy, bo przez nią osiągniesz zbawienie.[1]

Udał się tedy znów Metody na ziemie słowiańskie zaopatrzony w list papieski, który zdejmował z niego zarzut herezji, uprawniał do odprawiania nabożeństw w języku słowiańskim i polecał misjonarza opiece książąt. Ci jednak odesłali niebawem Metodego z powrotem do Rzymu z żądaniem, aby papież wyłączył tereny objęte misją Metodego spod władzy biskupów niemieckich. W istniejącej bowiem sytuacji ani Metody nie mógł swobodnie rozwijać swej działalności, której przeciwstawiało się duchowieństwo niemieckie, ani książąt nie mogła zadowolić

---

[1] *Monumenta Poloniae Historica*, tom I, str. 98.

sama misja w języku słowiańskim, jeśliby ona nie miała prowadzić do zrzucenia zależności ich krajów od Niemiec.

Papież i tym razem ustąpił. Powołując się na to, że w starożytności, przed upadkiem cesarstwa zachodniorzymskiego, zachodnia część Półwyspu Bałkańskiego należała do zniszczonej później diecezji syrmijskiej, wskrzesił teraz tę diecezję jako metropolię obejmującą całe państwo wielkomorawskie i Panonię, a na arcybiskupa powołał Metodego. Równocześnie akty cesarskie poddające te ziemie pod władzę biskupów niemieckich zostały unieważnione.

Przeciw tym decyzjom arcybiskup salzburski natychmiast zaprotestował, ale też zdawało się, że na tym się skończy, moment bowiem był dla sprawy morawskiej bardzo dogodny. Król Ludwik Niemiecki walczył właśnie wewnątrz państwa z buntującymi się synami, następnie zajęło go powstanie Słowian nadłabskich, później zapadł poważnie na zdrowiu, a gdy po kilku miesiącach wyszedł wreszcie z ciężkiej choroby, rozpoczęła się wojna niemiecko-francuska. Biskupi bawarscy nie mogli więc liczyć na interwencję królewską w walce z Metodym i nowo kreowany arcybiskup słowiański mógł się cieszyć, że najpoważniejsze trudności ma już za sobą.

Tymczasem tak pomyślna sytuacja uległa raptownej zmianie. W roku 870 przeciw Rościsławowi wystąpił jego bratanek Świętopełk, który zwrócił się o pomoc niemiecką. Rościsław poniósł klęskę, dostał się do niewoli i skazany na oślepienie został zamknięty w jakimś klasztorze niemieckim, po czym słuch o nim zaginął. Ale i Świętopełka ominęły spodziewane korzyści. Sprzymierzeńcy niemieccy nie dotrzymali danych mu obietnic i opanowali kraj dla siebie, Świętopełk zaś stał się ich więźniem. Dopiero powstanie słowiańskiej ludności i chytre postępowanie księcia sprawiły, że w końcu 871 roku odzyskał on tron Mojmirowiców. Przez kilka lat ciągnęły się jednak jeszcze walki, aż wreszcie w 874 roku król Ludwik Niemiecki znużony niepowodzeniami zawarł ze Świętopełkiem pokój.

Przejściowe opanowanie Moraw przez Niemców było klęską dla misji Metodego. Jego działalność, i tak niełatwa, bez

poparcia władzy państwowej stawała się niemożliwa. Niemcy natomiast zyskali polityczne możliwości, aby misji Metodego położyć kres. Gdy więc przebywający w Panonii z ramienia arcybiskupa salzburskiego opat Rychbald wystąpił z oficjalną skargą, że „jakiś Grek Metody szerzy pogardę dla mszy łacińskiej", biskupi bawarscy w porozumieniu z królem Ludwikiem zwołali synod do Ratyzbony, na który ściągnęli Metodego.

Synod ten przekształcił się w sąd nad Metodym. Zarzucano mu na nim nie tyle herezję, jaką zdaniem biskupów niemieckich było nabożeństwo słowiańskie, co naruszenie praw terytorialnych biskupów bawarskich. Ci bowiem udawali, że nic nie wiedzą o wskrzeszeniu przez papieża metropolii syrmijskiej, albo też uważali ten dekret za bezprawny. W każdym razie główny zarzut przeciw Metodemu był wyrażony w pytaniu:

— Jakim prawem nauczasz w granicach naszych diecezji?

Odpowiedź na to nie była trudna. Metody powołał się na decyzje papieskie i sam z kolei oskarżył episkopat bawarski o bezprawne działanie. Synod ratyzboński nie miał przecież prawa sądzić Metodego, który był arcybiskupem, a sąd nad arcybiskupami należał wyłącznie do papieża. Ale nie o racje prawne tu chodziło. W Ratyzbonie nie silono się zbytnio nawet o pozory bezstronnego postępowania. Znajdujący się w mocy wrogów arcybiskup Słowian był przedmiotem drwin i upokorzeń. Biskup passawski Hermanryk próbował uderzyć go batem. Źródła zupełnie wiarygodne, bo listy nieprzychylnego raczej Metodemu papieża Jana VIII, stwierdzają, że bito go po twarzy. Po przesłuchaniu musiał Metody długo wyczekiwać ogłoszenia wyroku stojąc na śniegu i mrozie. Wreszcie biskupi skazali go na pozbawienie funkcji kościelnych i osadzenie w klasztornym więzieniu w Szwabii.

Był to cios, zdawałoby się, ostateczny dla sprawy misji słowiańskiej. Za Metodym nie miał się kto ująć, tym bardziej że po papieżu Hadrianie II, przychylnie do niego usposobionym, rządy Kościołem objął Jan VIII, przeciwnik liturgii słowiańskiej. Komedia sądu, jaka odbyła się w Ratyzbonie, była jednak znie-



Cyryl i Metody

Według obrazu Jana Matejki. Jeden z przejawów kultu „apostołów Słowian" w XIX wieku

wagą również papieża, była wkroczeniem biskupów bawarskich w prawa wyraźnie papieżowi zastrzeżone. Milczenie w tej sprawie byłoby niezręczne, stawiałoby papiestwo w dziwnym świetle chociażby wobec tych książąt słowiańskich, którym jeszcze niedawno listy papieskie polecały Metodego jako arcybiskupa i wysłannika Stolicy Apostolskiej. Między tymi książętami był i Świętopełk morawski, który tymczasem wydobył się z opresji i zadawał Niemcom klęskę za klęską. Toteż gdy stało

się jasne, że panowanie niemieckie na Morawach nie utrzyma się, papież porzucił początkowe milczenie i rozpoczął listowną interwencję na rzecz Metodego tłumacząc się jednocześnie, że przedtem nie orientował się dobrze w jego losach.

— Gdy pytałem bawiącego w Rzymie biskupa freisingeńskiego Annona, uczestnika synodu w Ratyzbonie, o Metodego, ów kłamliwie zaparł się, że nic nie wie — pisał Jan VIII w 873 roku przyznając pośrednio, że zdawał sobie sprawę, iż Metody znajdował się wówczas w mocy biskupów bawarskich.

W każdym razie papież żądał teraz kategorycznie uwolnienia Metodego i gdy stanowisko strony niemieckiej stało się ze względów politycznych bardziej pojednawcze, wysłał do Bawarii swego legata, biskupa Pawła z Ankony, który miał doprowadzić sprawę do końca. Podkreślić jednak trzeba, że interwencja papieska, energiczna i bardzo ostra w formie, dotyczyła jedynie uwięzienia Metodego, nie żądał natomiast Jan VIII przywrócenia wszystkich poprzednich praw Metodemu, a w sprawie liturgii słowiańskiej stanął wyraźnie po stronie biskupów niemieckich.

Uwolniony Metody miał ograniczyć swą działalność do terenów znajdujących się poza zasięgiem politycznych wpływów królestwa niemieckiego, o jego powrocie do Panonii nie mogło być mowy. Granice dla Metodego wyrąbywał mieczem walczący z Niemcami Świętopełk morawski, ich więc formalne określenie byłoby na razie przedwczesne. Toteż instrukcja papieska dla legata Pawła mówiła jasno:

— Gdy będą cię biskupi bawarscy pytać o granice diecezji, mów: nie przybyłem tutaj, aby rozsądzać spór o granice diecezji, ale aby uwolnić Metodego, któregoście przez trzy lata bezprawnie więzili.[1]

Jednocześnie Paweł miał wręczyć Metodemu list papieski stanowczo zakazujący odprawiania nabożeństw w języku słowiańskim.

Uwolniony Metody udał się na Morawy omijając Panonię,

[1] *Monumenta Germaniae Historica, Epistolae*, tom VII, str. 284.

przed czym zresztą biskupi bawarscy nie omieszkali go raz jeszcze ostrzec, a i księciu panońskiemu przy okazji zagrozili:

— Jeśli u ciebie osiądzie Metody, nie wyjdzie ci to na dobre. [1]

Ostateczne ustalenie nowych granic diecezji Metodego miało nastąpić później na sądzie papieskim w Rzymie, przed którym musieliby stanąć prócz Metodego zainteresowani biskupi bawarscy. Do sądu tego zresztą nigdy nie doszło. Dla papieża sprawa była politycznie drażliwa, nie chciał poza tym pogarszać swych stosunków z biskupami bawarskimi, z którymi łączyły go całkiem materialne interesy. Oto jeden z głównych wrogów Metodego, znany nam już Anno freisingeński, był zarządcą papieskich majątków w Bawarii, przynoszących niemały dochód. Niedobrze by było, gdyby obrażony biskup zaczął zapominać o przekazywaniu tego dochodu do Rzymu.

Zasięg władzy kościelnej Metodego, formalnie nie określony ostatecznie, sięgał zatem praktycznie tak daleko, jak daleko sięgała polityczna władza księcia morawskiego. W chwili uwolnienia arcybiskupa, w końcu roku 873, Świętopełk znajdował się u szczytu powodzenia, wyzwolił się z zależności od Niemiec, zakończył z nimi wojnę i wreszcie zawarł korzystny dla siebie pokój (874). Już przedtem usunął ze swego państwa księży niemieckich, tak że poza własnymi uczniami innych duchownych Metody nie miał na obszarze diecezji. Że zaś uczniowie Metodego, w większej części zapewne Słowianie, przywykli do liturgii słowiańskiej, a nawet być może — żadnej innej nie znali, nie mógł arcybiskup liczyć się z ostatnim listem Jana VIII i opierając się na zezwoleniu jego poprzednika nadal odprawiał mszę słowiańską.

Po roku 874 wewnętrzne stosunki na Morawach zaczęły się jednak powoli zmieniać. Pokój z Niemcami, dający Świętopełkowi niezawisłość faktyczną, opierał się jednak na formalnym uznaniu przez niego zwierzchnictwa króla Ludwika. Dalsza dyskryminacja duchowieństwa niemieckiego w państwie mo-

[1] *Żywot Metodego*, rozdz. X, *Monumenta Poloniae Historica*, tom I, str. 106.

rawskim nie była w tej sytuacji możliwa. Toteż zaczyna ono znowu powoli napływać, może być, że nawet liczniej niż przedtem. Biskupi bawarscy nie zrezygnowali bowiem ze swych pretensji do Moraw i — dawniej dość obojętni dla misji w tym kraju — obecnie byli zainteresowani w tym, aby utrudniać pracę Metodemu. Niebawem nawet w bliskim otoczeniu księcia znalazł się kapłan niemiecki Wiching.

Skoro duchowieństwo niemieckie poczuło się znów pewniej w państwie Świętopełka, zaczęło intrygować przeciw Metodemu i podnosić przeciw niemu różne zarzuty. A o sposobność ku temu nie było trudno. Przede wszystkim obiektem ataków stała się msza słowiańska, którą Metody i jego uczniowie odprawiali mimo dezaprobaty papieża. Były jednak i inne kwestie. Pamiętajmy, że był to okres narastania różnic i nieufności między Kościołem zachodnim — łacińskim a Kościołem wschodnim — greckim. Do ostatecznego zerwania między nimi miały wprawdzie upłynąć jeszcze prawie dwa stulecia, ale już wtedy dyskusje na temat rozbieżności obrzędowych i drugorzędnych problemów teologicznych stawały się bardzo gorące. Metody jako Grek nauczał oczywiście według tradycji Kościoła wschodniego, co wywoływało oburzenie niemieckich łacinników, którzy te nauki nazywali heretyckimi.

Ataki te nie mogły zaszkodzić Metodemu tak długo, jak długo cieszył się poparciem i zaufaniem księcia. Jednak i tu coś się zaczęło psuć. Świętopełk coraz bardziej otwarcie dawał wyraz niechęci do Metodego skłaniając się ku Wichingowi.

Nie wiemy na pewno, co na to wpłynęło. Jeden z żywotów Metodego tłumaczy to surowością arcybiskupa wobec niemoralnego życia księcia, na które mieli przymykać oczy księża niemieccy. „Świętopełk, niewolnik rozkoszy z kobietami, tonący w błocie rozpusty, czyż mógł nie oddać się raczej tym, którzy mu otwierali drogę do wszelkich namiętności, niźli Metodemu, który karcił wszelkie rozkosze, szkodliwe duszy.” [1] Nie należy przeczyć możliwości tarć osobistych na tym tle. Wydaje się

[1] *Vita S. Clementis episcopi Bulgarorum, Vindobonae*, 1847, caput 5.

jednak, że i inne względy musiały tu grać rolę. Księciu zależało niewątpliwie na łączności z Rzymem i księża niemieccy mogli łatwo obudzić w nim niepokój, czy Metody rzeczywiście nie jest odszczepieńcem. Świętopełk musiał cenić sukces, jakim było uzyskanie kościelnej niezależności jego państwa od Niemiec i posiadanie własnego arcybiskupstwa. Można więc zrozumieć jego obawy, aby jakiś niezręczny krok Metodego nie zepsuł całego dzieła.

Gdy więc ataki księży łacińskich na Metodego stawały się coraz ostrzejsze, Świętopełk zwrócił się do papieża z prośba o autorytatywną opinię o prawowierności słowiańskiego arcybiskupa i jego nauk. Nie musiała to być skarga na Metodego, jak sądzą niektórzy historycy, lecz raczej świadectwo rozterki księcia wobec sporów w Kościele morawskim, których sam przecież nie potrafił rozstrzygnąć. W odpowiedzi na poselstwo Świętopełka papież kazał Metodemu stawić się w Rzymie celem złożenia wyjaśnień, księciu natomiast odpowiedział ogólnikowo, aby „zawsze wierzył w to, w co święty Kościół rzymski po wszystkie czasy wierzył, odrzucał zaś to, co tej nauce się sprzeciwia".[1] Z wskazówką tą była połączona zapowiedź zbadania prawowierności arcybiskupa, gdy ten przybędzie przed oblicze papieskie.

Zgodnie z życzeniem papieskim Metody wraz z Wichingiem zjawił się w Rzymie wiosną 880 roku i został poddany badaniom, w których wyniku zresztą oczyszczono go ze wszystkich zarzutów. Nic w tym nie było dziwnego, nauczanie Metodego mieściło się bowiem całkowicie w ramach odrębności dozwolonych przez ówczesny Kościół. Orzeczenie o prawowierności arcybiskupa nie oznaczało też bynajmniej poparcia politycznego papieża dla jego działalności. Przeciwnie: zarządzony jednocześnie przez papieża podział metropolii Metodego na dwa biskupstwa i wyświęcenie na biskupa Wichinga wskazuje wyraźnie na to, że Jan VIII nie ufał Metodemu i chciał położyć tamę jego działalności, coraz bardziej niemiłej Rzymowi.

---

[1] *Monumenta Germaniae Historica, Epistolae*, tom VII, str. 160.

Najważniejszą jednak kwestią była sprawa liturgii słowiańskiej, i w niej Metody odniósł pozorny sukces. Orzeczenie papieskie uznawało mszę słowiańską za ważną, czyniąc jedynie zastrzeżenie, aby w niej ewangelia była odczytywana najpierw po łacinie, a dopiero potem w języku ludowym. Ale znów nie znaczy to, by obrządek słowiański miał się stać panującym w arcybiskupstwie morawskim. Pismo papieskie wyraźnie zaznaczyło prawa obrządku łacińskiego i poleciło odprawiać mszę łacińską tam, gdzie by jej sobie wierni, a zwłaszcza książęta, życzyli. Było to więc w gruncie rzeczy tylko zezwolenie dla Metodego i jego uczniów na odprawianie mszy słowiańskiej, zezwolenie konieczne, bo żadnych istotnych argumentów teologicznych przeciw tej liturgii nie można było wysunąć. Gdyby zresztą Jan VIII chciał uznać liturgię słowiańską za herezję, to tym samym uznałby za heretyka swego poprzednika, który na nią nie tylko zezwolił, ale ją nawet w pewnej mierze popierał. Mógł natomiast papież podjąć kroki organizacyjne w celu ograniczenia zasięgu niemiłej mu liturgii i tak właśnie uczynił. Wiching jako biskup-łacinnik miał się troszczyć o rozwój łacińskiej liturgii, sprowadzić nowe kadry duchowieństwa z Niemiec, jednym słowem czynić wszystko, by liturgia słowiańska nie rozpowszechniała się, lecz zaczęła wymierać śmiercią naturalną.

Na Morawach mimo wszystko Metody okazał się jeszcze silniejszy. Gdy Wiching starał się zdobyć sobie znaczniejszy wpływ na Świętopełka i nadal intrygował jak dawniej, tyle że z mocniejszej, bo biskupiej już pozycji, wówczas Metody zwrócił się ze skargą do papieża, a gdy od tegoż niczego prócz słownych obietnic i zapewnień szacunku nie uzyskał, sam obłożył krnąbrnego biskupa klątwą i spowodował — jak się zdaje — wygnanie Wichinga z kraju. Stojący wtedy u szczytu potęgi Świętopełk nie protestował przeciw temu. Widocznie nie był takim zwolennikiem łacińsko-niemieckiej grupy w Kościele morawskim, jak się zazwyczaj sądzi.

Odwet wziął sobie Wiching dopiero po śmierci Metodego. Podeszły już wiekiem arcybiskup zmarł na Wielkanoc 885 roku, wyznaczywszy przedtem na następcę swego ucznia Gorazda,

Słowianina, znającego jednak obydwie liturgie. Wtedy jednak zjawił się na Morawach Wiching i argumentami swymi znów zaniepokoił Świętopełka. Będący w rozterce książę, nie potrafiąc sam rozstrzygnąć zawiłych sporów teologicznych, kazał przedstawicielom obu stron przysięgać, że pozostają w zgodzie z nauką Rzymu. Wiching przysięgę złożył, Gorazd natomiast od niej się uchylił. To zadecydowało. Dbały o łączność z Rzymem Świętopełk poparł Niemca, Gorazda natomiast i jego uczniów najpierw uwięził, a następnie wydalił z granic Moraw. Zwolennicy obrządku słowiańskiego przytulili się w Bułgarii. Wiching udał się jeszcze do Rzymu, gdzie od nowego papieża Stefana V uzyskał nie tylko unieważnienie klątwy, ale i potępienie postępowania Metodego oraz ostateczne, bezwzględne odrzucenie liturgii słowiańskiej. Zarządcą Kościoła morawskiego mianował papież oczywiście Wichinga.

Tak skończyła się próba chrystianizacji Moraw w obrządku słowiańskim. Jej upadek zahamował zresztą samo dzieło misyjne, gdyż do kleru niemieckiego lud słowiański czuł głęboką nieufność, a sami Niemcy nie mając już konkurenta też niezbyt gorliwie przykładali się do pracy.

Z okresem działalności Metodego na Morawach łączy się drobna wzmianka jego *Żywota* o ziemiach nadwiślańskich:

„Miał tedy Metody dar proroczy i wiele spełniło się z jego przepowiedni, z których jedną tylko lub dwie tu wymienimy. Pogański książę, bardzo potężny, siedząc w Wiśle urągał chrześcijanom i szkody im wyrządzał. Posławszy więc do niego, kazał mu [Metody] powiedzieć: — Dobrze by było, synu, abyś się dał ochrzcić dobrowolnie na swojej ziemi, bo inaczej będziesz w niewolę wzięty i zmuszony przyjąć chrzest na ziemi cudzej. Wspomnisz moje słowo! — Tak się też stało."[1]

Jest tutaj mowa o księciu państwa Wiślan, o którego istnieniu w Polsce południowej, w dorzeczu górnej Wisły, wiemy z kilku źródeł z IX wieku. Słowa *Żywota św. Metodego* dowodzą, że aż tu docierała misja morawska, w czym zresztą

---

[1] G. Labuda, *Słowiańszczyzna pierwotna*, str. 129.

Fragment jednego z rękopisów *Żywota świętego Metodego*, tzw. Legendy Pannońskiej

Mowa tu o księciu Wiślan: „pogański kniaź silen welmi sidia w Wiśle...“

nie ma nic dziwnego, gdyż państwo to sąsiadowało bezpośrednio z Morawami, a w końcu — jak na to zresztą wskazuje wzmianka o wypełnieniu się proroctwa — uległo Świętopełkowi i weszło w skład państwa wielkomorawskiego. Można się spodziewać, że odtąd misja słowiańska działała tu już bardziej systematycznie, choć zapewne niedługo, bo tylko do śmierci Metodego.

Wysuwano jednak w dawniejszym piśmiennictwie naukowym przypuszczenie, które zresztą i dziś tu i ówdzie napotkać można, że może obrządek słowiański przetrwał tu aż do czasów piastowskich. Istotnie, pewne drobne fakty, których tu szczegółowo przytaczać nie będziemy, zdawały się na to wskazywać. Późniejsze jednak badania, bardziej krytyczne, podważyły to przekonanie. Ziemie polskie mogły się zetknąć z misją Metodego. Czy jednak przyniosła tu ona większe owoce, można już wątpić. Że zaś chrześcijaństwo w obrządku słowiańskim nie

przetrwało tu w żadnym razie do czasów opanowania kraju Wiślan przez Piastów, to dzisiaj uchodzi niemal za pewne.

Misja Cyryla i Metodego ma związek o tyle tylko z historią Polski, o ile wszystko, co dotyczyło Słowiańszczyzny, nie mogło pozostawać bez wpływu na nasze dzieje i kulturę. Znajomość losów tej misji i warunków, w jakich się odbywała, pomoże nam ponadto odpowiedzieć na pytanie, komu i dlaczego zależało najbardziej na szerzeniu chrześcijaństwa wśród Słowian.

Rozważaniom na ten temat poświęcimy następny rozdział.



Rozdział trzeci

KOMU ZALEŻAŁO NA CHRZCIE SŁOWIAN I DLACZEGO?

Wiadomości, które zebraliśmy w rozdziale poprzednim, a zwłaszcza koleje misji Cyryla i Metodego, przekonują, że chociaż pierwsze akty chrztu na Słowiańszczyźnie następowały w wyniku nacisku ze strony niemieckich sąsiadów, to jednak nic nie wskazuje, aby władcom Niemiec naprawdę zależało na szerzeniu chrześcijaństwa. Chodziło im tylko — jak już o tym była mowa — o zwiększanie nacisku politycznego na sąsiednie kraje słowiańskie i chrzest książąt był im o tyle potrzebny, o ile łączył się z uznaniem przez nowochrzczeńców zwierzchnictwa cesarzy czy królów niemieckich. Takie posługiwanie się chrześcijaństwem jako narzędziem polityki świeckiej nie było oczywiście właściwością samych tylko Niemców, lecz zjawiskiem dość powszechnym w polityce wielkich państw wczesnego średniowiecza. Jeżeli cesarz bizantyński uprzejmie przyjmuje poselstwo Rościsława i wypełnia jego prośbę organizując możliwie szybko misję morawską, to nie myślmy, że czyni tak z żarliwości chrześcijańskiej. Ludzie średniowiecza, a więc i królowie, byli wprawdzie bardzo pobożni, ale w polityce tak wtedy, jak i teraz liczyły się przede wszystkim całkiem ziemskie, realne interesy. Dla Bizancjum misja morawska mogła być podwójnym atutem. Po pierwsze, Bizancjum rozszerzało swą strefę wpływów, wkraczało na teren uznający dotychczas władzę cesarza Zachodu. Po drugie, w trwającym właśnie sporze religijno-politycznym z Rzymem,

w momencie gdy papieże usiłowali znaleźć sojuszników także na wschodzie i grozili wprowadzeniem obrządku łacińskiego w Bułgarii, misja grecka na Morawach była zręcznym kontratakiem. Najmniej przy tym chodziło o rzeczywiste wykorzenienie pogańskich wierzeń w krajach słowiańskich.

Jeżeli jednak cesarzom i królom, tym politykom niejako z przeznaczenia i z zawodu, postępy chrześcijaństwa były w gruncie rzeczy obojętne a wystarczyło im formalne podporządkowywanie coraz nowych ziem własnym biskupom, to można by się spodziewać, że inny do tego będzie już stosunek owych biskupów, że ci energicznie podejmą akcję misyjną. Nic podobnego. Widzieliśmy, że biskupi niemieccy byli także przede wszystkim politykami mającymi na celu ekspansję swego państwa, że służyli raczej swemu królowi niż nawet papieżowi, że gotowi byli użyć wszelkich środków — nieprawnych, niemoralnych, a nawet zbrodniczych — by nie dopuścić do postępów chrześcijaństwa, jeśli korzyści polityczne z tego miałby wyciągnąć kto inny. Na opisywanym poprzednio synodzie w Ratyzbonie biskupi bawarscy nie zapytywali przecież Metodego, czy dobrze naucza, czy ma efekty, czy ludność słowiańska go słucha, nie krytykowali go, że może za mało pracuje, nie jest dość gorliwy. Nie, to ich nie obchodziło. Napadli natomiast na słowiańskiego misjonarza właśnie za to, że działa, że głosi naukę chrześcijańską na ziemi podległej dotąd niemieckiemu biskupowi.

Któż więc był naprawdę zainteresowany chrystianizacją ziem słowiańskich? Może papieże? No, oczywiście, papieże niejako z urzędu musieli popierać tę sprawę. Byłoby brzydką kalumnią, gdyby ktoś chciał twierdzić, że dla papieży postępy chrześcijaństwa były czymś zupełnie obojętnym. Każdy z poznanych przez nas papieży, niezależnie od różnic w ich postępowaniu, szczerze się cieszy, że coraz więcej ludzi wierzy w Chrystusa, i tak samo szczerze boleje nad tym, że jeszcze wielu jest w Europie pogan, a i nie wszyscy ochrzczeni żyją tak, jak powinni żyć chrześcijanie. To wszystko papieży i całe ich otoczenie żywo obchodzi i na pewno nie jest tylko sprawą

polityki. A jednak nie tylko nie widzieliśmy, by papieże sami występowali z inicjatywą wzmocnienia misji wśród Słowian, ale czasem ich decyzje — na przykład ograniczenie, a w końcu zakaz liturgii słowiańskiej — wręcz misję tę hamowały.

Dlaczego tak się działo? Otóż z punktu widzenia papiestwa nawracanie Słowian było na pewno zadaniem Kościoła, ale ani nie zadaniem jedynym, ani nie najważniejszym. Na pierwszy plan wysuwały się wówczas takie sprawy, jak walka o jedność Kościoła, jak pozyskiwanie władzy świeckiej dla celów kościelnych, jak przestrzeganie dyscypliny wśród biskupów. Te zadania nie tylko były ważniejsze, ale ich realizacja zmuszała nieraz do posunięć nie sprzyjających postępom chrześcijaństwa w Słowiańszczyźnie. A pamiętać również należy, że papiestwo nie było bynajmniej jakąś od nikogo niezależną potęgą. Przeciwnie, było wtedy dość słabe, musiało się liczyć z różnymi państwami, wpływowymi osobistościami i instytucjami, aby dopiero zręczną grą polityczną wzmocnić własną pozycję. Przy tej grze trzeba było poświęcać mniejsze korzyści, aby uzyskać większe. Toteż stosunek papiestwa do misji słowiańskiej był zmienny i najczęściej dyktowany aktualną koniunkturą polityczną. Tak więc Hadrian II poparł zamysły Cyryla i Metodego, bo w ten sposób wiązał z sobą tych Greków, co w momencie walki między Kościołem rzymskim i greckim oraz w związku ze staraniami o pozyskanie dla Rzymu Bułgarii nie było bez znaczenia. Ani on jednak, ani jego następca nie podjęli kroków w celu uwolnienia i rehabilitacji uwięzionego Metodego, jak długo nie wyjaśniło się, że państwo morawskie obroni swoje istnienie. Jan VIII potępiwszy postępowanie biskupów bawarskich uchylił się wszakże od rozpatrzenia ich sporu z Metodym do końca, bo wstrzymywała go przed tym zależność materialna od Annona freisingeńskiego. Zarówno wreszcie Jan VIII, jak i Stefan V byli niechętni liturgii słowiańskiej, bo woleli łacińskich biskupów niemieckich niż Metodego i jego uczniów, którzy wywodzili się z Kościoła greckiego, coraz bardziej uniezależniającego się od Rzymu i grożącego zupełnym oderwaniem się.

Jeżeli więc nie papiestwu, to komu rzeczywiście zależało na misji wśród Słowian? Każdy wskaże przede wszystkim na samych misjonarzy, na Cyryla i Metodego. Nie byli oni zresztą wyjątkami. Takich żarliwców, z całym oddaniem się poświęcających nawracaniu pogan, było w ówczesnym świecie chrześcijańskim znacznie więcej. Dla nich naprawdę misja była sprawą najważniejszą, której nie wyrzekliby się dla żadnych innych korzyści. Pamiętajmy tylko, że nie przedstawiali oni sobą jeszcze żadnej siły; byli narzędziem, a nie ręką. Nie oni zainicjowali misję morawską i nie byliby w stanie jej prowadzić bez poparcia i opieki ze strony księcia. Toteż w książętach morawskich widzimy główną sprężynę misji.

Rościsław pierwszy poczuł się niezadowolony ze zbyt powolnego przebiegu chrystianizacji Moraw. Zdał sobie sprawę, że duchowieństwo bawarskie albo w ogóle nie prowadzi działalności misyjnej wśród Słowian, albo prowadzi ją tak nieudolnie, że nikogo pozyskać nie może. Jeśli zwracał się do Bizancjum o misjonarzy, to niewątpliwie mogła mu już wtedy przyświecać myśl, aby w dalszej przyszłości zerwać zależność kościelną Moraw od niemieckiej hierarchii, przede wszystkim jednak chodziło mu o kapłanów, którzy by potrafili dotrzeć do ludu. Dlatego tak silnie domagał się księży znających język słowiański.

Także Świętopełk, choć na pozór jego polityka kościelna była inna, przykładał wielką wagę do chrystianizacji kraju. Jeśli nie popierał Metodego i ostatecznie oświadczył się przeciw Gorazdowi, to przecież nie dlatego, że występował przeciw chrześcijaństwu. Wręcz przeciwnie! Jego poselstwo do papieża, jego wahania, który z obrządków poprzeć, który z nich jest bardziej prawowierny, wskazują na to, że wiele uwagi poświęcał sprawie chrystianizacji szukając najlepszej drogi jej postępów. Pamiętajmy, że wypowiedział się on nie tyle przeciw liturgii słowiańskiej, co przeciw pewnym odrębnościom w nauce Kościoła greckiego, którym hołdował już sam Metody, a jeszcze bardziej jego uczniowie. O decyzji księcia przesądziły więc jego obawy, aby właśnie nie oderwać się od głównego

nurtu chrześcijaństwa. Zrozumiałe jest też, że Świętopełk musiał na jakiś wybór się zdecydować, nie mógł bowiem godzić się na dalszą rywalizację w jego państwie dwóch obrządków, na rywalizację, która coraz bardziej przybierała charakter walki religijnej i zamiast jedności w wierze mogła przynieść rozłam wyznaniowy wśród Morawian. Te przesłanki, które przedtem skierowały Rościsława ku greckim mnichom, były już nie tak aktualne za czasów Świętopełka. Księża niemieccy pozbyli się już obojętnego stosunku do działalności misyjnej, zmuszeni do aktywności groźbą greckiej konkurencji. Księża ci poza tym, choć z Niemiec pochodzili, to jednak nie reprezentowali już obcego, niemieckiego ośrodka dyspozycji. Arcybiskupstwo morawskie, czyli niezależność organizacyjna Kościoła na Morawach od episkopatu niemieckiego — była już faktem dokonanym.

Piszemy to wszystko nie po to, żeby usprawiedliwiać decyzję Świętopełka, być może nie najszczęśliwszą, ale by wykazać, że i dla tego księcia sukcesy misji wewnętrznej, to znaczy chrystianizacja podległego mu ludu, były sprawą bardzo istotną, której nie zaniedbywał ani nie lekceważył.

Podobnie się działo i w innych państwach słowiańskich. Inicjatorami i głównymi opiekunami duchownych chrześcijańskich pracujących nad wykorzenieniem pogaństwa i upowszechnieniem nowej wiary byli wszędzie miejscowi władcy, a nie żadne czynniki zewnętrzne. I odwrotnie. W tych, przeważnie niewielkich i społecznie zacofanych państewkach słowiańskich, w których książęta nie zamierzali podjąć działalności chrystianizacyjnej, a tylko sami przyjmowali chrzest ze względów politycznych, chrześcijaństwo nie czyniło żadnych prawie postępów. Tak właśnie było w połabskiej części Słowiańszczyzny, gdzie pogaństwo panowało aż do XII wieku, mimo że ziemie te weszły w skład różnych niemieckich diecezji już parę wieków wcześniej. Tak oto niewiele znaczyła misja inspirowana tylko z zewnątrz!

Skoro jednak tak było, skoro zgodzić się trzeba, że słowiańscy książęta najbardziej uporczywie i konsekwentnie praco-

wali nad wprowadzeniem chrześcijaństwa do swoich krajów, to nasuwa się zaraz następne pytanie: dlaczego im na tym zależało? Dlaczego kolejno podejmowali walkę z pogaństwem morawscy Mojmirowice, czescy Przemyślidzi, polscy Piastowie, ruscy Rurykowicze? Czemu nie próbowano oprzeć budowy państw słowiańskich na starej, rodzimej, pogańskiej wierze?

Rozmaite odpowiedzi dawano dotychczas na te pytania. Starsi czytelnicy, a zapewne i wielu młodszych, słyszeli, że w decyzji przyjęcia chrztu przez Polskę i inne kraje słowiańskie dopatrywano się dawniej chęci zabezpieczenia się przed najazdami niemieckimi, podejmowanymi pod hasłem szerzenia prawdziwej wiary.

Czy to tłumaczenie jest słuszne i wystarczające?

Widzieliśmy już, że różni książęta słowiańscy rzeczywiście przyjmowali chrzest pod naciskiem, ze względów zewnętrznopolitycznych, po to, by zapewnić swemu krajowi bezpieczeństwo. Czynił tak i pierwszy książę morawski Mojmir, nie co innego kierowało owymi czternastoma książątkami ochrzczonymi w 845 roku w Ratyzbonie, podobnie postępowali jeszcze dwa wieki później niektórzy książęta połabscy. Zauważmy jednak, że ci książęta, ochrzczeni dla pozoru i spokoju, nie czynili żadnych kroków, by nową wiarę szerzyć w swych krajach. Tym, którzy im tę wiarę narzucili, także nie zależało przecież na nawracaniu ludu. Jeżeliby więc chodziło tylko o odsunięcie groźby najazdów niemieckich, to wystarczyłoby formalne przyjęcie chrztu przez słowiańskiego władcę.

Istnieje poza tym druga trudność. Zagrożenie ze strony Niemiec mogłoby ostatecznie tłumaczyć chrystianizację najdalej na zachód wysuniętych ziem słowiańskich, tych, które z zaborczością niemiecką stykały się bezpośrednio. A przecież nie tylko sąsiedzi Niemiec przyjęli chrześcijaństwo. W tym samym mniej więcej okresie, co książęta czescy i polscy, wprowadził nową religię na Ruś Włodzimierz kijowski, władca potężny, który do Niemiec miał daleko, a z drugim mocarstwem chrześcijańskim, z Bizancjum, toczył zwycięskie wojny. Nie musiał on chrztem dopiero zabezpieczać się przed groźbami,

miecz wystarczał mu w zupełności. A wiedzmy, że także Polska, w chwili gdy Mieszko I decydował się ochrzcić, nie graniczyła jeszcze bezpośrednio z Niemcami i nie była bynajmniej obiektem najazdów. Biorąc to wszystko pod uwagę musimy się zgodzić, że w poszczególnych wypadkach zagrożenie zewnętrzne mogło przyśpieszyć decyzję tego lub innego księcia. Nie było ono jednak główną przyczyną upadku pogaństwa słowiańskiego i przyjęcia chrześcijaństwa przez wszystkie państwa słowiańskie.



Włodzimierz Wielki, wielki książę kijowski, który wprowadził na Ruś chrześcijaństwo jako religię państwową

Podobizna według fresku z XII w.

Znajomość praw rządzących historią społeczeństw wskazuje, że przyczyny tak ważnej odmiany szukać należy raczej w stosunkach wewnętrznych ówczesnych państw słowiańskich.

Decyzje książąt musiały mieć na widoku jakieś wewnętrzne cele polityczne czy społeczne. To jest niewątpliwe. Aby jednak je odtworzyć, trzeba pojąć sposób myślenia tych ludzi, ukształtowany przez określony pogański — a więc religijny — światopogląd.

Pamiętając o tym, przyjrzyjmy się teraz polityce religijnej księcia kijowskiego Włodzimierza Wielkiego, który wprowadził chrześcijaństwo na Ruś. Postępowanie jego powinno nam wiele wyjaśnić.

Wiemy, że Włodzimierz, który stał się władcą rozległego państwa obejmującego różne sło-

wiańskie i niesłowiańskie plemiona, usiłował dokonać w początkach swego panowania reformy pogaństwa. Kronikarz tak o tym opowiada:

„I począł Włodzimierz panować sam jeden w Kijowie. I postawił na wzgórzu zewnątrz dwora bałwany: Peruna drewnianego, głowa jego srebrna, a wąs złoty, i Chorsa, Dażboga i Stryboga i Smarogla i Mokosza. Składano im żertwy mianując ich bogami..." [1]

A następnie:

„Włodzimierz tedy posadził Dobrynię, wuja swego, w Nowogrodzie. I przyszedłszy Dobrynia do Nowogrodu postawił Peruna bałwana nad rzeką Wołchowem; składali mu Nowogrodzianie żertwy jako bogu." [2]

Co to wszystko znaczy? Pamiętajmy, że jednoczące się państwa słowiańskie nie miały jednego wspólnego kultu, lecz każda ich część składowa, każde „plemię" czciło osobnych bogów. Książę kijowski próbował więc kulty te ujednolicić, stworzyć religię państwową. W tym celu zgromadził przed swym dworem w Kijowie posągi bóstw czczonych dotąd w różnych częściach państwa, a nad nimi przełożył jako naczelne bóstwo własnego boga Peruna. Co więcej, kazał oddawać cześć Perunowi jako bóstwu opiekuńczemu całego państwa także w tych dzielnicach kraju, gdzie był on dotychczas nie znany. Jak wynika z przytoczonych słów kroniki, Nowogród wraz z namiestnikiem książęcym otrzymał równocześnie nowego boga.

Reforma ta, przeprowadzana przez władzę państwową, miała na celu przezwyciężenie odrębności dzielnicowych w zakresie kultu i stworzenie jednolitego kultu państwowego. Charakteryzując w rozdziale pierwszym rozwój słowiańskiego pogaństwa wskazywaliśmy, że łączenie się drobniejszych organizacji politycznych w duże państwa stwarzało potrzebę takiego kultu. Potrzebę tę mogła zaspokoić całkowicie nowa religia, ale mógł wystarczyć również odpowiednio przekształcony kult rodzimy.

---

[1] G. Labuda, *Słowiańszczyzna pierwotna*, str. 236.
[2] Tamże.

Tę drugą drogę obrał właśnie początkowo Włodzimierz, starając się przyspieszyć ewolucję kultu w odpowiadającym państwu kierunku. Chodziło tu o przyzwyczajenie ludu całego kraju do Peruna, boga zwycięskiego księcia, a więc boga najpotężniejszego pośród bóstw ruskich. Cześć i bojaźń tego samego boga miały przyczynić się do ściślejszego związania poszczególnych ziem różniących się tradycjami i wierzeniami z kijowskim centrum państwa i władzą książęcą.

Reforma Włodzimierza nie przyniosła zamierzonych rezultatów, nie pociągnęła za sobą ludu. Dlaczego? Nie wiemy tego, możemy się tylko próbować domyślić. A więc sądzić można, że bóg księcia nie był dla ogółu jego poddanych dość atrakcyjny, że nie rozumiano, dlaczego miałby on — zrobiony z drzewa tak jak inne bogi — być kimś wyższym i lepszym niż bóstwa lokalne. Wśród plemion od niedawna dopiero podległych władzy Włodzimierza bóg kijowski mógł budzić nawet niechęć, jako ten, który przyczynił się do ich klęski i spowodował narzucenie im władzy wielkoksiążęcej.

Największą jednak słabością państwowego kultu pogańskiego na Rusi był chyba brak silnej i szeroko rozbudowanej organizacji kultowej. Aby osłabić stare tradycje i zapoczątkować nowe, nie mógł wystarczyć rozkaz książęcy ani postawienie w kilku punktach kraju posągów Peruna. Trzeba by na to systematycznej propagandy, jakiegoś pogańskiego odpowiednika misji chrześcijańskich. Do tego zaś niezbędna była organizacja kapłańska i pewien zasób doświadczenia, czego nie można było stworzyć z roku na rok.

Być może, że z biegiem czasu wszystko to powstałoby w sposób naturalny. Dla książąt jednak jedność religijna państwa była problemem palącym; nie mieli ochoty czekać na niepewne rezultaty samorzutnego rozwoju pojęć religijnych społeczeństwa.

Toteż Włodzimierz porzucił swą pierwotną koncepcję i zaczął rozglądać się za gotową religią, która w szybszym tempie dałaby się zaszczepić w kraju. Chętnie przeprowadzał rozmowy na te tematy z przebywającymi u niego poselstwami obcych

państw i sam też wysyłał ludzi za granicę, aby przyjrzeli się tamtejszym obrzędom. W interesujący sposób, nie szczędząc szczegółów anegdotycznych, opowiada o tej fazie przygotowań księcia do zmiany wiary cytowany już kronikarz ruski:

„Przyszli Bułgarowie wiary mahometańskiej, mówiąc:

— Oto, książę, jesteś mądry i roztropny, a nie znasz zakonu. Przyjm zakon nasz i oddaj pokłon Mahometowi.

I rzekł Włodzimierz: — Jaka jest wiara wasza? — Oni zaś rzekli:

— Wierzymy w Boga, a Mahomet nas naucza obrzezać członki wstydliwe i świniny nie jeść, wina nie pić, a po śmierci wszetecznić się z niewiastami... Tutaj także należy oddawać się wszelkim wszeteczeństwom. Jeśli bowiem kto jest biedny na tym świecie, będzie nim i na tamtym.

I inne jeszcze rzeczy prawili, o których wstyd pisać. Włodzimierz jednak słuchał ich, albowiem sam lubił niewiasty i mnogie wszeteczeństwa; słuchał ich z upodobaniem, było mu tylko niemiłe obrzezanie członków i niejadanie świniny; a o piciu wręcz odpowiedział:

— Picie to Rusi wesele. Bez tego się obejść nie możem!

Potem zaś przyszli Niemcy z Rzymu, mówiąc:

— Przyszliśmy posłani od papieża. — I rzekli mu: — Papież tak ci kazał powiedzieć: »Ziemia twoja jako i ziemia nasza, a wiara wasza nie jest jak nasza. Wiara bowiem nasza jest światłem; kłaniamy się Bogu, który stworzył niebo i ziemię, księżyc i wszelkie stworzenie; a bogowie wasi są drzewem.«

Włodzimierz zaś rzekł:

— Jakie jest wasze przykazanie?

Oni zaś rzekli:

— Poszczenie według sił, czy kto pije, czy je wszystko dla chwały bożej — mówi nauczyciel nasz Paweł.

Rzekł więc Włodzimierz Niemcom:

— Idźcie precz; ojcowie bowiem nasi tego nie przyjęli.

Usłyszawszy o tym przyszli żydzi chazarscy i rzekli:

— Słyszeliśmy, że przychodzili Bułgarzy i chrześcijanie, a każdy uczył ciebie swojej wiary. Otóż chrześcijanie wierzą

w tego, którego myśmy ukrzyżowali, a my wierzymy w jedynego Boga Abrahama, Izaaka i Jakuba.

I spytał Włodzimierz:

— Jakie są Wasze prawa?

Odpowiedzieli mu:

— Poddać się obrzezaniu, nie jeść świniny ani dziczyzny, święcić sobotę.

A on spytał jeszcze:

— A gdzie jest wasza ziemia?

Oni zaś rzekli:

— W Jerozolimie... Rozgniewał się Bóg na ojców naszych i rozproszył nas po wielu krajach za grzechy nasze, a ziemię naszą oddał chrześcijanom.

Odrzekł na to Włodzimierz:

— Jakże wy innych pouczacie, skoro sami jesteście odepchnięci przez Boga i rozproszeni? Jeśliby Bóg kochał was i prawa wasze, to byście nie byli rozproszeni po obcych krajach. Może wy i nam tego życzycie?"[1]

Według opisu kronikarza zjawił się na koniec u Włodzimierza filozof grecki, który poddawszy krytyce pozostałe religie wprowadził księcia bardzo dokładnie w zasady wiary chrześcijańskiej według obrządku wschodniego. Jego słowa zrobiły wrażenie na księciu, który jednak wstrzymał się jeszcze z decyzją, dopóki jego właśni posłowie nie wybadają stosunków panujących w poszczególnych państwach.

Relacji kroniki ruskiej nie można oczywiście traktować jako absolutnie wiernego sprawozdania z wypadków, a w szczególności rozmowy na pewno nie zostały oddane ze stenograficzną dokładnością. Szczegóły kronikarz wymyślił sam, nie bez tendencji, aby wykazać wyższość religii greckiej nad innymi. Bije zwłaszcza w oczy dążenie piszącego mnicha do obrzydzenia i ośmieszenia religii mahometańskiej. Niemniej jednak sam fakt rozmów Włodzimierza, a nawet jego poprzedników,

---

[1] *Powiest' wremiennych let*, Moskwa—Leningrad 1950, str. 59—60. Tekst polski oparto częściowo na tłumaczeniu A. Bielowskiego w *Monumenta Poloniae Historica*.

z przedstawicielami poszczególnych kultur na tematy religijne nie ulega wątpliwości i jest częściowo potwierdzony przez inne źródła. Wiemy na przykład o podróży arcybiskupa magdeburskiego, Adalberta, na Ruś. Teksty zaś rozmów podane przez kronikarza też nie są pozbawione znaczenia, bo choć nieautentyczne — są przecież świadectwem, jak sobie ówcześni ludzie wyobrażali taki wywiad i jakie wartości poszczególnych systemów religijnych były w ich oczach ważne.

Z przytoczonego sprawozdania wynika przede wszystkim, że książęta kijowscy byli zdecydowani przyjąć i wprowadzić na Ruś nową religię, a tylko szukali najodpowiedniejszej. Włodzimierz interesował się więc przede wszystkim, czy obyczaje rozpatrywanych religii nie stoją w zbyt jaskrawej sprzeczności z obyczajami jego ludów. Jak świadczy rozmowa z wyznawcami judaizmu, miernikiem wartości tego lub innego wyznania były dlań także sukcesy polityczne narodów im hołdujących.

Można powiedzieć, że przedstawiony nam przez kronikarza ruskiego stosunek do poszczególnych religii przypomina postawę klienta przebierającego w proponowanym mu w sklepie towarze. Zastanówmy się więc, czy takie traktowanie tych spraw było możliwe u człowieka religijnego, czy nie za dużo w nim wyrachowania, które by wskazywało raczej na zupełną obojętność religijną księcia i jego doradców.

Tak może się nam wydawać, tak jednak nie było. Systemy religijne, z którymi się współcześnie spotykamy, mają tę cechę wspólną, że ich wyznawcy uważają je za jedynie prawdziwe, a tym samym wszystkie inne religie są w ich mniemaniu fałszywe. Stąd współczesny człowiek o usposobieniu religijnym przyjmuje na ogół nowe wyznanie tylko wtedy, jeżeli zostanie przekonany o jego prawdzie. Jeśli zaś kieruje się przy zmianie wiary względem na korzyści doczesne, świadczy to niewątpliwie o jego obojętności dla spraw religijnych.

Zupełnie inne jednak były pojęcia pogan. Obcy był im pogląd, że tylko jeden bóg i jedna religia są prawdziwe. Wyznawcy innych religii nie byli dla nich czcicielami fałszy-

wych bogów. Poganie słowiańscy wierząc we własne bóstwa uznawali tak samo rzeczywiste istnienie bogów czczonych przez inne ludy. Na Pomorzu stykamy się z faktem, że sami kapłani pogańscy zalecają prócz ofiar dla miejscowego bałwana składać także ofiary bogu chrześcijańskiemu, aby żadnemu z nich się nie narazić. Jeśli Słowianie zachodni trwali nieraz tak uparcie przy kulcie starych bogów i nawet przemoc nie mogła skłonić ich do przyjęcia chrześcijaństwa, to wynikało to głównie z przekonania, że bóg chrześcijański jest bogiem niemieckim, bogiem wrogów, który tamtym będzie zawsze sprzyjał bardziej niż nowo nawróconym.

W pojęciu pogańskich Słowian stosunek między człowiekiem a bóstwem opierał się bowiem na wzajemnych zobowiązaniach. Bóg, któremu dany lud składał ofiary i oddawał cześć, był zobowiązany do opieki nad tym ludem, był niejako osobiście zainteresowany w popieraniu go, przysparzaniu mu plonów i zwycięstw nad nieprzyjaciółmi. Ale nieprzyjaciel miał także swojego boga, który miał wobec niego podobne zobowiązania. Wojna dwóch ludów stawała się więc właściwie wojną dwóch bogów, z której zwycięsko wychodził silniejszy.

Uznawanie rzeczywistego istnienia różnych zwalczających się bogów wiodło w naturalny sposób do wiary, że jedni z nich są silniejsi, inni zaś słabsi. Jedna porażka o niczym jeszcze nie świadczyła, jeśli jednak jakiś lud stale ponosił klęski wojenne, to już wyraźnie dowodziło, że jego bóg-opiekun natrafił na silniejszego rywala. Oczywiście taki bóg, który okazywał się za słaby, by obronić swój lud, tracił na wartości i oglądano się wówczas za lepszym. Toteż słuszna wydaje się obserwacja kronikarza Helmolda, który pisze, że w okresie wzrastającej przewagi niemieckiej nad połabskimi państewkami słowiańskimi, gdy jedna tylko Rugia nie była jeszcze narażona na utratę niepodległości, w całej połabskiej Słowiańszczyźnie szerzył się kult rugijskiego Świętowita, ponieważ ten ze wszystkich bogów słowiańskich „najbardziej jaśniał zwycięstwami”.[1]

---

[1] G. Labuda, *Słowiańszczyzna pierwotna*, str. 231.



Mozaika z XI wieku w cerkwi św. Zofii w Kijowie, przedstawiająca Matkę Boską

Zmiana bogów nie była więc niczym nienaturalnym w pojęciu pogańskich Słowian, a motywem takiej zmiany bywał właśnie pożytek, jaki z niej mógł płynąć. Aby zaś nowy bóg okazał się pożyteczny, musiał być po pierwsze silny, a po drugie sprzyjający danemu ludowi. Bóg bowiem słaby nie mógłby, niechętny zaś nie chciałby służyć odpowiednią opieką.

Nie inaczej też rozumował Włodzimierz kijowski. Odrzucił bez wahania judaizm, bo słabym albo niewiernym wydał mu

się bóg, który dopuścił do rozproszenia wyznającego go ludu. Informował się szczegółowo o obyczaje mahometan i łacinników, aby zorientować się, czy ich bogom będą się podobały obyczaje ruskie. Musiał odrzucić boga mahometańskiego, skoro dla zjednania jego przychylności trzeba by było wyrzec się picia, do czego nie udałoby się zapewne skłonić ruskiego ludu. Za duże wymagania mieli też łacinnicy, obserwujący rygorystycznie posty. U chrześcijan greckich znalazł Włodzimierz mniej nakazów i zakazów trudnych do wprowadzenia w życie. Liczył, że przychylność ich boga zjedna sobie, gdy wejdzie w przyjazne stosunki z Bizancjum, co też uczynił biorąc za żonę siostrę cesarską. Cesarstwo zaś bizantyńskie miało wówczas zbyt wiele jeszcze blasku, by móc wątpić o potędze tamtejszego boga. W szczególności mogło zaimponować bogactwo Konstantynopola i wspaniałość cerkwi i cerkiewnego kultu, o którym tak mieli zdawać relację Włodzimierzowi wysłani przez niego posłowie:

„Chodziliśmy do Bułgarów, patrzyliśmy, jak się oni modlą w świątyni, to jest w meczecie: stoją tam bez obuwia... Niedobra ich religia. I poszliśmy do Niemców, i oglądaliśmy w ich świątyniach rozmaite nabożeństwa, ale wspaniałości nie widzieliśmy żadnej. I przyszliśmy na ziemię Greków, i poprowadzili nas tam, gdzie oni służą swemu bogu, i nie wiedzieliśmy, czy jesteśmy w niebie czy na ziemi: bo nie ma na ziemi takich wspaniałości i nie wiemy, jak o tym opowiedzieć. Wiemy tylko, że przebywa tam bóg z ludźmi, a nabożeństwo ich jest lepsze niż we wszystkich innych krajach. Nie możemy zapomnieć tej wspaniałości, bo każdy człowiek, jeśli spróbuje słodkiego, nie weźmie potem gorzkiego; tak i my nie możemy już tu pozostawać w pogaństwie.” [1]

Zastanówmy się na koniec, co z intencji Włodzimierza kijowskiego można przypisać także innym książętom słowiańskim wprowadzającym w tym samym okresie chrześcijaństwo do swoich krajów. Zapewne nie wszystko. Na decyzje w tym

---

[1] *Powiest' wremiennych let*, str. 75.

względzie miało bowiem wpływ i położenie geograficzne poszczególnych państw, i ich stosunki z chrześcijańskimi sąsiadami, i warunki, w jakich zetknęły się one po raz pierwszy z chrześcijaństwem. To wszystko zaś inaczej się przedstawiało na Rusi, inaczej w Czechach, a jeszcze inaczej w Polsce. Toteż w motywach chrztu poszczególnych władców słowiańskich znajdujemy zawsze coś specyficznego, coś, co miało znaczenie dla jednego, było zaś obojętne dla innych.

U podstaw decyzji księcia ruskiego leżało więc między innymi poddanie się urokowi bogatej cywilizacji bizantyńskiej oraz chęć zacieśnienia stosunków z tym państwem. Były to motywy właściwe tylko Rusi, nie istniejące natomiast na przykład dla książąt polskich, których kontakty z Bizancjum były bardzo luźne.

Dalej: jeśli wierzyć ruskiemu kronikarzowi, to Włodzimierz wahał się początkowo w wyborze między kilkoma religiami. W każdym razie na pewno prowadził na ten temat rozmowy nie tylko z cesarstwem wschodnim, ale i z zachodnim. Ostatecznie względy polityczne kazały mu wybrać Wschód, podobnie jak przedtem książęta wielkomorawscy opowiedzieli się za Zachodem. Nie wszystkie jednak państwa słowiańskie były w tym położeniu, co Ruś, utrzymująca bliskie stosunki z państwami różnych kręgów kulturalnych i różnych wyznań. Dla Czech i Polski, państw leżących w Europie środkowej i od bizantyjskiej strefy wpływów odległych, nie istniał już problem wyboru: dla nich jedyną nową religią, jaka mogła wchodzić w rachubę, było chrześcijaństwo zachodnie.

Uwzględniając te i inne różnice w położeniu poszczególnych państw słowiańskich, które mogły wywierać wpływ na politykę religijną ich władców, a nawet prowadzić do odmiennego w szczegółach rozwiązywania kwestii religijnej, nie można jednak zapomnieć o zasadniczym podobieństwie stosunków wewnętrznych, jakie zaobserwowaliśmy we wszystkich większych księstwach słowiańskich przed przyjęciem przez nie chrześcijaństwa. Podobieństwo to polegało — jak już podkreślaliśmy — na braku ogólnopaństwowego kultu religijnego,

na braku wspólnego boga dla ludności wszystkich ziem podległych jednemu księciu. Utrudniało to władzy centralnej oddziaływanie na lud, sprzyjało zaś umacnianiu się poczucia odrębności poszczególnych terytoriów.

Toteż przed wszystkimi wielkimi władcami słowiańskimi stanęło to samo zadanie: wprowadzenia nowej religii, która byłaby dość atrakcyjną politycznie, aby mogła stać się religią państwową. Wykonanie tego zadania wiodło nieuchronnie do chrześcijaństwa.

Rozdział czwarty

JAK PIERWSI PIASTOWIE BUDOWALI KOŚCIÓŁ W POLSCE

Pierwszym księciem Polski, który przyjął chrzest, był Mieszko I. Jak zgodnie podają wszystkie zapiski rocznikarskie, stało się to w roku 966 i łączyło się z wcześniejszym o rok małżeństwem tego księcia z chrześcijańską księżniczką czeską Dobrawką, córką panującego wówczas w Czechach Bolesława Srogiego.

O Mieszku I w latach poprzedzających te dwa wypadki wiemy niewiele. Według rodowodu, jaki podaje kronikarz zwany Gallem, Mieszko był synem Ziemomysła, a prawnukiem Siemowita, o którego postrzyżynach legendę przytaczaliśmy na wstępie rozdziału drugiego. O dzieciństwie Mieszka również zanotował Gall króciutką legendę. Według niej: „Ziemomysł spłodził wielkiego i sławnego Mieszka, który... przez siedem lat od urodzenia był ślepy. Gdy zaś dobiegała siódma rocznica jego urodzin, ojciec, zwoławszy wedle zwyczaju zebranie komesów i innych swoich książąt, urządził obfitą i uroczystą ucztę na cześć syna, lecz sam wśród biesiady skrycie z głębi duszy wzdychał z powodu ślepoty chłopaka, pełen boleści i uczucia wstydu. A kiedy inni tańczyli i wedle zwyczaju klaskali w dłonie, radość dosięgła szczytu na wiadomość, że ślepy chłopak odzyskał wzrok. Lecz ojciec nikomu z donoszących mu o tym nie uwierzył, aż matka powstając od biesiady podeszła do chłopca i ojcu węzeł niepewności przecięła, pokazując wszystkim siedzącym patrzącego już dobrze chłopaka.

Wtedy na koniec doszła do szczytu wesołość ogólna, gdy chłopak rozpoznał tych, których nigdy nie widział, i tak plamę swej ślepoty zmienił w radość niewypowiedzianą. Wówczas książę Ziemomysł starszych i roztropniejszych, jacy byli, pokrótce wypytuje się, czy nie oznacza jakiejś przepowiedni ślepota i przewidzenie chłopięcia. Owi zaś tłumaczyli, że ślepota oznaczała, iż Polska przedtem była tak jakby ślepa, lecz odtąd przez Mieszka ma być oświeconą i wywyższoną ponad sąsiednie narody; tak się też rzecz miała istotnie, choć wówczas inaczej mogło to być rozumiane. Prawdziwie ślepą była przedtem Polska nie znając ani czci prawdziwego Boga, ani zasad wiary, lecz przez oświeconego cudownie Mieszka sama została oświecona, bo gdy on przyjął wiarę, lud Polski został uratowany od śmierci w pogaństwie. W stosownym bowiem porządku Bóg najpierw przywrócił wzrok cielesny Mieszkowi, a następnie dodał duchowy, aby przez poznanie rzeczy widzialnych dotarł do pojęcia niewidzialnych i by przez znajomość rzeczy ogarnął wszechmoc ich Stwórcy."[1]

Legenda ta powstała oczywiście już w Polsce chrześcijańskiej i jest pochodzenia kościelnego. Wskazuje na to nie tylko jej tendencja, ale i sam główny jej motyw, to znaczy wersja o pierwotnej ślepocie księcia. Zazwyczaj bowiem opowiadano podobnej treści legendy o władcach, którzy urodzili się w pogaństwie, a później mieli przyjąć nową wiarę. Według kroniki ruskiej również znany nam Włodzimierz kijowski miał oślepnąć i dopiero ochrzciwszy się przewidział.

Pomijając zmyślenia wiemy jeszcze, że Mieszko miał dwóch braci i znamy wypadki polityczne, które bezpośrednio poprzedziły jego małżeństwo z Dobrawką. Mieszko I zmierzał mianowicie do opanowania Pomorza nadodrzańskiego, które leżało częściowo w strefie wpływów znacznego państewka słowiańskiego, występującego w literaturze historycznej pod nazwą Związku Wieleckiego. Wciągnęło to Mieszka w walki z Wieletami, w których początkowo doznawał niepowodzeń. Jak przy-

[1] Anonim, tzw. Gall, *Kronika polska*, str. 69—71.



Mieszko I, pierwszy chrześcijański książę polski

Według portretu Jana Matejki

puszcza wybitny badacz tego okresu, Gerard Labuda, Wieletów łączył w tym czasie sojusz z Czechami. Aby rozbić właśnie ten groźny sojusz, wobec którego czuł się za słaby, postanowił książę polski zbliżyć się do książąt czeskich i w związku z tym pojął za żonę Dobrawkę.[1]

O samej Dobrawce źródła przekazują nam sprzeczne opowieści. Kronikarz niemiecki Thietmar oraz polski Gall, przypisując jej zasługę wprowadzenia chrześcijaństwa do Polski, rozpływają się nad nią w pochwałach. Pochwały to jednak bardzo ogólnikowe i świadczące raczej o braku jakiejś lepszej znajomości czynów księżniczki. Tak więc Thietmar popisuje się raczej swą znajomością języka Słowian, niż daje konkretną informację, gdy mówi:

„Nazywała się po słowiańsku Dobrawa, co w języku niemieckim wykłada się: dobra... Okazała się w rzeczywistości taką, jak brzmiało jej imię."[2]

Bardziej nas może interesować relacja źródeł czeskich, które powinny być najlepiej poinformowane o swojej księżniczce. Rzeczywiście, kanonik praski Kosmas przytacza o Dobrawce garść ciekawych szczegółów. Okazuje się, że panienka nie była w kwiecie wieku, gdy za mąż wychodziła, a jej obyczaje i kokieteria były w środowisku praskim wielce krytykowane.

Wiadomości te potwierdzają przypuszczenie prof. Labudy, że małżeństwo Mieszka I z księżniczką czeską miało charakter polityczny, jak zresztą większość małżeństw dynastycznych w tej epoce. Wydaje się też, że na związku z Czechami zależało przede wszystkim księciu polskiemu, skoro nie przebierał i pozwolił sobie podsunąć niezbyt atrakcyjną małżonkę. Z drugiej jednak strony widocznie i Czesi nie mogli zbyt wiele za Dobrawkę żądać, jeśli zgodzili się ją wydać za poganina nie wymagając odeń uprzedniego przyjęcia chrztu. Różnica roku między zaślubinami a chrztem Mieszka jest wyraźną wska-

---

[1] G. Labuda, *Studia nad początkami państwa polskiego*, Poznań 1946, str. 69.

[2] *Kronika Thietmara*, str. 218—220.

zówką, że przyjęcie chrześcijaństwa przez księcia polskiego nie było bezpośrednim wynikiem ugody polsko-czeskiej.

Wyłania się zatem pytanie: co skłoniło Mieszka I do przyjęcia chrztu?

W rozdziale poprzednim wyjaśnialiśmy wprawdzie, dlaczego ówcześni książęta słowiańscy chrzcili się, a następnie szerzyli nową wiarę wśród swych poddanych. Wskazywaliśmy jednak równocześnie, że poza tą ogólną przyczyną — potrzebą religii ogólnopaństwowej — mogły działać jeszcze przyczyny wtórne, specyficzne dla poszczególnych krajów. Ponadto, czym innym jest wyjaśnienie, dlaczego książęta polscy musieli przyjąć chrześcijaństwo, czym innym zaś odpowiedź, dlaczego przyjęli je w tym, a nie innym momencie.

Najdawniejsza tradycja przypisuje decyzję Mieszka I osobistemu wpływowi jego żony. Co do tego zgodne są relacje Thietmara i Galla. Różnią się one jednak jaskrawo w szczegółach.

Thietmar opowiada:

„Owa wierna wyznawczyni Chrystusa, widząc swego małżonka pogrążonego w wielorakich błędach pogańskich, zastanawiała się usilnie nad tym, w jaki sposób mogłaby go pozyskać dla swej wiary. Starała się go zjednać na wszelkie sposoby, nie dla zaspokojenia trzech żądz tego zepsutego świata, lecz dla korzyści wynikających z owej chwalebnej i przez wszystkich wiernych pożądanej nagrody w życiu przyszłym.

Umyślnie postępowała ona przez jakiś czas zdrożnie, aby później móc długo działać dobrze. Kiedy mianowicie po zawarciu wspomnianego małżeństwa nadszedł okres wielkiego postu i Dobrawa starała się złożyć Bogu dobrowolną ofiarę przez wstrzymywanie się od jedzenia mięsa i umartwianie swego ciała, jej małżonek namawiał ją słodkimi obietnicami do złamania postanowienia. Ona zaś zgodziła się na to w tym celu, by z kolei móc tym łatwiej zyskać u niego posłuch w innych sprawach.”[1]

[1] *Kronika Thietmara*, str. 220.

Gall zaś zupełnie inaczej to sobie wyobraża:

„Mieszko... w tak wielkim pogrążony był błędzie pogaństwa, że wedle zwyczaju siedmiu żon zażywał. W końcu zażądał w małżeństwo jednej bardzo dobrej chrześcijanki z Czech, imieniem Dąbrówka. Lecz ona sprzeciwiła się poślubienia go, jak długo nie zarzuci owego zdrożnego obyczaju i nie przyrzeknie zostać chrześcijaninem. Gdy zaś on na to przystał, że porzuci ów zwyczaj pogański i przyjmie sakramenta wiary chrześcijańskiej, pani owa przybyła do Polski z wielkim przepychem świeckiej i kościelnej okazałości, ale nie pierwej podzieliła z nim łoże małżeńskie, aż ów powoli a pilnie zaznajamiając się z obyczajem chrześcijańskim i obrzędami kościelnymi wyrzekł się błędów pogaństwa i zjednoczył się z matką-kościołem." [1]

Widzimy, że obaj kronikarze łączą decyzję chrztu Mieszka I ze sprawami sypialni małżeńskiej. Thietmar jednak twierdzi, że Dobrawka odstąpiła od ówczesnego zwyczaju chrześcijańskiego, który nakazywał wstrzymywanie się od współżycia małżeńskiego w okresie wielkiego postu, i darząc księcia pieszczotami zdobyła nań tak wielki wpływ, iż zgodził się wyrzec dla niej pogaństwa. Gall natomiast jest zdania, że księżna odmawiała w ogóle spełniania obowiązków małżeńskich tak długo, aż spragniony książę przyjęciem chrztu nie otworzył sobie drzwi do wspólnej sypialni.

Przypuszczamy, że żaden z kronikarzy nie był dopuszczony do tych intymnych szczegółów pożycia pary książęcej, i że wobec tego żadnemu z nich nie trzeba wierzyć bez zastrzeżeń. Jednakże przekaz Galla trzeba całkowicie odrzucić. Nasz pierwszy kronikarz, piszący w półtora wieku po faktach, zdradza aż nadto wyraźnie brak ścisłych informacji. Nie wie on, czyją córką była Dobrawka, a już zupełnie fałszywie przypuszcza, jakoby zgoda Mieszka na chrzest była warunkiem wstępnym jego małżeństwa.

O wiele pewniejszy jest współczesny wypadkom Thietmar i jego plotek tak całkiem lekceważyć nie można. Ten kronikarz

[1] Anonim, tzw. Gall, *Kronika polska*, str. 71.

przecież także nie chciał obmawiać księżny, wręcz przeciwnie: wysławia ją. Po cóż więc w ogóle wspomina o jej grzesznej — w pojęciu ówczesnych ludzi — niewstrzemięźliwości? Widocznie plotki uwłaczające Dobrawce krążyły szeroko i Thietmar z nimi polemizuje. W ówczesnym świecie chrześcijańskim już sam fakt małżeństwa chrześcijańskiej księżniczki z poganinem, małżeństwa nie pobłogosławionego przez Kościół, musiał wywołać nieprzychylne komentarze. Jak zachowywała się Dobrawka na dworze polskim — nie wiemy. Wiemy jednak coś niecoś o jej gorącej krwi, więc jej niechęć do wstrzemięźliwości nie powinna nas dziwić. Musiały to być rzeczy powszechnie znane, skoro kronikarz nie próbuje przeczyć faktom, lecz je tylko usprawiedliwia budując teorię chytrze wypracowanego planu, który miał przywieść księcia polskiego do światła prawdziwej wiary.

W tę jednak teorię już nam uwierzyć trudno. Nasze wiadomości nie wskazują na to, aby we wdziękach podstarzałej żony miał się Mieszko aż tak bez pamięci rozmiłować. Poza tym decyzja nowej wiary i narzucenia jej państwu była chyba zbyt doniosłym krokiem politycznym, by ją można było podjąć w najrozkoszniejszym nawet łożu.

Romantyczną tę tradycję trzeba więc zarzucić. Niech pozostanie w skarbcu sympatycznych legend!

Ponieważ jednak poza legendą źródła nic nam nie przekazały o motywach decyzji Mieszka, niczego bezwzględnie pewnego nie da się o nich powiedzieć. Odnotujmy więc tylko kilka najbardziej prawdopodobnych domysłów.

Po pierwsze więc naciski idące przez Dobrawkę. — Nie przez Dobrawkę-miłośnicę wszelako, ale przez Dobrawkę jako swego rodzaju reprezentantkę dworu czeskiego. Samo małżeństwo polsko-czeskie nie musiało być jeszcze przypieczętowaniem odpowiedniego układu politycznego; mogło być do niego zaledwie pierwszym krokiem. Nie jest wykluczone, że w dalszych rokowaniach z Czechami wypłynęła właśnie sprawa religii i że Mieszko zabiegając o przyjaźń czeską przyjął w końcu i ten warunek. Takie tłumaczenie byłoby w zgodzie ze

źródłami, uparcie łączącymi małżeństwo z Dobrawką i chrzest w jeden łańcuch wydarzeń.

Po drugie, Mieszkowi zależało również na zbliżeniu się do Niemiec. Używał, być może, w tym celu także pośrednictwa Pragi, od dawna już uległej cesarstwu. W każdym razie w tym właśnie czasie Mieszko I występuje w źródłach niemieckich jako „przyjaciel cesarza". Określenie to nie mówi nic o sentymentach osobistych, lecz jest często używanym w średniowieczu terminem oznaczającym jakiś określony stosunek prawny dwóch partnerów. Sporne jest tylko, czy chodzi tu o stosunek zbliżony bardziej do sojuszu, czy do wasalnej podległości. Nie musimy jednak rozstrzygać tu tego zawiłego problemu. Wystarczy, że w żadnym razie nie mógł wejść w taki stosunek do cesarza poganin. A więc i w tym wypadku źródła podpowiadają nam bardzo istotny motyw, który popychał Mieszka do chrztu.

Trzecie wreszcie prawdopodobne przypuszczenie wysunął wspominany już parokrotnie Gerard Labuda. Jego zdaniem zetknięcie się Polski z Wieletami stanowiło dla państwa Mieszka I groźbę nie tylko zewnętrzną, ale i wewnętrzną. Związek Wielecki był bowiem wówczas scementowany między innymi mocną więzią religijną: ogólnopaństwowym kultem Swarożyca, ogniskującym się w stolicy Związku — Radogoszczy. Kult ten mógł być przyciągającą siłą także dla plemion podległych władzy Mieszka, co w konsekwencji mogło — jak sądzi prof. Labuda — „stanowić dla Mieszka groźbę obalenia ustroju, a co najmniej ograniczenia wpływów politycznych dynastii piastowskiej do ziem polańskich", czyli do Wielkopolski.[1]

Podaliśmy trzy hipotezy tłumaczące, dlaczego właśnie około 966 roku Mieszko I zdecydował się przyjąć chrzest. Niekoniecznie trzeba między nimi wybierać, uzupełniają się one doskonale i wszystkie mogą być słuszne. Nie jedna tylko sprawa, ale cała skomplikowana wówczas sytuacja polityczna

[1] G. Labuda, *Studia nad początkami państwa polskiego*, str. 75.

domagała się od księcia polskiego przyłączenia się do świata chrześcijańskiego.

A teraz o samym chrzcie. Przyzwyczailiśmy się nazywać rok 966 datą „chrztu Polski". Ależ to nieprawda! Ów pierwszy krok ograniczył się na razie do chrztu samego Mieszka. A widzieliśmy już przypatrując się sprawie chrystianizacji u Słowian południowo-zachodnich, że od chrztu księcia do zaprowadzenia chrześcijaństwa w jego kraju bywało bardzo daleko. Te względy polityczne, którymi kierował się książę przyjmując nową wiarę, nie istniały przecież dla ogółu ludności. Aby ją przekonać, potrzeba było długich lat działania dobrze zorganizowanej misji.

W chwili chrztu Mieszka żadnej misji jeszcze w Polsce nie było. Być może Dobrawka przywiozła ze sobą jakiegoś kapelana, ale miał on obowiązki dworskie, a nie zadanie nawracania ludu. Co najwyżej wolno nam się spodziewać, że mógł on udzielić samemu Mieszkowi koniecznych nauk i wiadomości o zasadach religii chrześcijańskiej.

Nie wiemy, niestety, gdzie odbyła się ceremonia chrztu księcia. Nadzwyczaj oszczędne wzmianki źródłowe nie mówią nam nawet, czy stało się to w kraju, czy zagranicą. W zasadzie obie ewentualności byłyby możliwe. Ochrzcić mógł każdy ksiądz, a więc mógł to zrobić także ów przypuszczalnie istniejący kapelan Dobrawki na dworze książęcym. Wątpliwe jednak, żeby rzeczywiście tak się stało. Chrzest księcia nie był przecież jego prywatną sprawą. Był doniosłym krokiem politycznym i przez to wymagał uroczystej ceremonii i nadania mu odpowiedniego rozgłosu. Stanowisko księcia wymagało, aby chrztu udzielił mu co najmniej biskup i aby jego ojcem chrzestnym była jakaś znana i politycznie nieobojętna osobistość. Toteż, jeśli rozejrzymy się po historii, stwierdzimy łatwo, że przyjmowanie chrztu przez pogańskich władców dokonywało się z reguły poza granicami kraju, najczęściej w państwie, z którym stosunki miały być właśnie przez ten chrzest zacieśnione. Świadkiem uroczystości bywał też zazwyczaj chrześcijański monarcha tego państwa. Nawet chrzest tak

niewiele znaczących wojewodów plemiennych Słowian, o którym słyszymy w Ratyzbonie w 845 roku, odbył się w obecności Ludwika Niemieckiego.

Wiele więc wskazuje, że chrzest Mieszka I nie odbył się chyba w Polsce. Z państw sąsiednich wchodziły natomiast w grę dwa: Czechy i Niemcy. Przeciw Czechom przemawiają jednak poważne argumenty. Kraj ten mianowicie, sam dotąd będący właściwie terenem misji mimo stosunkowo dawnych kontaktów z chrześcijaństwem, nie miał wciąż jeszcze własnego biskupa, lecz wchodził w skład niemieckiej diecezji w Ratyzbonie, podległej z kolei metropolii arcybiskupiej w Salzburgu. Może więc do któregoś z tych ośrodków udał się książę polski, który przez cały czas swego panowania utrzymywał właśnie z Bawarią bliskie i zażyłe stosunki.

Zagadkę miejsca chrztu Mieszka I byłoby łatwiej rozwiązać, gdybyśmy znali jego imię chrzestne. Imiona przybierane przez nowochrzczeńców bywały bowiem przeważnie zapożyczane od osób patronujących obrzędowi, a więc od ojca chrzestnego lub od duchownego, który chrztu udzielał. Niestety, mimo wielu badań także tej sprawy nie udało się rozwikłać. Ostatnie jednak nie publikowane jeszcze badania dostarczą nowych argumentów, że chrzestne imię Mieszka było imieniem spotykanym głównie w możnowładczych kołach bawarskich.

Wiemy wszakże, że Mieszko nie przyjmował chrztu pod przymusem ani nie chodziło mu o zwykłą formalność. Chrzest osobisty księcia miał być jedynie wstępem do wielkiej akcji chrystianizacji całej Polski, do uczynienia z chrześcijaństwa — jak już wielekroć mówiliśmy — polskiej religii państwowej. Jeżeli więc w roku 966 książę nawiązał kontakt z silnym bawarskim ośrodkiem kościelnym, to dlaczego nie sprowadził stamtąd zaraz misji, która rozpoczęłaby nawracanie ludności?

Nietrudno to wytłumaczyć. Wszędzie, gdzie książęta słowiańscy propagowali chrześcijaństwo z własnej inicjatywy, dążyli do stworzenia w swych krajach samodzielnej organizacji kościelnej, niezależnej od obcych ośrodków. Dążenie takie zaobserwowaliśmy już w polityce książąt wielko-



Dobrawka, niewłaściwie zwana Dąbrówką, księżniczka czeska, poślubiona w roku 965 Mieszkowi I, miała — jak utrzymuje tradycja — namówić męża do chrztu

Podobizna według portretu Jana Matejki

morawskich. Przynależność kościelna niektórych krajów słowiańskich do niemieckich diecezji nie była wynikiem ich chęci, lecz była narzucona przemocą. Oczywiście więc Mieszko, władca praktycznie od nikogo niezależny, nie myślał nawet o oddawaniu swego kraju pod zarząd biskupów reprezentują-

cych państwowe interesy Niemiec, lecz od początku starał się o zbudowanie osobnej organizacji kościelnej, podległej w sprawach religijnych tylko papieżowi, politycznie zaś podporządkowanej jemu samemu.

Aby tego dokonać, trzeba było nawiązać bezpośredni kontakt z Rzymem. I tu znów przydała się Dobrawka. Niedługo po chrzcie Mieszka udała się do Rzymu jej siostra, księżniczka czeska Mlada, późniejsza opatka klasztoru benedyktynek w Pradze. Mogła ona wystąpić tam jako orędowniczka sprawy polskiej. A że papiestwo też krzywym okiem od dawna patrzyło na zbytnie rozszerzanie się wpływów biskupów niemieckich i wolało nowe tereny misyjne trzymać w bezpośredniej zależności od siebie, więc pozytywne załatwienie żądań Mieszka nie napotkało trudności. W roku 968 przybyła do Polski grupa duchownych z biskupem misyjnym Jordanem na czele.

Pochodzenie Jordana nie jest znane. W dyskusji nad nim wskazywano zarówno na Bawarię, jak i na Lotaryngię, choć nie można wykluczyć także, że pierwszy biskup Polski pochodził z Włoch, gdzie imię Jordan — Giordano — było zawsze bardzo popularne. Nie jest to jednak takie ważne. Do jakiej by narodowości nie należeli pierwsi duchowni chrześcijańscy w Polsce, nie byli oni w żadnym razie ekspozyturą niemieckich czynników państwowych.

Nie możemy wyznaczyć dokładnie daty, kiedy ziemie polskie otrzymały stałą organizację kościelną. To pewne, że przejściowy stan, jakim było zaliczenie Polski do obszaru misyjnego, nie mógł trwać długo. Polska musiała albo otrzymać własną diecezję, albo wejść w skład jakiejś diecezji niemieckiej. Ważnym zadaniem polityki Mieszka I było więc nadal niedopuszczenie do tego drugiego rozwiązania. Toteż książę polski pielęgnował pieczołowicie bezpośrednie stosunki z papiestwem i dopiął celu. Niebawem nastąpiła fundacja biskupstwa dla ziem polskich, które objął prawdopodobnie jeszcze Jordan. Siedzibą biskupstwa było Gniezno, choć później mogły nastąpić pod tym względem jakieś zmiany, gdyż

następca Jordana, biskup Unger, występował już jako biskup poznański.

O rozmiarach sukcesu, jaki osiągnął Mieszko I, najwięcej nam powie rozejrzenie się po pozostałych ziemiach zachodniosłowiańskich. Oto wszystkie one krócej lub dłużej przechodziły przez okres przynależności do diecezji niemieckich. Jedynej Polsce udało się uniknąć tego losu.

Na uzyskaniu własnego biskupstwa nie kończyły się jednak dążenia książąt polskich w zakresie organizacji kościelnej. Własne biskupstwo nie gwarantowało jeszcze całkowicie niezależności tej organizacji od Niemiec. W ustroju Kościoła biskupstwa wchodzą w skład większej prowincji kościelnej, na której czele stoi arcybiskup — metropolita. Wyjątkowo tylko niektóre biskupstwa otrzymały tak zwaną egzempcję, to znaczy wyłączenie spod władzy metropolity i podporządkowanie bezpośrednio papieżowi.

Nie ma żadnego bezpośredniego świadectwa, które by pozwalało rozstrzygnąć, czy Mieszko I uzyskał dla biskupstwa polskiego egzempcję, czy też zostało ono podporządkowane niemieckiej metropolii w Magdeburgu. Na ten temat istnieje długotrwały spór między uczonymi polskimi i niemieckimi, spór o tyle beznadziejny, że żadna ze stron nie może przedstawić wystarczających dowodów na poparcie swego poglądu. Brak odpowiednich dokumentów nie pozwala ustalić prawnego położenia biskupstwa polskiego przed rokiem 1000.

Co innego jednak położenie prawne, a co innego położenie faktyczne. Jeśli niewiele możemy powiedzieć o pierwszym, to co do drugiego wątpliwości nasze nie są tak wielkie. Z jednej bowiem strony pozycja polityczna Mieszka I w końcowej fazie jego panowania była bardzo silna i z tym się w Niemczech liczono, z drugiej zaś strony arcybiskupstwo magdeburskie było zbyt młode — powstało ono dopiero w roku 968 — aby zbyt agresywnie występować ze swymi pretensjami. Niezależnie więc od prawnego sposobu załatwienia sprawy biskupstwa polskiego możemy być przekonani, że w praktyce

działało ono zupełnie samodzielnie i było narzędziem jedynie w rękach księcia polskiego.

Niemniej jednak stan taki groził na przyszłość niebezpieczeństwami. W wypadku zmian w układzie sił politycznych i w miarę wzrostu znaczenia arcybiskupów magdeburskich mogliby ci ostatni wzmocnić nacisk na Kościół polski i doprowadzić do jego rzeczywistego podporządkowania hierarchii niemieckiej. Zabezpieczyć przed tym mogło jedynie utworzenie w Polsce samodzielnego arcybiskupstwa.

Nie było to jednak łatwe i nie mogło być załatwione od razu. Kościół powoływał arcybiskupstwa w ośrodkach mających już poważniejszą tradycję chrześcijańską, decyzja zaś w tej sprawie wymagała wówczas zgody nie tylko papieża, ale i cesarza. Zwróćmy uwagę, że od czasu upadku arcybiskupstwa morawskiego żadne nowe arcybiskupstwo w krajach słowiańskich nie powstało. Uzyskanie arcybiskupstwa przez niedawno dopiero ochrzczonego księcia nie było realne; już przecież powołanie do życia biskupstwa w Polsce było nadzwyczajnym osiągnięciem. Dalszy krok można by uczynić dopiero w warunkach zwiększonej jeszcze potęgi państwa, a i wtedy tylko po uprzednich zabiegach dyplomatycznych. Nie mogło się to już stać za Mieszka I.

Prócz braku polskiego arcybiskupstwa jeszcze jeden fakt ograniczał początkowo niezależność polskiego Kościoła. Oto mianowanie biskupów w strefie wpływów cesarstwa zachodniego było wówczas przywilejem cesarskim. Nie znaczy to oczywiście, by Mieszko I nie miał nic w tej sprawie do powiedzenia. Jego wpływ na obsadę stanowisk kościelnych wynikał jednak i w tym wypadku nie z prawa, lecz tylko z sytuacji politycznej. Kolejni cesarze zbyt liczyli się z księciem polskim, zbyt zależało im na dobrych stosunkach z Polską, aby chcieli narzucać jakieś decyzje personalne Mieszkowi niemiłe. W przyszłości jednak mogłyby na tym tle powstać konflikty, gdyż w mniej pomyślnych dla Polski chwilach cesarze nie musieliby uwzględniać pragnień jej władców przy obsadzaniu stolicy biskupiej. Nawet zaś formalna niezależność polskiego Kościoła

traciłaby praktyczne znaczenie, gdyby jego kierownicy czuli się bardziej związani z cesarzem niż z księciem Polski.

Przed wszystkimi tymi niebezpieczeństwami państwo polskie szczęśliwie się uchroniło. Wielki syn i następca Mieszka I, Bolesław Chrobry, już w pierwszych latach swego panowania zdołał skłonić zarówno papieża, jak i ówczesnego cesarza Ottona III, bardzo mu zresztą przychylnego, do zgody na całkowite usamodzielnienie polskiego Kościoła. W jaki sposób tego dokonał, przedstawimy w dalszym rozdziale opowieści. Na razie ograniczymy się do zanotowania ostatecznego wyniku. Zostało więc utworzone dla Polski nowe arcybiskupstwo w Gnieźnie, któremu miały podlegać cztery biskupstwa: poznańskie, wrocławskie, krakowskie i kołobrzeskie, z tym zastrzeżeniem, że biskupstwo poznańskie miało pozostać do śmierci Ungera niezależne. Wyświęcony został w Rzymie na arcybiskupa gnieźnieńskiego Radzym-Gaudenty, potomek możnej rodziny czeskiej Sławnikowiców, książąt na Libicach, i brat pochowanego w katedrze gnieźnieńskiej św. Wojciecha, o którego działalności i związkach z Polską też jeszcze obszerniej opowiemy. W roku 1000 cesarz Otton III wprowadził uroczyście Gaudentego na nową stolicę arcybiskupią i jednocześnie zrzekł się na rzecz Bolesława Chrobrego i jego następców prawa nominacji biskupów w Polsce.

W ten sposób została w zasadzie ukończona budowa niezależnej organizacji kościelnej w Polsce.

Wielkie było to dzieło zważywszy, że od wyrzeczenia się pogaństwa przez Mieszka I upłynęły zaledwie 34 lata. Dla porównania wspomnijmy, że Czechy, które znacznie wcześniej od Polski weszły w orbitę wpływów chrześcijaństwa, doczekały się własnego arcybiskupstwa w Pradze dopiero w XIV wieku, kiedy wymarli już ich rodzimi książęta Przemyślidzi, a tron dostał się niemieckiej dynastii Luksemburgów.

Kościół niemiecki nie od razu co prawda pogodził się z faktem utraty wpływów na rozwijający się Kościół polski. Niedługo po zjeździe gnieźnieńskim arcybiskup magdeburski zdołał skłonić biskupa poznańskiego Ungera do uznania

zwierzchności Magdeburga. Co więcej, Unger, zatrzymany w Niemczech, gdy zamierzał udać się do Rzymu, złożył również protest przeciw założeniu arcybiskupstwa gnieźnieńskiego. Czy protest ten wypłynął z własnej inicjatywy biskupa, rozżalonego z powodu odebrania mu większej części diecezji, która przed rokiem 1000 obejmowała jeszcze całą Polskę? Nie wydaje się to prawdopodobne. Gdyby bowiem tak było, Unger protestowałby już wcześniej, a wtedy utworzenie nowej organizacji kościelnej w Polsce nie byłoby w ogóle możliwe. Prawo kanoniczne wymagało bowiem, by przy fundowaniu nowej jednostki organizacyjnej Kościoła, to znaczy nowego biskupstwa lub arcybiskupstwa, wyraził uprzednio na to zgodę biskup, który dotychczas sprawował władzę na danym terytorium. Utworzenie arcybiskupstwa gnieźnieńskiego musiało więc nastąpić za zgodą Ungera, a jego spóźniony protest mamy prawo uważać za wymuszony.

Niemniej jednak wspomniany protest stał się podstawą wysuwanych jeszcze przez przeszło sto lat pretensji arcybiskupów magdeburskich do zwierzchnictwa kościelnego nad Polską. Pretensje te nie zmieniły wszakże raz ustalonego stanu faktycznego. Nawet najprzychylniej usposobieni do Niemiec książęta polscy strzegli niezależności polskiego Kościoła. Gdy pod koniec pierwszej połowy XI wieku arcybiskupstwo gnieźnieńskie przejściowo upadło po kilkuletnich zamieszkach w Polsce, książę Kazimierz Odnowiciel, chociaż uznawał zwierzchność cesarską, nie dopuścił do poddania biskupstw polskich pod władzę Magdeburga i uzyskał tytuł arcybiskupi dla biskupa krakowskiego Aarona. Po śmierci zaś Aarona została na powrót odbudowana metropolia gnieźnieńska.

Raz jeszcze odżyły pretensje Magdeburga w XII wieku. Arcybiskupem magdeburskim był wtedy wpływowy w Kościele Norbert, założyciel zakonu premonstratensów, późniejszy święty. Ówczesny papież, Innocenty II, wiele osobiście Norbertowi zawdzięczał. W tych okolicznościach arcybiskupstwo magdeburskie zaniosło skargę przed trybunał papieski przeciw biskupom polskim i żądanie podporządkowania tych ostatnich Nor-



Podział kościelny Polski w końcu XII wieku

1. Granica państwowa Polski i związanej z nią części Pomorza Zachodniego. 2. Granice diecezji. 3. Odcinki graniczne sporne. 4. Stolica archidiecezji. 5. Stolice diecezji. 6. Dawniejsze stolice biskupstw. 7. Miejscowości, których istnienie w XII wieku jest poświadczone przez źródła pisane. Metropolii gnieźnieńskiej podlegały wszystkie uwzględnione na mapce diecezje prócz biskupstwa w Kamieniu Pomorskim

Według mapki zamieszczonej w *Historii Polski* p. red. T. Manteuffla

bertowi. Odpowiedzią na to był wyrok papieski z 1133 roku, odmawiający uznania arcybiskupstwu gnieźnieńskiemu i poddający wszystkie biskupstwa polskie pod władzę Magdeburga. Gdy jednak biskupi polscy wnieśli zażalenie przeciw temu orzeczeniu, wydanemu bez wysłuchania ich racji, sprawa została wznowiona. Tymczasem umarł Norbert, a między polskim księciem Bolesławem Krzywoustym i cesarzem nastąpiło zbliżenie. Nowa sytuacja polityczna wpłynęła na zmianę stanowiska papieża, który cofnął poprzedni wyrok i około roku 1136 uznał ostatecznie metropolię gnieźnieńską. Odtąd nikt już nie kwestionował samodzielności Kościoła polskiego.

Z biskupstw ufundowanych przez Bolesława Chrobrego nie utrzymało się długo biskupstwo kołobrzeskie, gdyż jego teren opanowali zapewne Wieletowie. Biskupa kołobrzeskiego Reinberna widzimy już w 1013 roku w roli kapelana córki księcia, wydanej za mąż na Ruś. Jednakże w dalszych latach liczba biskupstw polskich rosła. Synowi Chrobrego, Mieszkowi II, tradycja przypisuje założenie biskupstwa kujawskiego, którego stolica znajdowała się najpierw w Kruszwicy, później zaś we Włocławku. Za Bolesława Śmiałego powstało zapewne biskupstwo płockie, a za Bolesława Krzywoustego — lubuskie. Wkrótce po śmierci tego ostatniego zostało powołane do życia biskupstwo dla Pomorza Zachodniego z siedzibą najpierw w Uznamiu, później w Wolinie, a na koniec w Kamieniu. Biskupstwo to jednak nie weszło już w skład metropolii gnieźnieńskiej, lecz zostało podporządkowane bezpośrednio Rzymowi.

Tak więc do połowy XII wieku Polska została objęta dość gęstą siecią biskupstw. Powstawanie parafii natomiast było już sprawą późniejszego okresu. Za czasów Krzywoustego podziału diecezji na parafie jeszcze w Polsce nie było.

Omówienie wysiłków organizacyjnych książąt polskich nie byłoby zupełne, gdybyśmy pominęli ich akcję sprowadzania zakonów. Już Bolesław Chrobry założył co najmniej dwa klasztory: w Międzyrzecu i w Trzemesznie. Pierwsi zakonnicy przybyli do nas z Włoch, co zgadzało się z polityką kościelną pierwszych Piastów, starających się jak najmniej korzystać

z usług duchowieństwa niemieckiego. Mógł działać w tym kierunku także Mieszko II, o którym świadectwa współczesne powiadają, że wiele kościołów w Polsce pobudował; były wśród nich zapewne i klasztorne. Zaburzenia po śmierci Mieszka II zniszczyły jednak organizację kościelną w Wielkopolsce, a z nią także klasztory. W ciągu następnego stulecia życie zakonne znów rozkwitło w Polsce. W drugiej połowie XI wieku we wszystkich dzielnicach kraju spotkać już można było bogato wyposażone klasztory, wśród których pierwsze miejsce zajmowało opactwo benedyktyńskie w Tyńcu pod Krakowem. W XII wieku oprócz benedyktynów były także inne zgromadzenia zakonne, a więc kanoników regularnych, wśród nich premonstratensów, czyli norbertanów, a wreszcie cystersów. Obok klasztorów męskich powstawały również żeńskie.

Chociaż nie zawsze zgromadzenia te stawiały sobie cele misyjne, to przecież obecność ich w na pół pogańskim kraju wspierała w jakimś stopniu działalność chrystianizacyjną biskupstw. Na zewnątrz zaś była dobrym świadectwem gorliwości religijnej książąt polskich.

Rozdział piąty

CHRZEŚCIJAŃSTWO WPROWADZA PIASTÓW W „WIELKI ŚWIAT" ZACHODU

Przyjęcie chrztu przez książąt polskich zaczęło dawać im korzyści najwcześniej w polityce zewnętrznej. Było to zresztą jednym z głównych celów Mieszka I.

Ówczesny świat dzielił się na kilka stref. W skład każdej z nich wchodziło wiele krajów, które łączyły wspólne pojęcia religijne, polityczne, prawne. Europa zachodnia i środkowa tworzyła strefę oddziaływania Kościoła rzymskiego. Nie było w niej miejsca na kraje nie uznające łacińskiego chrześcijaństwa. Ziemie ludów pogańskich były tu dla Kościoła terenami misji poprzedzanej mieczami chrześcijańskich feudałów. Pewne zasady współżycia społecznego, które wytworzyły się na Zachodzie i obowiązywały na ogół w stosunkach między panami chrześcijańskimi, traciły wszelką moc wobec pogan. Tych można było do woli oszukiwać, rabować, mordować — i nie tylko nie było to uważane za grzech, ale przeciwnie, bywało tytułem do dumy. Pogan bowiem traktowano jak zwierzęta. I nie myślmy, że tyczyło to tylko ludu słowiańskiego, że była to jedynie właściwa ustrojowi feudalnemu pogarda i obojętność możnych wobec niewolników. Nie! Tak samo możny pan słowiański, ba! — nawet książę, nie był w oczach Zachodu człowiekiem, dopóki się nie stał chrześcijaninem.

Ograniczmy się do jednego, ale wymownego przykładu. Oto w początkach drugiej połowy X wieku wschodnimi terenami Niemiec zarządzał margrabia Gero. Był to jeden z najpotęż-

niejszych feudałów niemieckich i dostojników cesarstwa. Jak wielu ówczesnych ludzi odznaczał się on wielką pobożnością, a może nawet przewyższał pod tym względem przeciętnych swoich współczesnych. Na parę lat przed śmiercią zrezygnował bowiem z wszelkich świeckich dostojeństw, zrzekł się rządów w swej marchii, w której był niemal udzielnym księciem, i poświęcił resztę życia wyłącznie czynom pobożnym. Odbył pielgrzymkę do Rzymu, gdzie — jak pisze kronikarz — „złożył swą broń zwycięską przed ołtarzem pierwszego z apostołów, św. Piotra. Otrzymawszy następnie od władcy apostolskiego ramię świętego Cyriaka, oddał się w służbę Bogu wraz z całym majątkiem. Po powrocie do kraju wybudował klasztor w gaju noszącym nazwę od jego imienia i ustanowił jego ksienią wdowę po swoim synu, Jadwigę, która poprzednio przywdziała welon zakonny, a teraz otrzymała sakrę od biskupa..." [1]

Ten to sławny w całych Niemczech wódz, czczony jako „obrońca ojczyzny", szanowany przez papieża, pobożny tak, że życie kończył w klasztorze, zapisał się w dziejach Słowian następującą historią.

Podejrzewając, że szykuje się poważniejsze powstanie słowiańskie przeciw bezlitosnemu uciskowi niemieckiemu, margrabia Gero uciekł się do podstępu. Zaprosił mianowicie na ucztę trzydziestu książąt słowiańskich, spoił ich winem, a następnie kazał swym ludziom wymordować. „Uczta Gerona" przeszła do historii jako symbol stosunku agresywnego feudalizmu niemieckiego do Słowian.

No cóż, może ktoś przypuszczać, że był to pojedynczy wybryk i że może późniejsza pobożność margrabiego była właśnie pokutą za tę zbrodnię. Nie, mili czytelnicy! O to właśnie chodzi, że przedstawionego wypadku nikt nie uważał za zbrodnię. Gero cieszył się jak najlepszą opinią i poważaniem nie tylko w kołach rycerskich, ale i kościelnych. Biskup Thietmar wystawia mu świetne świadectwo nazywając go wielkim człowiekiem. O samej „uczcie Gerona" pisze mnich Widukind nieomal

---

[1] *Kronika Thietmara*, str. 68—70.

z pochwałą, a w każdym razie uważa postępowanie margrabiego za rzecz najzupełniej naturalną i dozwoloną. Nie potrzebował więc Gero pokutować za postępek, którego ówczesny świat chrześcijański bynajmniej nie uważał za zbrodnię ani nawet za czyn godny nagany.

Mieszkowi I mogły być obojętne zarówno zbrodnie Gerona, jak cała w ogóle chrześcijańska Europa, dopóki nie potrzebował się z nią stykać. Kiedy jednak rozszerzył państwo Polan podporządkowując sobie sąsiednie ziemie słowiańskie, granice jego terytorium zetknęły się z chrześcijańskimi już formalnie Czechami i zbliżyły się bardzo do ziem podległych panom niemieckim. Od świata zachodniego nie można było uciec. Wybór był prosty: albo stać się prędzej czy później obiektem napaści potężnych sąsiadów, którym nie można będzie przeciwstawić wystarczającej do obrony siły, albo wziąć samemu czynny udział w polityce europejskiej. Mieszko, jak wiadomo, nie wahał się, wybrał prędko tę drugą perspektywę. Aktem wyboru było właśnie przyjęcie chrześcijaństwa.

Chrzest umożliwił przede wszystkim zawieranie układów i w ogóle kontakty z władcami chrześcijańskimi.

Nie znaczy to, żeby przedtem nie istniały żadne stosunki między Mieszkiem I a chrześcijańskimi państwami. Te ostatnie nie mogły oczywiście prowadzić zupełnie nieprzejednanej polityki wobec pogan, jeśli ci przedstawiali sobą jakieś znaczenie polityczne. Wiemy, że wysyłała Europa chrześcijańska poselstwa do pogańskiej jeszcze Rusi, prowadziła z nią rozmowy i zawierała porozumienia. Podobne fakty można zaobserwować i w stosunkach między Niemcami a znacznie słabszymi niż Ruś i Polska państewkami Słowiańszczyzny połabskiej. Mieszko I także zresztą porozumiał się z Czechami, zanim jeszcze przyjął chrzest. „Uczta Gerona" pokazuje nam jednak, co warte były w oczach chrześcijan Zachodu umowy z poganami. Poza tym rozmawiali z książętami pogańskimi ci tylko, którzy musieli: sąsiadujący z nimi książęta pomniejszego kalibru i wschodni panowie niemieccy. Dostęp do tych, którzy rzeczywiście kierowali polityką europejską, do takich oso-



Bolesław Chrobry, książę i pierwszy król Polski
Według portretu Jana Matejki

bistości jak cesarz i papież, był dla pogańskiego księcia zamknięty.

Chrzest przeszkodę tę usunął i Mieszko zaczął zaraz skwapliwie z tego korzystać. Od pierwszej chwili nawiązał zwłaszcza bezpośrednie kontakty z papiestwem, dzięki którym — jak już wiemy — zdołał rozwiązać po swojej myśli sprawę misji. Kontakty te nie ograniczyły się do pierwszych lat po chrzcie. Podtrzymywał je książę polski i nadal bardzo pieczołowicie. Istnieje późniejsza tradycja, że gdy Mieszko, zmuszony koniecznościami politycznymi, wyprawiał na dwór cesarski swego małoletniego jeszcze syna Bolesława jako zakładnika, posłał jednocześnie do Rzymu pukiel włosów chłopca prosząc papieża o czuwanie nad jego losem.

Historia ta jest może wymyślona. Źródła pewniejsze nic nie wiedzą o tym, by cesarz żądał od Mieszka syna jako zakładnika. Z drugiej strony pobyt młodego Bolesława na dworze cesarskim nie byłby niczym dziwnym. Należało do ówczesnej tradycji rycerskiej wychowywanie młodych książąt na obcych dworach. Była to okazja do nauki i do nawiązania wielu pożytecznych kontaktów. Skorzystanie z niej byłoby zupełnie w duchu polityki Mieszka. A w takim razie i wiadomości o owym puklu włosów przesłanym papieżowi nie należy kategorycznie odrzucać.

Mamy jednak lepszy i zupełnie pewny dowód utrzymywania przez Mieszka stosunków z papiestwem także w późniejszym okresie jego panowania. Zachowała się mianowicie z tych czasów treść następującego dokumentu:

„Dagone... i Oda... i synowie ich Mieszko i Lambert... nadali świętemu Piotrowi w całości jedno państwo, które zwie się Schignesne..."[1]

Dagone — to imię chrzestne Mieszka I o zniekształconej pisowni. Oda jest jego żoną, którą pojął po śmierci Dobrawki, około roku 980. Schignesne — to zniekształcenie nazwy Gniezna. A zatem przytoczony dokument stwierdza nadanie przez Mieszka jego państwa papiestwu.

[1] G. Labuda, *Słowiańszczyzna pierwotna*, str. 207—208.

Stosunki z papiestwem

Nie wiadomo dokładnie, co o tym sądzić. Jest rzeczą pewną, że nie oznaczało to uznania politycznej zwierzchności papiestwa, które było wtedy jeszcze bardzo słabe i od nikogo tego rodzaju aktów nie wymagało. Chodzi tu raczej o jakieś sprawy kościelne. Być może jest to właśnie wyraz starań Mieszka o uzależnienie biskupstwa polskiego bezpośrednio od papieża, o czym wspominaliśmy w poprzednim rozdziale.[1]

O cokolwiek by tu jednak chodziło, dokument ten jest dowodem ożywionych stosunków między Polską a Rzymem także w ostatnich latach rządów Mieszka I. Kontakty te były bezpośrednie. Książę polski pertraktując z papieżem nie uciekał się do pośrednictwa cesarskiego.

I cesarz wszakże nie był obcą dla Mieszka osobą. Niewiele czasu minęło od chrztu, gdy Mieszko zajął wysokie miejsce w hierarchii Cesarstwa i był określany jako „przyjaciel cesarski".

Postaramy się bliżej określić, jakie to było miejsce. Kronikarz niemiecki Thietmar charakteryzując Mieszka I mówi o nim między innymi w ten oto sposób:

„Za życia znakomitego Hodona... Mieszko nie odważył się nigdy wejść w kożuchu do domu, w którym wiedział, że znajduje się Hodo, ani siedzieć, gdy on się podniósł z miejsca."[2]

Wzmiankę tę, w której kronikarz zestawia Mieszka I z margrabią Hodonem, następcą znanego nam Gerona, rozumie się nieraz jako przedstawienie pokory księcia wobec Hodona. Nie jest to słuszne. W tekście mamy wyraźnie zaznaczoną równorzędną pozycję obydwu wymienionych osób: jeśli Hodo siedział, siedział również Mieszko; gdy Hodo wstawał, dopiero wówczas podnosił się i Mieszko. Jeżeli więc chodzi o honory, Mieszko I zajął w Cesarstwie pozycję równą książętom i margrabiom niemieckim. Pewnie, że to późniejszych, a zwłaszcza współczesnych naszych ambicji nie zadowala; zwróćmy jednak uwagę, że margrabiowie wschodni: Gero i Hodo, przybierali

---

[1] Uprawdopodobniły to przypuszczenie nie publikowane jeszcze badania St. Trawkowskiego.

[2] *Kronika Thietmara*, str. 262.

wobec sąsiadujących z nimi pogańskich książąt Słowian postawę zwierzchników, że pokrzykiwali na nich. Marchia Wschodnia była w praktyce państwem powołanym przez cesarza do podbijania Słowian i rządzenia zwyciężonymi. Jakże więc daleką drogę przebył Mieszko od książątka, dzielnego wprawdzie i zadzierzystego, ale w pojęciu świata chrześcijańskiego niegodnego nawet tego, by mu dotrzymywać słowa, do księcia czczonego na równi z księciem czeskim i niemieckimi książętami Cesarstwa! Mieszko zresztą znaczył niewątpliwie więcej niż wielu z tych, którzy byli na równi z nim honorowani. W bezpośrednim starciu zbrojnym potrafił pokazać, że jest silniejszy od Hodona.

Chrzest bowiem Mieszka nie zabezpieczył go całkowicie przed napadami ze strony panów niemieckich. Kiedy jednak w roku 972 margrabia Hodo najechał ziemie Mieszka, nie dość, że poniósł klęskę, ale naraził się na niezadowolenie cesarza, który kazał mu przerwać natychmiast działania wojenne. Był to jeden z pierwszych sukcesów polityki Mieszka. W analogicznym wypadku, gdyby chodziło o walkę z księciem pogańskim, margrabia dostałby pomoc innych panów niemieckich i poparcie cesarskie. Przeciw ochrzczonemu Mieszkowi taka solidarność już nie występowała. Cesarz nakazywał natomiast panom niemieckim, aby wspomagali Mieszka przeciw pogańskim Wieletom.

Chrześcijański książę polski interesował się również żywo wewnętrznymi sprawami niemieckimi. Związany był zwłaszcza przyjaźnią z książętami bawarskimi, a zażyłość ta datowała się zapewne od czasu, gdy Mieszko załatwiał formalności chrztu. Odtąd Mieszko, chociaż zawsze lojalny wobec cesarzy, sprzyjał wyraźnie dynastii bawarskiej, rywalizującej z cesarską dynastią saską. Objawiało się to szczególnie w okresach bezkrólewia w Niemczech.

Po śmierci cesarza Ottona I w roku 973 książęta niemieccy podzielili się na dwa stronnictwa. Jedno z nich wierne było synowi zmarłego cesarza, Ottonowi II, koronowanemu zresztą jeszcze za życia ojca; drugie poparło kandydaturę na tron

księcia bawarskiego Henryka Kłótnika. Ten drugi obóz czynnie wsparli książęta słowiańscy: polski Mieszko i czeski Bolesław. Gdy jednak szala zwycięstwa przechyliła się na stronę Ottona II, Mieszko uznał jego władzę.

Podobnie było w dziesięć lat później, po śmierci Ottona II, po którym pozostał jedynie małoletni syn, późniejszy Otto III. Znów Henryk bawarski próbował zagarnąć władzę i znalazł poparcie wielu książąt. Oto jak pisze o tym kronikarz niemiecki:

„Henryk, wyjechawszy z Magdeburga, spędził najbliższe święta wielkanocne w Kwedlinburgu wśród radosnych uroczystości. Zjechało się tu mnóstwo książąt państwa, ci zaś, którzy nie chcieli przyjechać, wydelegowali posłów z poleceniem, by pilnie na wszystko baczyli. Podczas tych uroczystości zebrani obwołali go królem i śpiewali na jego cześć hymny pochwalne. Przybyli tam także wśród wielu innych książąt Mieszko, Mściwój i Bolesław i przyrzekli mu pod przysięgą poparcie jako królowi i władcy.”[1]

Zwróćmy uwagę, że wśród stronników Henryka kronikarz wymienia na pierwszym miejscu Mieszka. Jest to jeszcze jeden dowód szacunku, jakim książę polski cieszył się w Niemczech, i wysokiej pozycji, jaką mu przyznawano. Pozycji tej nie osłabiła ponowna klęska Henryka Kłótnika i uznanie Ottona III. Mieszko podporządkował się lojalnie zwycięzcy i niedługo po tym śmiało żądał posiłków cesarskich przeciw swym wrogom.

Wybaczono Mieszkowi w Niemczech nawet te jego postępki, które stały w jaskrawej sprzeczności z prawem i obyczajem chrześcijańskim. Gdy książę polski po śmierci Dobrawki wziął za żonę córkę margrabiego Teodoryka Odę, która była zakonnicą, tak sprawę tę skomentowano:

„...wielką była jej przewina. Albowiem wzgardziła Boskim oblubieńcem dając pierwszeństwo przed nim człowiekowi wojny, co spotkało się z potępieniem ze strony wszystkich dostojników Kościoła... Z uwagi jednak na dobro ojczyzny i ko-

---

[1] *Kronika Thietmara*, str. 146—148.

nieczność zapewnienia jej pokoju nie przyszło z tego powodu do zerwania stosunków, lecz znaleziono właściwy sposób przywrócenia zgody. Albowiem dzięki Odzie powiększył się zastęp wyznawców Chrystusa..." [1]

Kronikarz niemiecki i zarazem biskup nie chce więc nawet wspominać o niewłaściwości postępowania księcia, a choć musi wyrazić swe oburzenie na Odę, która złamała śluby zakonne, przecież i jej winę stara się pomniejszyć. Nie wynikało to bynajmniej z jego dobrotliwości. W innych miejscach kroniki rzuca on gromy na podobne grzechy. Tu jednak łagodzi sprawę, ponieważ rozumie, że należało liczyć się z księciem tak znacznym jak Mieszko.

Bolesław Chrobry jako następca Mieszka I odziedziczył więc już po nim mocną pozycję w Cesarstwie. Nie zadowolił się nią jednak, lecz idąc drogą wytkniętą przez ojca wznosił się stopniowo na coraz wyższe szczeble w hierarchii ówczesnego świata. Umiał stać się jednym z najbliższych współpracowników młodego cesarza Ottona III, który snuł ambitne plany przekształcenia Cesarstwa we wspólnotę wszystkich ludów wyznających łacińskie chrześcijaństwo, gdzie Niemcy stałyby się tylko jednym z jej równouprawnionych członów, obok Italii, Galii i Słowiańszczyzny. Chrobry zdawał sobie sprawę, że realizacja takiej koncepcji dawałaby jemu, najpotężniejszemu władcy w Słowiańszczyźnie Zachodniej, jedno z czołowych miejsc w Europie. Zabiegał więc o rozszerzenie kontaktów z wpływowymi i bliskimi Rzymowi i cesarzowi ludźmi, dbał o to, by szeroko roznosiła się sława jego zasług około krzewienia chrześcijaństwa, jednał sobie także w samych Niemczech możnych panów i książąt tworząc z nich własne stronnictwo.

Szczególnie korzystnym okazało się dla Bolesława zaproszenie do Polski osobistego przyjaciela papieża i cesarza, biskupa Wojciecha. Późniejszy święty, którego koleje opowiemy dokładniej w następnych rozdziałach, bawił przez pewien czas

[1] *Kronika Thietmara*, str. 222.

na dworze Bolesława, a wreszcie został postawiony przez księcia na czele misji udającej się do sąsiedniego kraju pogańskich Prusów. Tam poniósł śmierć męczeńską 23 kwietnia 997 roku. Bolesław wykupił jego ciało i kazał je uroczyście pochować w Gnieźnie.

Męczeństwo Wojciecha zrobiło wielkie wrażenie w Europie, jako że zabity biskup nie tylko sam był przedstawicielem książęcego rodu, ale jeszcze obracał się wśród najbardziej wpływowych ludzi ówczesnego świata i liczył do swych najbliższych przyjaciół samego cesarza. Toteż zaraz został uznany za świętego, a część jego chwały spadła oczywiście na ostatniego jego protektora, to znaczy na Bolesława Chrobrego.

Bolesław umiał wyzyskać nastrój, jak również fakt posiadania w swej stolicy grobu Wojciecha. Wtedy właśnie wyjednał u papieża Sylwestra II zgodę na nową organizację Kościoła polskiego i ustanowienie arcybiskupstwa św. Wojciecha w Gnieźnie.

Na pierwszego arcybiskupa wyświęcony został w Rzymie brat męczennika, Radzym. Wprowadzić go na stolicę gnieźnieńską podjął się Otto III.

Tak doszło do wspaniałego zjazdu w Gnieźnie w roku 1000.

Zanim wytłumaczymy jego wielkie, przełomowe bodaj znaczenie w karierze Bolesława, zapoznajmy się z opisami tego wydarzenia zanotowanymi przez współczesnych. Mamy ich dwa. Jeden pochodzi z kroniki Thietmara, bardzo nieprzychylnego Polsce i Chrobremu. Drugi jest relacją kronikarza zwanego Gallem, który pisał wprawdzie przeszło sto lat później, ale wiadomości czerpał najprawdopodobniej z zaginionego dziś, a współczesnego zjazdowi gnieźnieńskiemu źródła.

Oto tekst Thietmara:

„Cesarz dowiedziawszy się o cudach, które Bóg zdziałał przez upodobanego sobie męczennika Wojciecha, wyruszył tam pośpiesznie gwoli modlitwy... Towarzyszył cesarzowi patrycjusz Ziazo, oblacjonariusz Robert oraz kardynałowie. Nigdy jeszcze żaden cesarz nie wyjeżdżał ani nie wracał do Rzymu z większym przepychem!

...Kiedy poprzez kraj Milczan dotarł do siedzib Dziadoszan, wyjechał z radością na jego spotkanie Bolesław... W miejscowości zwanej Ilua przygotował on przedtem kwaterę dla cesarza. Trudno uwierzyć i opowiedzieć, z jaką wspaniałością przyjmował wówczas Bolesław cesarza i jak prowadził go przez swój kraj do Gniezna. Gdy Otto ujrzał z daleka upragniony gród, zbliżył się doń boso ze słowami modlitwy na ustach. Tamtejszy biskup Unger przyjął go z wielkim szacunkiem i wprowadził do kościoła, gdzie cesarz zalany łzami prosił świętego męczennika o wstawiennictwo, by mógł dostąpić łaski Chrystusowej. Następnie utworzył zaraz arcybiskupstwo... Arcybiskupstwo to powierzył bratu wspomnianego męczennika Radzimowi... Również ufundował tam ołtarz i złożył na nim uroczyście święte relikwie.

Po załatwieniu tych wszystkich spraw cesarz otrzymał od księcia Bolesława wspaniałe dary i wśród nich, co największą sprawiło mu przyjemność, trzystu opancerzonych żołnierzy. Kiedy odjeżdżał, Bolesław odprowadził go z doborowym pocztem aż do Magdeburga, gdzie obchodzili uroczyście niedzielę palmową." [1]

W innym zaś miejscu kroniki Thietmar robiąc aluzję do zjazdu gnieźnieńskiego ubolewa:

„Niech Bóg wybaczy cesarzowi, że czyniąc trybutariusza panem wyniósł go tak wysoko, że ten zapominając o tym, jak postępował jego rodzic, ośmielał się wciągnąć pomału w poddaństwo wyżej od niego stojących i nęcąc ich czczą przynętą znikomych pieniędzy doprowadzać ich do zależności i utraty wolności." [2]

Relacja Galla jest znacznie obszerniejsza:

„...cesarz Otto Rudy przybył do grobu św. Wojciecha dla modlitwy i pojednania z Bogiem, a zarazem w celu poznania sławnego Bolesława... Bolesław przyjął go tak zaszczytnie i okazale, jak wypadało przyjąć króla, imperatora rzymskiego i tak wielkiego gościa. Albowiem przedziwne wprost cuda

---

[1] *Kronika Thietmara*, str. 202—208.
[2] Tamże, str. 262—264.

przygotował na przybycie cesarza; najpierw szyki przeróżne rycerstwa, następnie książąt rozstawił, jak chóry, na obszernej równinie, a poszczególne z osobna stojące szyki wyróżniała odmienna barwa strojów. A nie była to tania pstrokacizna byle jakich lichych ozdób, lecz wszystko, cokolwiek kosztowniejszego można znaleźć u wszelkich ludów; gdyż za czasów Bolesława wszyscy rycerze i wszystkie damy dworskie zamiast sukien lnianych lub wełnianych nosiły płaszcze z delikatnych tkanin, a skór, nawet kosztownych, choćby były nowe, nie noszono na jego dworze bez podszycia kosztowną tkaniną i bez złotogłowiu...

Zważywszy jego chwałę i potęgę, i bogactwo, cesarz rzymski zawołał w podziwie:

— Na koronę mego cesarstwa, to, co widzę, większe jest, niż wieści niosły! — I za radą swych magnatów dodał wobec wszystkich: — Nie uchodzi to, by takiego i tak wielkiego męża księciem nazywać lub komesem, jakby jednego spośród dostojników, lecz wypada chlubnie wynieść go na tron królewski i wywyższyć koroną.

I zdjąwszy z głowy swej diadem cesarski, włożył go na głowę Bolesława na przymierze przyjaźni, i za chorągiew triumfalną dał mu w darze gwóźdź z krzyża Pańskiego z włócznią św. Maurycego, za co w zamian ofiarował mu Bolesław ramię św. Wojciecha. I tak wielką owego dnia złączyli się miłością, że cesarz mianował go bratem i współpracownikiem cesarstwa i nazwał go przyjacielem i sprzymierzeńcem narodu rzymskiego. Ponadto też odstąpił jego władzy oraz jego dostojników wszystko to, co w zakresie zaszczytów kościelnych należało do cesarstwa w królestwie polskim, a także w innych podbitych już przez Bolesława krajach barbarzyńców oraz w tych, które podbije w przyszłości. Układ ten zatwierdził papież Sylwester przywilejem świętego Rzymskiego Kościoła.

Bolesław więc, tak chlubnie wyniesiony na królewski tron przez cesarza, nałożony tak na siebie obowiązek hojności spełniał podczas trzech dni swej konsekracji, prawdziwie cesarskie i królewskie urządzając biesiady, a każdego dnia wszystkie

naczynia i sprzęty zmieniał, zastawiając coraz to inne i jeszcze więcej kosztowne. Ukończywszy wreszcie biesiady, nakazał cześnikom i stolnikom zebrać ze wszystkich stołów z trzech dni złote i srebrne naczynia, bo żadnych drewnianych tam nie miano, mianowicie kubki, puchary, misy, czarki i rogi, i ofiarował je cesarzowi w celu uczczenia go... Komornikom zaś rozkazał podobnie zebrać rozciągnięte tkaniny i obrusy, dywany, kobierce, serwety, ręczniki, i cokolwiek użyte było do nakrycia, i znieść to wszystko do komory cesarskiej. Nadto także wiele innych podarował naczyń, mianowicie złotych i srebrnych rozmaitego wyrobu, płaszcze zaś różnego koloru, ozdoby nie widzianego dotąd rodzaju, kamienie drogie, a tego wszystkiego tak wiele ofiarował, że cesarz tak niezmierne dary uważał za cuda. Poszczególnych zaś jego książąt tak okazale obdarował, że z przyjaznych zrobił ich sobie najprzyjaźniejszymi. Lecz któż zdoła wyliczyć, ile i jakich darów dał przedniejszym, gdy nawet żaden z niezmiernie licznej służby nie odszedł bez podarunku!" [1]

Porównajmy teraz obydwie relacje. Pokrywają się one w zasadzie, gdy chodzi o wspaniałości przyjęcia, jakie zgotował cesarzowi Bolesław. Wprawdzie w szczegółowym opisie Galla jest trochę przesady, gdyż dla tego kronikarza były to już czasy zamierzchłe, które w jego wyobraźni rysowały się jako „wiek złoty", kiedy — jak sam pisze — „złoto... było w powszechnym posiadaniu u wszystkich, jak dziś srebro, srebro zaś było tanie jak słoma" [2]. Przesada ta nie zmienia jednak faktu, że Bolesław olśnił gości bogactwem i hojnością, co także drugi kronikarz wyraźnie stwierdza. Nie mamy też wątpliwości co do kościelno-organizacyjnego znaczenia wizyty Ottona III, o czym mówiliśmy już poprzednio. Ale oprócz tego wszystkiego na zjeździe gnieźnieńskim zapadły też jakieś doniosłe decyzje polityczne, o których niechętny Chrobremu Thietmar wspomina zaledwie półgębkiem, Gall natomiast rozpisuje się szeroko. Nad tym właśnie musimy się chwilę zastanowić.

[1] Anonim, tzw. Gall, *Kronika polska*, str. 72—74.
[2] Tamże, str. 73.

Fragment rękopisu *Kroniki Thietmara*,
obejmujący relację o zjeździe gnieźnieńskim

Gall mówi o koronacji Chrobrego. To, co nastąpiło w Gnieźnie w roku 1000, nie było jednak na pewno koronacją królewską. Po pierwsze dlatego, że korony królewskie rozdawał papież, a nie cesarz, po drugie zaś dlatego, że — jak wiemy skądinąd — Bolesław koronował się na króla dopiero w 1025 roku. Gall o tej prawdziwej koronacji widocznie nic nie wiedział, ale wiedział za to, że Chrobry był królem, sądził więc, że obrzęd ten odbył się właśnie podczas owej uroczystej wizyty cesarskiej w Gnieźnie.

Coś zbliżonego do koronacji musiało się jednak odbyć na

zjeździe gnieźnieńskim. Że jakieś nowe wyniesienie Bolesława w hierarchii ówczesnych książąt nastąpiło, widać doskonale z oszczędnych słów nieprzyjaznego Chrobremu Thietmara. Kronikarz niemiecki przy tej właśnie okazji przypomina, że Mieszko był jeszcze uważany za równego innym książętom cesarstwa, teraz zaś cesarz uczynił Bolesława panem. W dalszym ciągu skarży się Thietmar na to, że osoby wyżej dotąd stojące od Bolesława stały się następnie od niego zależne.

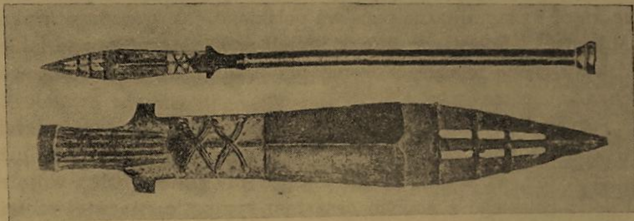
Gdyby w Gnieźnie cesarz uznał Bolesława za niezależnego władcę, te narzekania Thietmara byłyby niezrozumiałe. Dlaczegoż bowiem mieliby się wówczas stać zależni od księcia polskiego owi dotąd „wyżej od niego stojący"? Taka sytuacja mogła powstać jedynie w tym wypadku, jeżeli Bolesław zajął jakieś niezwykle wysokie stanowisko w samym Cesarstwie.

Najprawdopodobniej tak właśnie się stało. Dawno już zwrócono w nauce uwagę na to, że opisane przez Galla ceremonie gnieźnieńskie zdradzają duże podobieństwo do obrzędów związanych z nadaniem godności patrycjusza. Ich punktem centralnym było włożenie na głowę patrycjusza złotego diademu, co przypominało koronację. Pomyłka kronikarza, który, znając wydarzenia gnieźnieńskie z cudzego opisu, dopatrzył się w nich koronacji, byłaby więc zrozumiała.

Jakie przywileje były związane z godnością patrycjusza, tego — niestety — dokładnie nie wiemy. Godność taka istniała w starożytnym cesarstwie rzymskim. Po jego upadku występowała ona na Zachodzie, treść jej jednak bywała w rozmaitych okresach różna. We wczesnym średniowieczu oznaczała ona przede wszystkim świecką władzę nad Rzymem. Tytuł patrycjuszy posiadali więc władcy państwa Franków, odkąd objęli patronat nad Rzymem, wśród nich także Karol Wielki. Również Otto III obok tytułu cesarskiego przybrał jeszcze tytuł patrycjusza. Tę samą godność nadał później swemu bliskiemu współpracownikowi Ziazonowi, mianując go w ten sposób swoim namiestnikiem w Rzymie. Patrycjuszką też została ciotka Ottona, Matylda, która w imieniu nieobecnego cesarza sprawowała rządy w Niemczech. Wnosić z tego można, że w owym czasie

patrycjusz był po prostu zastępcą cesarza. W każdym zaś razie była to najwyższa po cesarzu świecka godność honorowa.

Zrozumiała jest w takim razie wściekłość Thietmara wobec faktu, że książę polski został przełożony ponad wszystkich niemieckich książąt cesarstwa i stał się niejako ich panem.



Włócznia świętego Maurycego, którą cesarz Otto III wręczył Bolesławowi Chrobremu na zjeździe gnieźnieńskim

Wypadki gnieźnieńskie nie były wywołane jakimś tylko chwilowym uniesieniem Ottona III. Okazywał on nadal Bolesławowi przyjaźń i szacunek podkreślając jego wyjątkową rolę w Cesarstwie. Z Gniezna Bolesław Chrobry z pocztem 300 rycerzy towarzyszył cesarzowi do Magdeburga, a stamtąd do Akwizgranu. W Akwizgranie odbyły się nowe uroczystości, związane z odkryciem grobu Karola Wielkiego w tamtejszej bazylice Najświętszej Marii Panny. Zwłoki Karola odnaleziono w pozycji siedzącej na tronie królewskim. Otto zabrał z szyi swego poprzednika złoty krzyż, a tron Karolowy darował podobno Bolesławowi.

Trudno nieraz zrozumieć znaczenie poszczególnych postępków Ottona III, który lubował się w symbolice dziś dla nas obcej. Toteż pogląd na stosunek wzajemny Ottona i Bolesława bywa w nauce rozmaity. Niektórzy uczeni przypisywali nawet Ottonowi chęć ustąpienia godności cesarskiej Chrobremu, a przynajmniej wysunięcia księcia polskiego na swego następcę. Inni ograniczają znaczenie polityczne zjazdu gnieźnieńskiego do

uznania przez cesarza niezależności Bolesława, połączonego ze zgodą na jego przyszłą koronację.

Jakkolwiek będziemy się na to zapatrywali, faktem jest, że w okresie zjazdu gnieźnieńskiego Bolesław Chrobry zdobył sobie uznanie jako jedna z czołowych osobistości ówczesnej Europy. Na tę jego pozycję złożyły się w równej mierze faktyczna zamożność i siła militarna państwa polskiego, jak zręczna polityka Mieszka I i Bolesława, którzy umieli spożytkować atuty, jakie dawały znane w całej Europie ich zasługi wobec łacińskiego chrześcijaństwa.

Pozycja Bolesława nie uległa osłabieniu także po śmierci Ottona III, choć następny cesarz, Henryk II, nie był mu już przychylny. W trwającej kilkanaście lat (1004—1018) wojnie księcia polskiego z nowym cesarzem sympatie znacznej części panów niemieckich były przez cały czas po stronie Chrobrego. Politykę Henryka II głośno krytykowano, wysławiając Bolesława i podkreślając — jako argument — jego oddanie sprawie chrześcijaństwa. Otwartym stronnikiem Chrobrego był między innymi margrabia Henryk ze Szwejnfurtu, który wystąpił zbrojnie przeciw cesarzowi. Sprzyjał niedwuznacznie księciu polskiemu Guncelin, margrabia Miśni. Takich zaś, którzy na pozór lojalni wobec cesarza należeli w rzeczywistości do zwolenników Bolesława, można by wymienić wielu. Z reguły zbyt późno docierały do cesarza wiadomości o tajnym porozumieniu jego wasalów z księciem polskim. O jednej z takich spraw relacjonuje Thietmar:

„...doszło do uszu królewskich, że mój krewniak Wirinhar udał się wraz z bratem margrabiego bez pozwolenia królewskiego do Bolesława i wygłaszał tam słowa nie dające się pogodzić z lojalnością wobec swego władcy oraz że przyjmował u siebie w sekrecie posłów Bolesława."[1]

Nie mógł więc Henryk II obniżyć pozycji Bolesława. Zawierając z nim tymczasowy pokój w Merseburgu w 1013 roku przyjmował księcia polskiego z honorami, jakie się należały udzielnemu władcy.

[1] *Kronika Thietmara*, str. 438.

Mimo to perspektywy na dalsze odgrywanie przez Bolesława takiej roli w cesarstwie, jaką przeznaczył mu Otto III, stale malały. Stronnictwo ottońskie w Niemczech ostatecznie przegrało. Henryk II i jego otoczenie chcieli utwierdzać zupełnie inne cesarstwo niż to, o jakim mówili z sobą Otto III i Bolesław Chrobry w Gnieźnie.

Wolny związek równouprawnionych narodów chrześcijańskich uważał nowy cesarz za szkodliwą mrzonkę; dla niego i jego następców Cesarstwo miało być po prostu wywyższeniem królestwa niemieckiego. W tak pojętym Cesarstwie Chrobry nie widział oczywiście miejsca dla siebie.

Tym żywiej pragnął Bolesław podtrzymać teraz stosunki z papiestwem i z rąk papieża otrzymać koronę królewską, której posiadanie zrównałoby go ostatecznie z królami niemieckimi.

Wiele lat upłynęło Chrobremu na staraniach o tę koronę. Droga do Rzymu wiodła z Polski zawsze przez Niemcy, gdzie Henryk II i jego ludzie nie spali i potrafili nieraz zatrzymywać poselstwa słane przez księcia polskiego do papieży. Toteż nawiązywane w sprawie korony rozmowy rwały się raz po raz. Dopiero po śmierci Henryka II zdołał Bolesław doprowadzić sprawę do końca i korzystając z zamieszania w Niemczech uroczyście się koronował na parę miesięcy przed własnym zgonem, w roku 1025.

Na podstawie zachowanych relacji o koronacjach innych władców w tym samym mniej więcej okresie można odtworzyć przypuszczalny przebieg koronacji pierwszego polskiego króla. Spróbował to zrobić w swej monografii o Chrobrym przedwojenny historyk Stanisław Zakrzewski, którego opis wobec tego przytoczymy:

„Na zamku radził jeszcze król z doradcami, a w katedrze arcybiskup z duchowieństwem i ludem wyczekiwał nadejścia króla. Gdy ten ukazał się na czele orszaku, przy czym niesiono świętą włócznię, arcykapłan z pastorałem w prawym ręku, ubrany w ornat, paliusz i w infułę, lewą ręką ujął prawicę króla i szedł z nim aż do środka świątyni. Doszedłszy ku miejscu wywyższonemu, zwrócił się do stojącego naokoło ludu ze słowami:

— Oto przyprowadzam wam wybranego przez Boga króla Bolesława.

Na co lud cały okrzykiem wielkim życzył nowemu królowi wszelkiej pomyślności.

Po czym arcykapłan z królem udał się do ołtarza, na którym spoczywały insygnia królewskie, a to miecz z pasem, płaszcz z naramiennikami i berło, i diadem. Wziąwszy miecz z pasem, arcybiskup powiedział:

— Przyjm ten miecz, którym na mocy powagi boskiej i władzy królestwa przekazanej tobie powinieneś wyrzucić wszystkich wrogów Chrystusa, barbarzyńców i złych chrześcijan, a to dla pokoju wszystkich chrześcijan.

Ubrawszy zaś króla w chlamidę i naramienniki, rzekł:

— Te naramienniki opuszczone na dół powinny cię napomnieć, byś gorzał żarem wiary i trwał aż do końca w strzeżeniu pokoju.

Z kolei ujął kapłan berło i wręczył je:

— Tym znakiem będziesz karał po ojcowsku poddanych; wyciągniesz zaś rękę miłosierdzia przede wszystkim sługom Bożym, wdowom i sierotom. Niech oleju miłosierdzia nigdy nie brakuje na twej głowie, byś dzisiaj i na zawsze mógł być ukoronowany.

Po namaszczeniu króla świętym olejem i po ukoronowaniu go złotym diadematem... biskupi zaprowadzili króla na tron, na który wstępowało się po stopniach. Było to może owo słynne krzesło z krypty grobowej Karola Wielkiego, nadesłane ongi przed dwudziestu pięciu laty przez Ottona z Akwizgranu.

Podczas nabożeństwa czy to koronator, czy jeden z obecnych biskupów, zwrócił się do króla z przemową...

Po ukończeniu Służby Bożej (to znaczy: mszy) i królewskiego namaszczenia król podniósł się... Szedł... jakby mu lat ubyło, wrócił do komnat z wesołym obliczem w przyzwoitym pochodzie, otoczony biskupami.

Stąd udał się na ucztę, przyjęty po królewsku, i w ten sposób strawił dostojnie resztę dnia pierwszego swej królewskiej godności.

Wolno przypuszczać, że licznych gońców i parę uroczystych

poselstw rozesłał Chrobry do krajów sąsiednich, do przyjaciół i wrogów, z zawiadomieniem o koronacji pierwszego Piasta i Polaka."[1]

Czym więc była i co oznaczała w owych czasach koronacja królewska?

Koronacja była obrzędem kościelnym. Jego najistotniejszym momentem było, obok wręczenia oznak władzy królewskiej, a więc przede wszystkim samej korony, namaszczenie świętymi olejami. Bez tego uświęcenia koronacja nie byłaby pełną, nie byłaby legalną. Toteż obrzędu tego dokonywali dostojnicy kościelni — arcybiskupi, działając w imieniu papieża. Ponieważ zaś sama ceremonia stała się kościelną, więc o dopuszczeniu do niej decydował ostatecznie Kościół. Stąd już krok do przekonania, że rozdawcą koron królewskich jest papież.

Król koronowany, a zatem namaszczony i pobłogosławiony w kościele, otrzymywał przez to władzę jak gdyby bezpośrednio od Boga. Stawał się pomazańcem, podobnie jak biskupi. Nie był zależny od żadnej władzy świeckiej, a więc i od cesarskiej. Tytuł królewski oznaczał zatem całkowitą suwerenność.

Jeżeli więc na zjeździe gnieźnieńskim Bolesław Chrobry otrzymał uznanie swej niezależności od Niemiec, ale był jeszcze poddany cesarzowi, to jego koronacja obalała i tę ostatnią zawisłość. Jako król polski stanął wtedy w rzędzie nielicznych dynastów nie ograniczonych w swej władzy przez żadną siłę zewnętrzną.

Koronacja Chrobrego wywołała gniewne komentarze w Niemczech, nikt jednak nie kwestionował legalności tego kroku. Bez przeszkód też koronował się na króla jego syn i następca na tronie polskim, Mieszko II. Dopiero niepowodzenia wojenne, jakie go spotkały, i trudności wewnętrzne zmusiły go do zrzeczenia się tytułu królewskiego. Późniejsi władcy państwa polskiego nie mogli osiągnąć znaczenia międzynarodowego równego Chrobremu; niektórzy z nich musieli formalnie uznawać w jakimś stopniu zwierzchność cesarską, inni — jak choćby Bolesław Śmiały — otwarcie głosili swą niezależność wieńcząc głowę

[1] St. Zakrzewski, *Bolesław Chrobry Wielki*, str. 350—353.

królewską koroną. Takie lub inne postępowanie było przeważnie wynikiem istniejącej w danej chwili sytuacji politycznej, która czasem pozwalała, innym zaś razem nie pozwalała na śmielsze kroki. Faktem jest jednak, że Polska piastowska po Chrobrym nigdy już nie znalazła się w rzeczywistej zależności od cesarza i że w sprzyjających okolicznościach mogła nawet rzucać Cesarstwu otwarte wyzwanie, jak to czynił nie tylko Bolesław Śmiały, ale niedługo potem także Bolesław Krzywousty. Trwałe więc było dzieło Mieszka I i jego wielkiego syna, którzy potrafili we właściwej chwili przyjąć chrześcijaństwo i spożytkować je nie tylko dla wewnętrznego scementowania państwa, lecz również dla zapewnienia sobie i państwu mocnej i uznawanej pozycji w ówczesnym świecie.

Wiele było zapewne wartości również w kulcie pogańskim. Rodzime pogaństwo było niewątpliwie ważnym elementem ówczesnej kultury słowiańskiej. Musimy jednak zdawać sobie sprawę, że na pogańskie państwa w owym czasie nie było już miejsca w Europie. Te ludy słowiańskie, które tego w porę nie zrozumiały, uległy obcej przemocy, a następnie germanizacji. Aby zająć należne miejsce wśród narodów Europy, trzeba było włączyć się w ich wspólnotę religijną. Mieszko I i Bolesław Chrobry, a także ich najbliżsi następcy, dobrze rozumieli, gdzie był ówczesny „wielki świat", i że tylko chrześcijaństwo mogło ich weń wprowadzić.

Rozdział szósty

O MISJI W POLSCE, JEJ PRZEBIEGU I REZULTATACH

Czy sukcesom książąt polskich na polu budowy niezależnej organizacji kościelnej, a także na polu walki o jak najkorzystniejszą pozycję Polski wśród państw chrześcijańskich, odpowiadały również szybkie postępy chrześcijaństwa w kraju? Jak odbywało się nawracanie polskiej ludności pogańskiej na nową wiarę?

Misja, która przybyła z Jordanem w roku 968, nie mogła być liczna, a i później, w pierwszych dziesięcioleciach swego istnienia, Kościół polski nie dysponował większą liczbą duchownych. Póki nie wyrosła kadra księży pochodzenia polskiego, póty napływ kleru z zagranicy nie mógł wystarczyć na obsłużenie potrzeb religijnych całej ludności. Trudno sobie wyobrazić, by księża ci mogli w ogóle dotrzeć do zakątków kraju bardziej odległych od głównych grodów. Możemy być pewni, że nie tylko za życia Mieszka I, ale nawet za panowania Chrobrego byli w Polsce ludzie, którzy nigdy nie widzieli kapłana chrześcijańskiego.

Przed nielicznym duchowieństwem przebywającym w Polsce stały zresztą przede wszystkim zadania organizacyjne, a następnie obsługa samego dworu książęcego. Książę zaś potrzebował duchownych nie tylko do odprawiania mszy i innych obrzędów religijnych. Byli to przecież jedyni wykształceni ludzie w państwie, więc — tak zresztą, jak i w krajach Europy zachodniej — wyzyskiwali książęta ich umiejętności dla spraw



Mieszko II

Według miniatury jemu współczesnej. Jej treścią jest wręczenie królowi polskiemu księgi liturgicznej przez księżniczkę szwabską Matyldę

państwowych, trzymali ich chętnie przy sobie w radzie, posługiwali się nimi w poselstwach zagranicznych, słowem wkładali na ich barki wiele zadań nie związanych z misją religijną.

Polska — powtarzamy — nie była pod tym względem wyjątkiem. Wskazywaliśmy już parokrotnie że w tych krajach, których książęta przyjmowali chrzest w mniej sprzyjających okolicznościach politycznych, postępy misji wewnętrznej były bardzo powolne. Co więcej, w większości tych krajów ludność stykała się najczęściej nie z nauką kościelną, lecz z obciążeniami gospodarczymi, które powodowało wprowadzenie na jej ziemie organizacji kościelnej. Opłaty na rzecz Kościoła stanowiły poważne obciążenie gospodarstw drobnej własności, co entuzjazmu

dla nowej religii oczywiście nie budziło i — obok innych względów — utrudniało skuteczną działalność misji.

W Polsce warunki działania pierwszej misji były pod tym względem korzystniejsze. Biskupstwo misyjne było bowiem na bezpośrednim utrzymaniu księcia i dopiero rozrost organizacji kościelnej i stabilizacja utworzonych biskupstw stworzyły konieczność oparcia ich bytu materialnego na nowych podstawach. Być może dopiero za Mieszka II przerzucono na całą ludność obowiązek płacenia Kościołowi dziesięciny. W każdym razie dopiero wtedy słyszymy o jakimś bardziej masowym oporze, o czynnych wystąpieniach ludu przeciwko biskupom i kapłanom.

W początkach chrystianizacji Polski niczego właściwie o oporze ludności nie wiemy. Nie można co prawda wykluczyć, że jest to spowodowane brakiem źródeł, które by o tym informowały, wydaje się jednak, że rzeczywiście czynnego oporu nie było, a dlaczego — postaramy się zaraz wyjaśnić.

Społeczeństwo polskie X—XI wieku było społeczeństwem wczesnofeudalnym. Podstawową masę ludności stanowili wolni właściciele drobnych gospodarstw rolnych, popadający stopniowo w zależność od stosunkowo nielicznego możnowładztwa, którego podstawą ekonomiczną była wielka własność ziemska. Możnowładztwo to wyodrębniło się jeszcze w czasach przedpiastowskich, byli zapewne wśród niego także potomkowie politycznych przywódców różnych drobniejszych organizacji państwowych, które zostały zjednoczone przez poprzedników Mieszka I i przez niego samego. Ludzie ci mogli być niebezpieczni dla monarchii piastowskiej, wśród nich bowiem szczególnie łatwo rodziły się tendencje odśrodkowe.

Ogół ludności poza ową klasą możnych będziemy dla uproszczenia nazywać ludem. Nie znaczy to jednak, by była to masa jednolita. Wręcz przeciwnie: zróżnicowanie wewnątrz niej było bardzo wielkie i wyrażało się głównie w niejednakowym stopniu zależności poszczególnych jej grup od feudalnego możnowładztwa. W skrajnych przypadkach zależność ta przybierała już charakter poddaństwa. Większość ludności cieszyła się wszakże

w tym okresie wolnością, chociaż stały nacisk możnych sprawiał, że liczebność owych wolnych powoli, ale systematycznie spadała. Jedynie drobna ich część, która znalazła się w służbie książęcej, potrafiła wzmocnić swoją pozycję, a nawet — zbogacona łupami wojennymi i łaską monarszą — przejść do kategorii wielkich posiadaczy.

Pewne różnice sytuacji ekonomicznej, interesów i znaczenia politycznego dadzą się także stwierdzić między ludnością osiadłą z dala od głównych ośrodków państwa a tą, która zamieszkiwała w pobliżu grodów. Szczególnej uwagi wymaga ludność rzemieślniczo-handlowa podgrodzi, zalążków późniejszych miast. Sądząc po analogiach ruskich była ona politycznie bardzo aktywna i stanowiła czynnik, z którym zarówno książę, jak i możni musieli się poważnie liczyć.

Pamiętając jednak o dość skomplikowanej strukturze ówczesnego społeczeństwa, będziemy w dalszym ciągu posługiwać się dla jasności wykładu zasadniczym przeciwstawieniem: możni — lud. Tam jedynie, gdzie stosunek którejś z warstw ludu do chrześcijaństwa okaże się nieco odrębny, zaznaczymy to specjalnie.

W akcji misyjnej na terenie Polski dadzą się zauważyć dwa etapy, ponieważ nieliczna misja, która przybyła szczepić chrześcijaństwo w naszym kraju, nie nadawała się do akcji masowej. Pierwszym etapem, ważnym szczególnie dla państwa, było spopularyzowanie nowej wiary wśród górnej warstwy społeczeństwa. Dotarcie do ludu leżało dopiero w dalszej perspektywie. Ogół ludności, który nie tak prędko zetknął się z naciskiem Kościoła, nie miał więc też na razie przeciw czemu się buntować.

Wczesne dzieje Polski są bardzo ubogie w źródła historyczne. Nie ma wśród nich w każdym razie żadnego opisu czy sprawozdania z przebiegu działań misji biskupa Jordana. A przecież bardzo jesteśmy ciekawi, jak ona wyglądała. Czyżby to pytanie miało, jak wiele innych, pozostać bez wyraźnej odpowiedzi?

Na szczęście nie jest tak źle. Działalność misji w różnych krajach, w których państwo wprowadzało religię chrześcijańską,

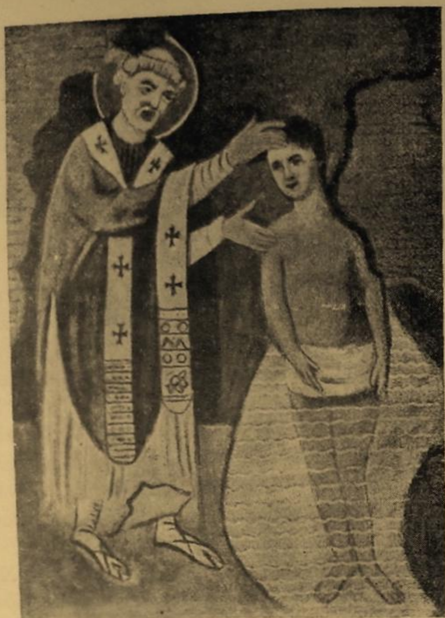
była bliźniaczo podobna. A ponieważ mamy opisy prac misyjnych zarówno w późniejszych wiekach na Pomorzu i na Litwie, jak i zbliżonych w czasie do misji polskiej — na Rusi, więc dość dokładnie możemy sobie wyobrazić, jak szerzyli chrześcijaństwo Jordan i jego towarzysze.

Na Pomorzu Zachodnim w XII wieku delegowany tam biskup Otton z Bambergi jeździł kolejno po większych grodach —stolicach poszczególnych ziem. Najpierw starał się pozyskać sobie możnych. Z tymi prowadził rozmowy, wyjaśniał im zasady chrześcijaństwa, namawiał do przyjęcia nowej wiary. Gdy ta część misji została uwieńczona powodzeniem, to znaczy gdy miejscowe możnowładztwo zgadzało się przyjąć chrzest, wówczas zaczynała się akcja masowa. Zwoływano ludność z całej okolicy na zgromadzenie, przedstawiciele możnych komunikowali zebranym o swojej decyzji, biskup zaś wygłaszał kazanie. Po tych przemówieniach następował chrzest zgromadzonych. Biskup chrzcił od razu kilkaset czy nawet kilka tysięcy ludzi i na tym jego działalność w danej miejscowości kończyła się w zasadzie.

Nieco inaczej przebiegała chrystianizacja Litwy w XIV wieku. Tam książę Jagiełło, a wraz z nim co znaczniejsi panowie litewscy przyjęli już uprzednio chrzest w Krakowie. W kraju pozostawał do przeprowadzenia tylko chrzest ludu. Objeżdżał więc Jagiełło z biskupami Litwę, na wyznaczonych miejscach gromadziła się na jego rozkaz ludność danej prowincji, księża dzielili ją na kilka grup, po czym biskup chrzcił każdą grupę hurtem. Członkowie jednej grupy otrzymywali imię Jan, innej — Piotr, trzeciej — Paweł, i tak w krótkim czasie cała Litwa została formalnie ochrzczona.

Podobnie postępował na Rusi Włodzimierz, rozpoczynający chrystianizację swego kraju w niewiele lat po naszym Mieszku. Kronikarz ruski tak to opisuje:

„Włodzimierz... przyszedł do Kijowa. Gdy przyszedł, kazał bałwany wywracać, owe porąbać, a drugie w ogień rzucić. Peruna zaś kazał przywiązać koniowi do ogona i wlec... do ruczaju. Dwunastu chłopów przystawił, aby go bili kijami... Gdy wlekli



Św. Cyryl chrzci Słowianina
Fresk z X wieku na ścianie bazyliki św. Klemensa w Rzymie

go ruczajem do Dniepru, płakali za nim ludzie niewierni, albowiem chrztu świętego jeszcze byli nie przyjęli. I przywlókłszy wrzucili go w Dniepr...

Potem zaś Włodzimierz posłał po wszytkim grodzie, mówiąc:

— Ktokolwiek jutro nie przyjdzie nad rzekę, bogaty czy ubogi, czy wyrobnik, popadnie u mnie w niełaskę.

Słysząc to ludzie szli z radością, ciesząc się i mówiąc:

— Gdyby to dobra sprawa nie była, tedy by książę i bojarowie nie byli jej przyjęli.

Nazajutrz tedy wyszedł Włodzimierz z kapłanami cesarzówny... nad Dniepr. I zeszło się ludzi bez liku. Weźli w wodę i stali

owi po szyję, a drudzy po piersi, młodzi zaś z brzegu, drudzy dzieci trzymając, dorośli zaś brnęli, a kapłani stojąc odprawiali modlitwy... Gdy się ludzie ochrzcili, rozeszli się każdy do domu swego."[1]

Nie ulega wątpliwości, że tak samo mniej więcej wyglądały te sprawy w Polsce. Najbliższe otoczenie Mieszka I przyjęło zapewne chrzest razem z nim. Innych wielmożów trzeba było nakłonić do tego samego. Lud zaś zwoływano na rozkaz książęcy, by uczestniczył w obrzędzie masowego chrztu, którego znaczenia najprawdopodobniej nawet nie pojmował. I księciu, i misji chodziło w danym wypadku tylko o formalność.

Nie sądźmy przecież, by biskup Jordan czy nawet książę rzeczywiście myśleli, że taki formalny, masowy chrzest wyczerpuje zadanie misyjne. Rozumieli oni na pewno konieczność zapoznania tego niby ochrzczonego ludu z zasadami nowej religii, systematycznego wykorzeniania pojęć pogańskich, wdrażania do życia według przykazań kościelnych. Na to wszystko nie było jednak na razie czasu, więc odkładano to na przyszłe lata, gdy okrzepnie i rozrośnie się organizacja kościelna w Polsce oraz gdy szerszej akcji misyjnej udzieli swego poparcia zdobyte dla nowej wiary możnowładztwo. W pierwszej kolejności nad jego nawracaniem trzeba było popracować. Działanie wśród możnych było istotnym zadaniem pierwszych lat, a może nawet dziesięcioleci misji.

Ocena efektów misji, jaką dawali ludzie jej współcześni, odnosi się więc też przede wszystkim do jej postępów wśród wielmożów. Jeśli Thietmar pisze o Jordanie, że „ciężką miał z nimi pracę, zanim niezmordowany w wysiłkach nakłonił ich słowem i czynem do uprawiania winnicy Pańskiej"[2], to jest to świadectwem trudności, jakich doznawała misja w środowisku możnowładczym. Nie sądzimy, by środowisko to sprzeciwiało się przyjęciu chrztu. To mało prawdopodobne. Niełatwo natomiast podporządkowywało się ono wymaganiom Kościoła w zakresie obyczajów.

---

[1] G. Labuda, *Słowiańszczyzna pierwotna*, str. 242.
[2] *Kronika Thietmara*, str. 222.

Dzieje innych, lepiej nam znanych misji, pouczają, że Kościół ówczesny kładł szczególny nacisk w nowo ochrzczonych krajach na zachowywanie przepisanych postów, obserwowanie niedziel i świąt chrześcijańskich, przestrzeganie jednożeństwa, wreszcie odbywanie pokuty za ciężkie wykroczenia. Wymagania te były uważane przez panów słowiańskich za bardzo wielkie i Kościół napotykał silny opór. W szczególności postulaty dotyczące życia seksualnego były odrzucane nawet przez książąt, choć ci najwięcej mieli powodów, by dbać o pozory.

Wspominaliśmy już w innym miejscu, że chrześcijański Mieszko I wziął sobie po śmierci Dobrawki mniszkę za żonę, nic sobie nie robiąc z jej ślubów zakonnych. Bolesław Chrobry dwie pierwsze żony wypędził, gdy mu się znudziły, a politycznej wartości nie miały. Z trzecią — Emnildą — żył wprawdzie długo i podobno szczęśliwie, a samo małżeństwo otrzymało ciepłe wzmianki u kronikarzy jako bardzo chrześcijańskie. Już jednak czwarte małżeństwo, z Odą, córką Ekkeharda margrabiego Miśni, wywołało nowy skandal w kołach kościelnych jako zawarte w okresie Wielkiego Postu, co sprzeciwiało się ówczesnym przepisom. Nie dochował jej zresztą książę polski wierności. Jeszcze w tym samym roku, po zdobyciu Kijowa, kazał sobie przyprowadzić siostrę księcia Jarosława kijowskiego, Predysławę, chełpiąc się wobec swych rycerzy, że „połączy się ona z Bolesławem nie na łożu małżeńskim, lecz tylko jednorazowo, jak nałożnica"[1]. Wbrew zapowiedzi stosunek nie ograniczył się do jednej nocy, lecz — jak informuje Thietmar — „ten stary wszetecznik Bolesław uprowadził ją bezwstydnie zapominając o swojej ślubnej małżonce"[2].

Wspomniane fakty nie świadczą oczywiście, aby życie seksualne Słowian przed przyjęciem chrztu było nieuporządkowane. Bynajmniej. Normy moralne w tej dziedzinie były jednak inne niż te, które niósł ze sobą Kościół. Rozpustę kobiet karano i wówczas okrutnie, i może właśnie chrześcijaństwo wpłynęło na pewne złagodzenie kar. Pisze bowiem Thietmar:

---

[1] Anonim, tzw. Gall, *Kronika polska*, str. 75.
[2] *Kronika Thietmara*, str. 620—622.

„Za czasów pogańskich... jeśli znaleziono nierządnicę jakową, obcinano jej srom, by ją w ten szpetny i okrutny sposób pokarać, następnie zaś — jeśli godzi się o tym mówić — wieszano ów wstydliwy okrawek nad drzwiami domu, by uderzając w oczy każdego wchodzącego, do opamiętania na przyszłość go przywiódł oraz ostrożności. Prawo Boże nakazywało kamieniować za to, a obyczaj naszych przodków żąda obcięcia głowy takim niewiastom."[1]

Według tejże relacji część tych surowych kar utrzymywała się jeszcze za Chrobrego. Oto: „Jeśli ktoś spośród tego ludu ośmieli się uwieść cudzą żonę lub uprawiać rozpustę, spotyka go natychmiast następująca kara: prowadzi go się na most targowy i przymocowuje doń wbijając gwóźdź poprzez mosznę z jądrami. Następnie umieszcza się obok ostry nóż i pozostawia mu się trudny wybór: albo tam umrzeć, albo obciąć ową część ciała."[2]

Nie wszystko jednak, co jako rozpustę kwalifikował Kościół, było nią w oczach miejscowych ludzi.

Na silny opór natrafiały także przepisy kościelne dotyczące postów. Według mniemania kronikarza ruskiego one właśnie miały zadecydować o zerwaniu przez Włodzimierza kijowskiego rozmów z Kościołem łacińskim i wyborze Cerkwi greckiej, znacznie pod tym względem liberalniejszej. W Polsce też post nie budził entuzjazmu i nauki misjonarzy, nie poparte żadną sankcją prócz zagrożenia karą pośmiertną, mało kogo przekonywały. Potrzeba było dopiero interwencji państwa, które za przekraczanie zakazów kościelnych ustanowiło kary, aby z zakazami tymi zaczęto się liczyć. A karało państwo bezlitośnie. Za jedzenie mięsa w Wielkim Poście wybijano winnemu za czasów Chrobrego zęby.

Szczegół ten jest dodatkową wskazówką, że w pierwszych kilkudziesięciu latach istnienia Kościół przykładał główną wagę do umocnienia chrześcijaństwa wśród możnych. Dla nich to bowiem owe posty były tak wielkim ciężarem. Wiemy skądinąd,

---

[1] *Kronika Thietmara*, str. 582.
[2] Tamże, str. 580.

że ogół ludności w Polsce odżywiał się wtedy przeważnie pokarmami roślinnymi. Mięso i bez specjalnych zakazów rzadko gościło na przeciętnym stole. Było ono za to powszechne w jadłospisie warstwy wyższej i nic w tym dziwnego, że Kościół z wielką trudnością wprowadzał w życie ograniczenia jego spożycia.

Współdziałanie państwa z Kościołem, wzmocnienie wątpliwego jeszcze autorytetu biskupów groźbą książęcego gniewu wspomagało oczywiście akcję misyjną. Wolno jednak przypuszczać, że i kary stanowione przez państwo nie wszystkich wielmożów odstraszały. Co silniejsi panowie wiedzieli przecież dobrze, że książę musi się z nimi liczyć i że na ich przekroczenia ostatecznie przymknie oczy. Że tak rzeczywiście było, świadczy tradycja o sprawiedliwości Bolesława Chrobrego zapisana w kronice Galla:

„Gdy mianowicie ubogi wieśniak lub jakaś kobiecina skarżyła się na którego z książąt lub komesów, to chociaż Bolesław był ważnymi sprawami zajęty i otoczony licznymi szeregami magnatów i rycerzy, nie wpierw ruszył się z miejsca, aż ... wysłuchał skargi żalącego się, i wysyłał komornika po owego, na którego się skarżono. A tymczasem ... tak wieśniaka napominał, jak ojciec syna, by zaocznie bez przyczyny nie oskarżał i aby przez niesłuszne oskarżenie na siebie samego nie ściągnął gniewu, który na drugiego rozdmuchiwał... Gdy zaś przybył wielmoża, po którego posłano, nie okazywał mu Bolesław niechętnego usposobienia, lecz przyjmując go z ochoczym i przystępnym obliczem, zapraszał do stołu i sprawę rozpatrywał nie tego dnia, lecz następnego lub trzeciego."[1]

Widzimy więc, że książę robił, co tylko mógł, by możnych sobie zjednać, a skarżących skłonić do wycofania zarzutów. Tam, oczywiście, gdzie przewinienia biły w interes polityki państwowej, a do takich trzeba zaliczyć stawianie oporu Kościołowi, książę bywał surowy. Ale i w tych wypadkach księciu bardziej chodziło o zastraszenie niż o rzeczywiste ukaranie. Tradycja no-

---

[1] Anonim, tzw. Gall, *Kronika polska*, str. 78.

tuje nawet wyroki śmierci wydawane na wielmożów przez Chrobrego, które jednak rychło były łagodzone jakoby za wstawiennictwem księżny. Kończyło się wszystko na wezwaniu winnych do łaźni książęcej, gdzie Bolesław we wspólnej kąpieli chłostał ich rózgami łagodnie napominając:

— Wam, potomstwu takiego, tak wybitnego rodu nie godziło się popełniać takich występków!

Następnie, jak opowiada kronikarz, książę przyodziewał ich w stroje królewskie, dawał podarunki i zlewał na nich jeszcze zaszczyty, po czym puszczał radosnych w drogę do domu.[1]

Przy takim postępowaniu popularność księcia na pewno rosła, ale czy potęgowała się gorliwość chrześcijańska owych „grzeszników" — można wątpić.

Pierwsi biskupi mieli więc wciąż wiele kłopotu ze swymi możnymi owieczkami i przejście do systematycznej pracy misyjnej wśród ludu musiało się odwlekać. Jeszcze za Mieszka II Polska uchodziła w oczach ludzi dobrze zorientowanych za kraj pogański, chociaż sam król słynął daleko za granicami ze swych starań około krzewienia chrześcijaństwa. Gdy zaś po krótkim, zaledwie dziewięcioletnim, a pełnym trosk panowaniu Mieszko II zamknął oczy na wieczny spoczynek, okazało się, jak powierzchowne były dotychczasowe osiągnięcia misyjne. Wśród zamieszek, walk możnych rodów między sobą, powstań ludowych, najazdów nieprzyjaciół — chrześcijaństwo w Polsce, które na pozór tak się wspaniale rozwijało, upadło. Gdy śmierć — gwałtowna czy naturalna — spotkała kilku biskupów, nie było nikogo, kto by zadbał o wyświęcenie ich następców, tak że organizacja kościelna się rozprzęgła i przetrwała te ciężkie czasy jedynie w Krakowie, leżącym szczęśliwie na uboczu, poza terenem głównych walk.

Gdy więc po kilku latach przybył wreszcie do Polski syn Mieszka II, Kazimierz Odnowiciel, i z obcą pomocą odzyskał tron Piastów, zastał kraj zniszczony i kościoły opuszczone. Szczególnie rozpaczliwy obraz przedstawiała Wielkopolska,

[1] Anonim, tzw. Gall, *Kronika polska*, str. 82.





Powstanie ludowe w Polsce

Według rękopisu radziłłowskiego *Powiesti wremiennych let*, ruskiej kroniki, która zawiera wzmiankę o tych wypadkach

gdzie główne grody — Gniezno i Poznań — tak ucierpiały od najazdu czeskiego, że — według obrazowego sformułowania kronikarza — „w kościele św. Wojciecha męczennika i św. Piotra Apostoła dzikie zwierzęta założyły swe legowiska"[1].

W tych warunkach trzeba było na niektórych terenach akcję chrystianizacyjną zaczynać niemal od początku.

Było to jednak przedsięwzięcie łatwiejsze już niż za czasów Mieszka I. Państwo polskie dysponowało przede wszystkim liczniejszą kadrą duchowieństwa. W Krakowie organizacja kościelna była, jak już wspominaliśmy, nietknięta. W innych dzielnicach Polski zabrakło wprawdzie biskupów, ale nie wytępiono przecież wszystkich księży. W państwach sąsiadujących z Polską chrześcijaństwo okrzepło, księży nie brakowało i łatwiej można było ściągnąć ich do Polski niż w X wieku,

[1] Anonim, tzw. Gall, *Kronika polska*, str. 89.

gdy na przykład takie Czechy same miały jeszcze pod tym względem kłopoty.

Po drugie, minął już okres, kiedy polską organizację kościelną trzeba było budować wyłącznie rękami księży cudzoziemskich. Biskupi zajmowali od początku bardzo poważne stanowisko w państwie i niejednemu z możnych marzyła się kariera kościelna dla synów. Ci, których było na to stać, wysyłali więc synów za granicę, aby tam zdobyli potrzebne wykształcenie kapłańskie, by potem mogli sięgać po godności w Polsce. Przykład pod tym względem dawała zresztą rodzina książęca. Zdaje się, że duchownym był jeden z synów Mieszka I, Lambert, wymieniony w dokumencie „Dagone iudex", według mniemania niektórych późniejszy biskup krakowski. W drugiej połowie XI wieku widzimy w każdym razie na pewno Polaków na stolicach biskupich. Do nich należy biskup krakowski Stanisław „ze Szczepanowa", późniejszy święty i patron Polski.

Stały był już także dopływ niższego duchowieństwa rodzimego pochodzenia. Nie potrzebowało się ono kształcić aż za granicą. Przy siedzibach polskich biskupów powstawały bowiem szkoły kształcące przyszłych księży. Nie dawały one zbyt wszechstronnego wykształcenia, przygotowywały raczej tylko do zawodu kapłańskiego, od którego wówczas wiele nie wymagano: trzeba było znać prawdy wiary, ważniejsze przepisy kościelne, umieć odprawiać mszę i udzielać sakramentów; łączyła się z tym oczywiście znajomość pisma, ale łaciny wystarczało tyle, by teksty modlitw przeczytać lub wyuczyć się ich na pamięć. Księża tacy, w przeciwieństwie do wyżej wykształconych, nie byli potrzebni w służbie dworskiej, gdzie niewiele z nich byłoby pożytku. Nie wszyscy z nich znajdowali też miejsce w stałej organizacji kościelnej, której komórkami były wciąż tylko biskupstwa, a nie — tak jak dziś — parafie. Czasem udało się któremuś z tych księży osiąść przy kościółku wzniesionym przez jakiegoś możnowładcę. Większość ich jednak wędrowała po kraju bez stałych obowiązków, ale też określonych źródeł utrzymania. O jednym z takich ubogich księży z czasów Bolesława Śmiałego, następcy

Kazimierza Odnowiciela, przytacza anegdotę kronika Galla. Oto gdy król oglądał rozłożone przed dworem i wystawione na widok publiczny skarby, przyniesione w dani przez Kijowian, usłyszał w pewnej chwili głośne ni to westchnienie, ni to jęk. Okazało się, że to ukryty między pachołkami ubogi księżulo w wyświeconym płaszczu wzdychał na widok złota i opłakiwał własną biedę. Dowiedziawszy się o tym szczodry Bolesław pozwolił mu wziąć tyle kosztowności, ile ich uniesie we własnym płaszczu. Dał mu też na dodatek własny płaszcz, ów bowiem księży, stary i zniszczony, pękał pod ciężarem nabranego złota.

Tacy oto duchowni zaczęli się teraz kręcić między ludem. Niewiele sami umieli, to prawda, ale mówili językiem zrozumiałym, znali miejscowe obyczaje, byli pod każdym względem bliscy tym, do których się zwracali. Oni też stali się faktycznymi misjonarzami ludności wiejskiej niosąc jej prymitywną, ale dostępną wiedzę o chrześcijaństwie. Że jednak oni sami byli mało wykształceni, a za to zabobonni, więc i ich nauczanie w niejednym odbiegało od oficjalnej nauki Kościoła. Ludziom zaś zasłyszane opowieści mieszały się ze znanymi mitami pogańskimi i często w praktyce zachowywali nadal obyczaje i wierzenia przodków, z tą tylko różnicą, że miejsce dawnych nazw bogów zajmowały teraz imiona świętych, aniołowie i diabły.

Nie inaczej bywało zresztą w innych krajach słowiańskich i często jakiś lepiej znany szczegół z dziejów nawracania Łużyc, Czech czy Rusi pozwala nam pojąć, jak podobne rzeczy dokonywały się w Polsce. Przytoczymy tu jeden taki fakt z życia Słowian ruskich. Czcili oni dawniej pośród innych bogów także Wołosa. Był to — jak mówią źródła — „bóg bydlęcy", a więc zapewne opiekował się on według wierzeń ludowych bydłem lub w ogóle żywym inwentarzem ruskich rolników. Później razem z chrześcijaństwem przyszedł na Ruś kult świętego Błażeja, po rusku — świętego Własa. Lud ruski przypisał wówczas św. Własowi tę władzę, jaką stara wiara dawała bogu Wołosowi, i w ten sposób św. Włas stał się patro-

nem hodowli. Oczywiście, wzywano też jego pomocy w tych samych okolicznościach i w podobnej formie, jak dawniej zwracano się do Wołosa. Właściwie w pojęciach ludu obie te postacie — bożek pogański i święty chrześcijański — zespoliły się w jedną.

W znacznie późniejszych czasach Kościół będzie bardzo ostro, często nawet przesadnie i bez istotnej przyczyny, zwalczał taką mieszaninę wierzeń chrześcijańskich z pogańskimi. Jak już wspominaliśmy, nawet w nic nie znaczących przyśpiewkach ludowych będą się dopatrywali gorliwi duchowni XV wieku modłów do bóstw pogańskich. Wcześniej tego nie było, a nawet przeciwnie: biskupi, którym zależało głównie na liczebnym wzroście wyznawców chrześcijaństwa w kraju, widzieli w takim nawiązywaniu treści religii do dawnych obyczajów, wierzeń i podań skuteczny sposób nawracania. Gdy zwłaszcza skład osobowy Kościoła stawał się coraz bardziej polski, miejsce oburzenia na tradycyjne obyczaje zastępował często wrodzony do nich sentyment. Polityka misyjna polskiego Kościoła szła więc w kierunku jak gdyby „ochrzczenia" dawnych form kultowych przez przyswojenie ich chrześcijaństwu.

Weźmy najbardziej typowy przykład tej polityki. Jest na Śląsku góra dawniej zwana Ślężą, dziś — Sobótką. O niej wzmiankował jeszcze Thietmar, że „owa góra wielkiej doznawała czci u wszystkich mieszkańców z powodu swego ogromu oraz przeznaczenia, jako że odprawiano na niej przeklęte pogańskie obrzędy" [1]. Najbardziej powszechne były zwłaszcza uroczystości obchodzone podczas najkrótszej nocy w roku, z 23 na 24 czerwca. Ich głównym punktem były igraszki młodzieży, zabawy oraz popisy tężyzny i zręczności. Owe „sobótki" odbywały się zresztą w różnych punktach kraju. Ściągała na nie ludność tłumnie, bo to i obrzędy były wesołe, i czas od pilnych robót polnych jeszcze wolny. Tradycja zaś była na tyle dawna, że ani książę nie ośmieliłby się jej zakazywać, a z upomnień biskupów tym bardziej nikt sobie wiele nie

---

[1] *Kronika Thietmara*, str. 554.

robił. Toteż Kościół, zamiast zwalczać ten obyczaj, wolał z niego korzystać. Na dzień 24 czerwca przypada w kalendarzu chrześcijańskim uroczystość św. Jana Chrzciciela. Święty to nie byle jaki, jeden z ważniejszych w Kościele, a przy tym odpowiedni jako patron pracy misyjnej. Zaczęto więc w pobliżu miejsc owych „sobótek" wznosić kościoły pod wezwaniem św. Jana. Stawały się one ośrodkami czci tego świętego, a w dniu 24 czerwca były w nich wielkie odpustowe uroczystości, książę dorzucał do tego przywilej dla targu, który w tych dniach miał się odbywać w danej miejscowości, i miało to ten efekt, że struga ludzka płynęła w ów tradycyjny dzień do kościoła. Że potem nocką młodzież sobie pohasała, chłopcy jak zawsze skakali przez ogień, dziewczęta puszczały wianki na wodę, a nieraz też starym zwyczajem chłopak pofiglował z dziewczyną, że wianek straciła — to inna sprawa. Obyczaj ten stopniowo przestawał być jednak wiązany z kultem pogańskim, a był praktykowany pod patronatem niejako Kościoła. Pogańska letnia nocka stała się chrześcijańską nocką świętojańską.

Podobnie się działo także z wieloma innymi pradawnymi obrzędami. Rozmaite obyczaje ludowe związane dziś ze świętami chrześcijańskimi, na przykład z Wielkanocą, wywodzą się z czasów, gdy nikt jeszcze w Polsce Wielkanocy nie obchodził; miały też wtedy oczywiście inny cel. Wszystko w pogaństwie, co nie stało w jaskrawej sprzeczności z moralnością chrześcijańską, potrafił Kościół polski związać z własnymi obrzędami kultowymi.

Tylko ta metoda mogła zapewnić sukces, mianowicie; jeśli nie rzeczywiste upowszechnienie chrześcijaństwa, które wymagało wieków, to przynajmniej odebranie broni pogaństwu jako odrębnej religii. Dlatego też pogaństwo dość szybko w Polsce zginęło, choć właściwe mu obyczaje żyły długo i doczekały nawet naszych dni.

Byli wprawdzie i w tamtych czasach przeciwnicy scharakteryzowanej wyżej polityki kościelnej. Należeli do nich zapewne przede wszystkim cudzoziemcy, z pogardą patrzący na słowiań-

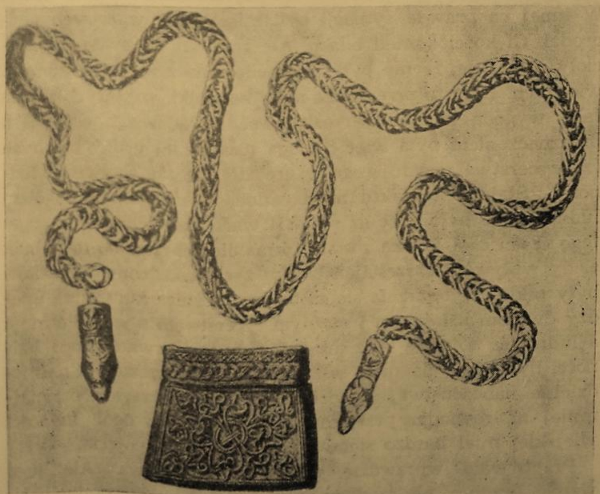
skie obyczaje. Znamy jednak również i księży pochodzenia słowiańskiego, którzy po studiach zagranicznych oderwali się od rodzimej kultury i w fanatyzmie chrześcijańskim pragnęli jej zniszczenia. Do nich należał św. Wojciech, który jako biskup w Pradze tak prześladował miejscowe tradycje, że go w końcu własne jego owieczki zmusiły do opuszczenia kraju. Tacy księża byli wszakże w Polsce w mniejszości. Gdyby zresztą było inaczej, przedłużyłaby się tylko walka z pogaństwem. Lud bowiem wierny był obyczajom przodków i zniszczyć ich nie pozwalał.

Największe trudności miał Kościół z przyzwyczajeniem ludzi do nowych obyczajów, do tego, co nazywamy praktykowaniem religii. Brak gęstej sieci kościołów, brak parafii dostępnych dla okolicznej ludności sprawiał, że o regularnym uczęszczaniu na nabożeństwa i przystępowaniu do sakramentów nie było mowy. W innej co prawda sytuacji byli mieszkańcy większych podgrodzi. Ci kościół mieli blisko. Ale rzut oka na ówczesne kościoły wskazuje, że nie były one budowane z myślą o tłumach wiernych. Były to przeważnie małe kościołki, w których z jaką taką wygodą mogło się rozlokować kilkadziesiąt osób. Ich przeznaczeniem była więc obsługa niewielkiej grupy możnych czy rycerstwa rezydującego w grodzie, nie zaś okolicznej ludności. Stałego kontaktu między duchowieństwem a ogółem ludności nie było więc aż po XIII wiek. Jeżeli nawet w ciągu tego czasu cała Polska została formalnie ochrzczona, to jednak ślady wpływów chrześcijaństwa w życiu codziennym Polaków były nikłe. Wytwarzała się za to duża różnica kulturalna między dworem książęcym i możnym rycerstwem z jednej strony, a ludnością rolniczą — z drugiej. Gdy ta pierwsza grupa ludności była już wciągnięta w życie Kościoła, uczęszczała na niedzielne nabożeństwa, spowiadała się i przestrzegała przynajmniej na zewnątrz przepisów kościelnych, to ogół ludności wiejskiej miał bardzo słabe o tym wszystkim pojęcie.

Przybywało wprawdzie wciąż duchowieństwa. Ale jego wzrost liczebny nie szedł w parze z jakością. Wspominaliśmy niedawno, że księża miejscowego pochodzenia sami nie wy-

zbyli się jeszcze pogańskiego poglądu na świat. Księża zaś cudzoziemscy nieśli również ze sobą cały świat wierzeń właściwych ludom zachodnioeuropejskim, u których także religia oficjalna mieszała się z dawniejszymi przesądami. W wierze chrześcijan średniowiecznych poważne miejsce zajmował szatan i rozmaite złe duchy, dla których zwalczania potrzebne były różnorakie czary i zabiegi magiczne. Toteż wiara ludności polskiej w pierwszych wiekach chrześcijaństwa była w praktyce dziwną mieszaniną legend chrześcijańskich, starodawnych obyczajów pogańskich oraz importowanej wiedzy magicznej.

Nie są to bynajmniej tylko nasze domysły. Szczęśliwie dysponujemy źródłem, które wprowadza nas w szczegóły życia codziennego naszych przodków w omawianych czasach. Jest to



Wczesnośredniowieczny naszyjnik srebrny z torebką na amulety

podręcznik dla spowiedników napisany w pierwszej połowie XIII wieku przez zakonnika cysterskiego z klasztoru w Rudach Raciborskich, Rudolfa. Na podstawie zawartych tam danych oraz innych wiadomości możemy odtworzyć świat pojęć i wierzeń ówczesnych chrześcijan w Polsce.

Utrzymywała się więc wiara w liczne demony, przychylne lub wrogie człowiekowi. Najbliższe mu były skrzaty domowe. Ludzie wprowadzający się do nowego domu zakopywali zaraz w rogach izby garnki napełnione jadłem i przedmiotami, które według ich przekonania mogły się przydać skrzatom. Pamiętano o nich nie tylko w ów uroczysty dzień osiedlin w nowym mieszkaniu. Stale rzucała gospodyni resztki pokarmów za piec dla skrzatów, aby nie były głodne i darzyły przyjaźnią mieszkańców domu. Dbano też o przychylność rodzanic, powszechnych w Słowiańszczyźnie demonów losu, którym składano ofiary, oczekując od nich w zamian zapewnienia dostatku w życiu.

Ponieważ w życiu rolniczej ludności szczególnie ważne miejsce zajmowała powtarzająca się corocznie troska o plony, dużą wagę przywiązywano do tych zabiegów magicznych, które miały zapewnić dobry urodzaj. Wczesną wiosną, czy raczej na przedwiośniu, praktyki te wymagały, aby jeść mięso: wtedy zboże będzie dobrze rosło. Ale właśnie w tym terminie zaczynał się według kalendarza kościelny okres Wielkiego Postu, kiedy potrawy mięsne były zakazane. Stąd konflikt między Kościołem a zakorzenionym zwyczajem. Jak wynika ze słów Rudolfa, z konfliktu tego zwyczaj wychodził jeszcze przez długie lata zwycięsko.

Gdy wiosna była już w pełni, w dniu pierwszego maja, gospodarze ustawiali przed drzwiami swych domostw drzewka, dachy zaś stroili gałązkami ciernia. Wierzyli przy tym, że obrzęd ten zapewni dobrą mleczność ich krowom.

Z innych tradycyjnych obrzędów pogańskich związanych z określonymi datami utrzymywały się uroczystości związane z letnim i zimowym przesileniem dnia z nocą. Z tymi Kościół mniej walczył, ponieważ dawały się one podporządkować uro-

czystościom roku kościelnego: obrzędy letnie wiązały się z dniem św. Jana Chrzciciela, zimowe zaś ze świętami Bożego Narodzenia. W dalszej przyszłości istotnie zapomniano o pogańskich początkach wielu z tych zwyczajów. Jeżeli teraz w rodzinach zachowujących tradycje zostawia się podczas wieczerzy wigilijnej jedno nakrycie przy stole ponad liczbę domowników, to większość nas sądzi, że związana z tym jest jakaś symbolika chrześcijańska albo że to tylko hołd oddany tradycjom gościnności. Tymczasem jest to pozostałość obrzędu pogańskiego, czego świadom jest jeszcze Rudolf z Rud, który tak o nim pisze:

„Aby zapewnić sobie szczęście, a także opływać w ziemskie dobra, uprawiają przez Boga znienawidzone praktyki. W nocy Bożego Narodzenia zastawiają stół dla królowej nieba, którą powszechnie nazywają panią holdą, aby ich wspomagała.” [1]

Również i we współcześnie sankcjonowanych przez Kościół obyczajach wielkanocnych znajdziemy wiele pozostałości pogańskich. Dla przykładu: zwyczaj przygotowywania i święcenia na Wielkanoc jajek wywodzi się z praktyk odprawianych dawniej co czwartek na cześć skrzatów domowych.

Oprócz obrzędów łączących się z dawnymi świętami pogańskimi i z rokiem gospodarczym, co zresztą mniej więcej się pokrywało, wiele miejsca w obyczajach pierwszych pokoleń ochrzczonych zajmowały praktyki związane z życiem rodzinnym.

Oto urodził się pierwszy syn. Aby ukryć go przed złymi siłami, kobiety kładły niemowlę do worka. Później jedna z nich obnosiła je dokoła ogniska, a druga idąc za tamtą pytała: — Co niesiesz? — by usłyszeć obrzędową odpowiedź:

— Niosę rysia, wilka i śpiącego zająca.

Następnie z wieloma ceremoniami odbywała się pierwsza kąpiel dziecka. Wkładano do niej jajko, co miało zapewnić maleństwu wzrost i pomyślny rozwój. Do mycia używano wiechcia słomy, ale koniecznie ukradzionego, gdyż taki tylko

---

[1] E. Karwot, *Katalog magii Rudolfa*, Wrocław 1955, str. 27.

przynosił szczęście. Po skończonej kąpieli wodę z niej trzeba było wylać na ręce ojca. Miało to wzbudzić w ojcu miłość do dziecka. Podobnemu celowi służyło domieszanie ojcu do jedzenia miałko sproszkowanej pępowiny dziecka. Pokazanie syna ojcu też nie mogło odbyć się byle jak! Najpierw należało pokazać mu wielki palec nóżki małego, a potem dopiero twarz.

Ponieważ jednak rodzina była chrześcijańska, trzeba było też pomyśleć o chrzcie. Jeśli kościół był blisko, czyniono to zapewne niedługo po urodzeniu dziecka. Jeśli zaś do kościoła było daleko, trzeba było poczekać na jakąś okazję, by doń się udać. Może na świętego Jana, gdy młodzież z sąsiedztwa pociągnie na „sobótki"? Albo gdy targi znęcą? Różnie bywało. Czasem i kilka lat zwlekano z chrztem. Kiedy już jednak wybrano się do kościoła, nie zapominano o tej ceremonii. Nie tylko dlatego, że księża tak nakazywali. Rodzice wiedzieli, że dziecko ochrzczone będzie się lepiej chowało i nie tak łatwo będą się go czepiały choroby. Tylko że sam chrzest nie wystarczy! Cudzoziemski ksiądz sam dobrze nie wie, czego dziecku potrzeba. No, ale doświadczona kuma przypilnuje już, by wszystko odbyło się jak należy. A więc po chrzcie dotknie nóżkami dziecka ołtarza, a sznur od dzwonu położy mu na usta. To uchroni dziecko od chorób i odpędzi złe duchy. Teraz jeszcze położyć rączkę chrześniaka na jakiejś świętej księdze, żeby było mądre, i na koniec obetrzeć mu twarzyczkę obrusem ołtarza, żeby było ładne. To wszystko na razie: można już wyjść z kościoła.

Ale wracając z dzieckiem z kościoła do domu nie wolno zapomnieć o jajku, które na progu chałupy trzeba rozdeptać pod miotłą. Będzie to pierwsza ofiara złożona w imieniu dziecka skrzatom domowym. Inaczej mogłyby się pogniewać.

W domu zaś jeszcze kąpiel. Wkłada się do niej ziarna aż dziewięć rodzajów i różne żelastwo. W tej samej porze pod palenisko wsadzają rodzice kurę, izbę oświetla się jasno i rozpoczynają się tany. Po wykąpaniu dziecka woda zostanie ukradkiem wylana pod płot sąsiadów w tej intencji, aby ich dzieci płakały, a nie nasze.

I tak co rok, co dwa powtarzały się ceremonie, w miarę jak rodziły się następne dzieci. A rodziło się ich dużo, chociaż zmęczone matki siedząc kładły pod siebie kilka palców, co miało odsunąć od nich nową ciążę na tyle lat, ile było palców. Niewiele też pomagało zaklinanie czarnego bzu słowami:

— Ty noś za mnie, a ja będę kwitła za ciebie!

Bez kwitł nadal, a one rodziły dzieci.

Starsze dzieci tymczasem dorastały, dziewczęta zaczynały rozglądać się za mężami. Tak jak dziś próbowały różnych sposobów, aby dowiedzieć się, który chłopiec na męża jest przeznaczony, tyle że znacznie więcej wagi, niż to obecnie się zdarza, przywiązywały do tych wróżb. Szczególnym zaufaniem cieszył się w tych sprawach diabeł. Stawiała więc dziewoja koło ustępu miskę z mydlinami, grzebień, trochę owsa i kawałek mięsa, i tak zaklinała:

— Przyjdź, diable, wykąp się i uczesz. Koniowi swemu daj owsa, jastrzębiowi mięsa, a mnie pokaż męża mojego!

Nadchodził wreszcie upragniony dzień wesela. Kościelna forma małżeństwa nie była jeszcze wówczas praktykowana nawet w rodzinach możnowładczych. Ba! nawet n'e wszystkie małżeństwa książęce zawierano przed ołtarzem. Dopiero w XII wieku Kościół zaczął się tego domagać, na razie zresztą bezskutecznie. Ogólnie panował zwyczaj brania żony według starego słowiańskiego obyczaju. Jeżeli pamiętano przy tym o potrzebie błogosławieństwa ze strony sił nadprzyrodzonych, to myślano raczej o demonach i skrzatach domowych, a nie o Bogu chrześcijańskim. Z weselem łączyły się więc także różne praktyki magiczne, jak na przykład rzucanie przez głowę chleba i sera, co miało zapewnić młodożeńcom dostatek we wspólnym życiu.

Przed młodą mężatką stawało od pierwszej nocy zadanie zapewnienia sobie trwałej miłości małżonka. Wierzono, że nie może się przy tym obejść bez czarów.

Różnorodność sposobów i praktyk magicznych, jakich chwytały się kobiety z myślą o szczęściu małżeńskim, jest wyjątkowo duża. Aby nie być posądzonym o fantazję, przyto-

czymy tym razem dosłownie relację wspomnianego Rudolfa z Rud:

„Żeby ich mężowie je kochali, przygotowują dla nich ciastka, do których mieszają włosy z całego ciała swojego i nieco swojej krwi. Trzy rybki... zamieniają na proch i dają mężom swoim do pokarmu albo do napoju... Oprócz tego pokrzywy, zamoczone we własnej urynie, kości umarłych, drzewo z grobów i wiele innych rzeczy wrzucają do ognia, aby jak one płoną w ogniu, tak mąż ich płonął miłością ku nim.” [1]

Na praktyki te chrześcijaństwo wpłynęło o tyle tylko, że rejestr przedmiotów, którym przypisywano siłę magiczną, wzbogacił się o symbole kultowe nowej religii. Z oburzeniem podkreśla to cysters śląski:

„A co niektórzy wyprawiają z żabami, olejem świętym, wodą chrzestną i z postaciami Komunii świętej, tego nie da się wprost opowiedzieć.” [2]

Opornie także szło wprowadzanie chrześcijańskich obyczajów pogrzebowych. Wykopaliska naszych archeologów dostarczają dowodu, że jeszcze w XI wieku palono zwłoki, a groby wyposażano w różne przedmioty zgodnie ze starą pogańską tradycją. To zresztą najmniej dziwi. Zmarły nie mógł przecież czekać na pochowek, skoro zatem na miejscu nie było kościoła ani księdza, pogrzeb organizowała rodzina i sąsiedzi według zwyczaju dziadów.

Czym więc ostatecznie różnili się ci polscy chrześcijanie X—XII wieku od swych pogańskich przodków? Ano, znali imię Jezusa Chrystusa, wierzyli w jego bóstwo, poddawali się obrzędowi chrztu, bywali czasem w kościele, z czcią odnosili się do przedmiotów kościelnych przypisując im siłę magiczną, umieli się przeżegnać, znali może jakieś fragmenty życia Chrystusa i popularniejszych świętych, wzbogacone dodatkami czerpanymi z fantazji ludowej i pogańskich mitów. To chyba wszystko. Czytelnik zauważy, że nie wspomnieliśmy tu o znajomości pacierza czy choćby dziesięciorga przykazań. A tak: te umie-

---

[1] E. Karwot, *Katalog magii Rudolfa*, str. 25.
[2] Tamże, str. 26.

jętności należały już bowiem do wyższego wykształcenia religijnego, wymagano ich dopiero od księży.

Można też przypuszczać, że nie wszyscy nawet księża potrafili wyrecytować przykazania. Cytowany już przez nas wielokrotnie Rudolf pisał bowiem w swym podręczniku dla spowiedników, że bez tej umiejętności nie można być dobrym kapłanem. Znaczy to, że widocznie zdarzali się też gorsi księża, mniej wykształceni, którzy nawet tego nie potrafili. Znajomość Pisma świętego, umiejętność jego objaśniania, jak również orientacja w przepisach kościelnego prawa małżeńskiego — były to wymagania stawiane dopiero „przełożonym", a więc biskupom lub opatom klasztornym.

W życiu codziennym duchowieństwo nie różniło się właściwie od reszty społeczeństwa. Księża żenili się, mieli dzieci, które starali się również wykształcić na kapłanów i dobrze zaopatrzyć. Wyższe duchowieństwo, biskupi, prowadzili podobny tryb życia jak świeckie możnowładztwo. Władanie bronią, polowania i inne zajęcia rycerskie były im nieraz bliższe niż kościół. Im dalej postępowała stabilizacja organizacji kościelnej, im bardziej potrzeba było na stanowiskach kościelnych administratorów, a nie misjonarzy, tym więcej duchowieństwo upodabniało się do ludzi świeckich.

Tak było zresztą w owych czasach w całej Europie. Dopiero w połowie XI wieku zaczęła zdobywać na Zachodzie popularność myśl o reformie Kościoła. W czyn zamierzał ją wprowadzić papież Grzegorz VII (1073—1085). Wydał on zarządzenie zmierzające do zwiększenia bardzo rozluźnionej dyscypliny w Kościele, nakazał przestrzegać celibatu, to znaczy bezżeństwa księży, wymagał tak od biskupów, jak od niższego duchowieństwa wypełniania obowiązków duszpasterskich, stałego odprawiania mszy i wygłaszania kazań. Zaprzeczył też władzy świeckiej prawa do nadawania godności kościelnych. Program ten jednak natrafił na opór, i to zarówno wśród części biskupów, jak przede wszystkim ze strony cesarza Henryka IV. Biskupi oponowali przeciw zwiększonym obowiązkom i ograniczaniu ich swobody, cesarz zaś — części tych reform nawet przychyl-

ny — nie mógł się zgodzić na odebranie mu władzy obsadzania biskupstw, które w Niemczech były ważnymi posterunkami politycznymi. Wywiązała się więc walka między papiestwem i cesarstwem, znana w historii pod nazwą walki o inwestyturę, czyli o prawo mianowania dostojników kościelnych.

W Polsce panował wówczas Bolesław Śmiały, starszy syn Kazimierza Odnowiciela. Opowiedział się on po stronie papieża głównie dlatego, że zależało mu na osłabieniu cesarstwa, co w tym czasie było warunkiem uzyskania zupełnej niezależności politycznej, do której ten książę dążył. Czy Bolesław popierał papieża tylko jako aktualnego wroga cesarstwa, czy również był przychylny reformom gregoriańskim? Choć bezpośrednich danych pozwalających dać odpowiedź na to pytanie nie mamy, to jednak nie brak podstaw do przypuszczenia, że Bolesław musiał wyrazić zgodę na reformy. Papież bowiem pozwolił księciu polskiemu na koronację królewską, która odbyła się rzeczywiście w roku 1076. Nie do pomyślenia jest, by Grzegorz VII, człowiek bezkompromisowy, fanatyk głoszonych przez siebie zasad, który nawet pod naciskiem konieczności politycznych nie godził się na żadne od nich odstępstwa, mógł ofiarować Bolesławowi koronę, jeśliby nie uzyskał wpierw od niego uznania programu reform.

Ze strony Bolesława zaś nie musiał to być tylko krok taktyczny. Postępy chrystianizacji w Polsce, na czym królowi zależało w dalszym ciągu, zależały właśnie od podniesienia wymagań stawianych duchowieństwu. Program reform stwarzał nadzieję, że poziom i aktywność kleru wzrośnie, a z tego król mógł się tylko cieszyć. Jedynym punktem, który mógł nie być mu miły, było oczywiście ograniczenie wpływu królewskiego na nominację biskupów. Ale i to nie wydawało się szczególnie groźne. Biskupi wtedy jeszcze nie grali w Polsce zbyt wielkiej roli politycznej, po drugie zaś formalne uznanie kompetencji papieża wcale nie musiało także w praktyce prowadzić do ograniczenia dotychczasowych praw monarchy. Król oddalonej od Rzymu Polski miał dość sposobów na to, by na stolicach biskupich utrzymywali się ludzie dobrze przez niego widziani.

Pomimo takiego stanowiska króla w Polsce nie przyjęły się jeszcze w tym czasie reformy gregoriańskie. Do przyczyn tego powrócimy jeszcze w dalszym ciągu naszych rozważań. Tu chodziło nam tylko o podkreślenie, że zobrazowany poprzednio poziom duchowieństwa w Polsce i stan upowszechnienia chrześcijaństwa wśród ludu nie zmienił się zasadniczo aż do schyłku XII wieku, chociaż w Kościele zachodnim zrodziły się już tymczasem nowe tendencje.

Rozdział siódmy

POLSKA PIASTOWSKA WYRYWA Z RĄK NIEMIEC INICJATYWĘ MISJI NA WSCHODZIE

Chociaż tak jeszcze daleko było do upowszechnienia chrześcijaństwa we własnym kraju, książęta polscy już od X wieku patronowali także misji zewnętrznej. Pierwszym misjonarzem, który został wyprawiony z Polski na nawracanie innych ludów, był święty Wojciech.

Wojciech był synem Sławnika, księcia Libic. Spore to księstwo zajmowało wschodnią część Czech, w dorzeczu górnej Łaby granicząc ze Śląskiem i z Morawami. Jego władcy podlegali książętom czeskim, ale jednocześnie rywalizowali z nimi i prowadzili odrębną politykę. Byli od książąt Pragi i bardziej chrześcijańscy, i bardziej proniemieccy. Z dynastią cesarską związali się węzłami rodzinnymi i wiernie ją popierali, podczas gdy książęta czescy współpracowali tradycyjnie z antycesarską opozycją w Niemczech, na której czele stał dwór bawarski.

Spośród siedmiu synów Sławnika Wojciech był tym, któremu plany rodzinne przeznaczyły karierę kościelną. Młodzieńcem oddano go do sławnej wówczas szkoły Otryka przy katedrze w Magdeburgu. Wyniósł stamtąd gruntowne wykształcenie i polor zachodnioeuropejski i był przygotowany do obejmowania wysokich stanowisk w Kościele.

W okresie gdy Wojciech przebywał w Magdeburgu, Czechy otrzymały własne biskupstwo w Pradze, podporządkowane niemieckiej metropolii w Moguncji. Już wtedy widziano zapewne w kształcącym się młodzieńcu przyszłego biskupa pra-

skiego. Rzeczywiście, w rok po powrocie z Magdeburga został Wojciech powołany na to stanowisko.

Był to rok 982. W sześć lat później widzimy Wojciecha podążającego do Rzymu z mocnym postanowieniem niewracania na opuszczone biskupstwo. Cóż było tego powodem? Ano, nie mógł sobie młody biskup poradzić z niełatwą niewątpliwie diecezją. Czechy ówczesne były, podobnie jak Polska, krajem z pozoru tylko chrześcijańskim. Zaciekłość, z jaką Wojciech usiłował wykorzenić starodawne obyczaje, zwróciła przeciw niemu dosłownie wszystkich: lud i możnych, świeckich i księży. W kraju rozbrzmiewało hasło:

— Takiemu biskupowi ani piędzi ziemi, ani jednej miary zboża!

Znienawidzony przez własny lud, uważany za bardziej niemieckiego od rzeczywistych Niemców, odpychał Czechów od chrześcijaństwa. Decydując się na opuszczenie Pragi, musiał już zdawać sobie w pełni sprawę z bankructwa swej polityki.

We Włoszech zachowywał się Wojciech początkowo niezdecydowanie. Nie wiedział, co ma ze sobą zrobić. Powziął najpierw zamiar pielgrzymowania do Jerozolimy, ale rychło go porzucił. Przebywał przez pewien czas w klasztorze benedyktyńskim na Monte Cassino, odrzucił jednak namowy pozostania tam na stałe. Trafił wreszcie na głośnego i wpływowego pustelnika greckiego Nila i ten dopiero nim pokierował. Za radą Nila udał się Wojciech do rzymskiego klasztoru św. Bonifacego i Aleksego na Awentynie i spędził tam trzy i pół roku; od wiosny 989 do schyłku 992 roku. Czuł się tam dobrze. Znalazł w klasztorze doborowe towarzystwo, nie ustępujące mu wykształceniem, bliskie poglądami, rozmiłowane w rozmyślaniach religijnych. Cichy klasztor nie był zresztą odcięty od świata. Bywali w nim znamienici goście, a opat Leon brał czynny udział w wielkiej polityce, jako zaufany człowiek papieża Jana XV.

Z awentyńskiego klasztoru wyrwała Wojciecha interwencja arcybiskupa mogunckiego Willigisa. Zwierzchnik diecezji praskiej z oburzeniem patrzył na biskupa, który wbrew prawu



Drzwi brązowe katedry gnieźnieńskiej, odlane około 1170—1180 roku. Wyobrażono na nich 18 scen z życia i męczeństwa św. Wojciecha

kościelnemu samowolnie porzucił swój posterunek. Jeżeli milczał dotychczas, to dlatego, że Praga wzdragała się przed ponownym przyjęciem nielubianego Wojciecha. Kiedy jednak Willigis stanowczo odmówił obsadzenia opuszczonego biskupstwa kim innym, opór Bolesława II czeskiego zmiękł. Z Pragi przybyło do Rzymu poselstwo prosić Wojciecha o powrót. Jednocześnie papież na żądanie Willigisa nakazał ukrytemu w klasztorze biskupowi ponowne objęcie urzędu.

Wojciech znalazł się znów w Pradze. Nie mając zaufania do czeskiego duchowieństwa przywiózł ze sobą kilku mnichów z Rzymu i osadził ich koło Pragi, w klasztorze w Brzewnowie, który miał dostarczać biskupowi współpracowników nie tak pobłażliwych dla wierzeń i obyczajów słowiańskich, jak miejscowy kler. Książę Bolesław i możni czescy zgodzili się już w uprzednich rokowaniach z Willigisem, że będą nieść Wojciechowi pomoc i płacić należne mu dziesięciny. Zdawało się, że stosunki między dworem i katedrą ułożą się już teraz poprawnie.

Tak się jednak nie stało. Przeciwieństwa były zbyt wielkie. Czesi się nie zmienili, a nie zmienił się też Wojciech. Nowy konflikt narastał, starcia stawały się coraz częstsze. Naturalny antagonizm między słowiańskim obyczajem a reprezentowaną przez biskupa bezwzględnością w jego tępieniu zaostrzał się dodatkowo wskutek rosnącej niechęci między dynastią a rodziną Wojciecha. Samodzielna polityka książąt libickich wiążących się coraz jawniej z cesarzem i z Bolesławem Chrobrym nie była mile widziana na dworze praskim. Toteż na biskupa patrzano coraz bardziej jak na agenta wrogów.

Ostatnią kroplą, która przepełniła kielich wzajemnych pretensji, był spór o prawo kościelnego azylu. Gdy skazana na śmierć kobieta schroniła się do kościoła, biskup odmówił jej wydania. Zgromadzony tłum wyciągnął jednak kobietę zza ołtarza lekceważąc opór biskupa. Wojciech rzucił wówczas na Czechy klątwę. Tego było już księciu za wiele. Wojciech musiał pójść na wygnanie i w początkach 995 roku znalazł się znów w rzymskim klasztorze.



Św. Wojciech
Płaskorzeźba z XII wieku w kościele św. Bartłomieja w Rzymie

Tego samego roku na jesieni książę czeski, Bolesław II Pobożny, rozprawił się krwawo ze Sławnikowicami. Libice zostały zdobyte, a bracia Wojciecha wymordowani. Ocalał z nich tylko towarzyszący Wojciechowi Radzym oraz najstarszy Sobiebor, który w tym czasie przebywał za granicą. Wstąpił on następnie w służbę Bolesława Chrobrego i jako jego rycerz zginął kilka lat później w walce z własnymi rodakami.

Wiadomość o katastrofie libickiej ostatecznie przekonała Wojciecha, że powrót do Pragi ma na zawsze zamknięty.

Innego jednak zdania był arcybiskup Willigis. Pozwał on Wojciecha przed sąd nowego papieża Grzegorza V, który wygnanemu biskupowi rozkazał pod groźbą klątwy wracać do Pragi. Gdyby zaś książę czeski nie zechciał go przyjąć, miał Wojciech udać się na misje gdzie indziej.

Kilka miesięcy spędził jeszcze Wojciech w Europie zachodniej. W tym też czasie zaprzyjaźnił się serdecznie z młodym cesarzem Ottonem III, z którym wiele dni i nocy spędzał na poufnych rozmowach. Wreszcie w końcu 996 roku udał się do Polski, gościnnie przyjęty przez Chrobrego i jako brat Sobiebora, i jako przyjaciel cesarski. W oczekiwaniu na wynik rokowań kościelnych z Pragą zajął się tutaj pracą organizacyjną i misyjną. Efektem tej pierwszej było założenie klasztoru benedyktyńskiego — nie wiadomo dokładnie: w Trzemesznie, Międzyrzecu czy w Łęczycy — którego przełożonym uczynił swego dawnego współpracownika i opata z Brzewnowa, Astryka — Anastazego. Efekty natomiast bezpośredniej działalności misjonarskiej w Polsce były raczej mizerne. Ludność tutejsza, podobnie jak w Czechach, nie chciała słuchać jego kazań. Wyjaśnienia późniejszej tradycji, że jego słuchaczy raziła wymowa czeska, nie można brać poważnie, gdyż ówczesne różnice między dialektami zachodniosłowiańskimi były minimalne. Przypuszczać raczej należy, że przyczyny niepowodzeń Wojciecha w Polsce były te same, co w jego własnej ojczyźnie: nieposzanowanie słowiańskiego obyczaju i skłonność do narzucania nowych pojęć zamiast cierpliwego przekonywania.

Nadeszła tymczasem ostateczna odpowiedź z Czech, kategorycznie odmawiająca przyjęcia biskupa, którego — jak mówiono — nikt w kraju nie chce widzieć na oczy. Wojciech miał zatem obrać sobie nowy teren działalności misyjnej. Nie wiadomo dokładnie, jakie były polecenia papieskie: czy tym terenem miał być koniecznie kraj nie tknięty jeszcze stopą misjonarza, czy też mogła nim być również Polska. Wydaje się, że dużo tu zależało od stanowiska Chrobrego. Książę polski chciał początkowo zatrzymać Wojciecha u siebie, nie tyle jednak dla misji, ile jako pośrednika między sobą i cesarzem. Gdy jednak

okazało się, że do odegrania tej roli Wojciech się nie nadaje, misji zaś krajowej może bardziej utrudniać pracę niż pomóc, Bolesław przychylił się do myśli wysłania czeskiego biskupa gdzieś dalej. Podobne były też sugestie płynące z Rzymu. Sprawą palącą była potrzeba chrystianizacji państwa Wieletów, okrążonych już przez ziemie władców chrześcijańskich, a wciąż uparcie trzymających się starej wiary. Misją wśród Wieletów był na równi zainteresowany papież, jak i cesarz oraz książę polski. Postanowiono zatem, że misję ową poprowadzi biskup Wojciech.

Na razie było to jednak niemożliwe. Właśnie Otto III wyruszył z wielką wyprawą na Wieletów, a czas wojny byłby najmniej odpowiednią chwilą do posyłania tam misjonarzy. Po drugie, misja wielecka wymagała uprzedniego porozumienia się z biskupami niemieckimi, do których diecezji kraj ten był formalnie zaliczony. Na to wszystko trzeba było poczekać. Wojciech mógł nadal pozostawać w Polsce i robić tymczasem potrzebne przygotowania. Nie chciał jednak.

Dlaczego? Żadna odpowiedź na to nie będzie zupełnie pewna. Z pewnością można ustalić tylko fakty, ale nie intencje ludzkie, zakryte przed naszymi oczyma. Można jednak wyrazić przypuszczenia. Otóż nie przekonywa opinia kościelnych autorów żywotów św. Wojciecha, by rzeczywiście nie mógł się on doczekać pracy misyjnej, by płonął z niecierpliwości, aby ją rozpocząć. Jakież bowiem zadanie stało przed nim w Czechach? Oczywiście — misja. A przecież przed nią uciekł. Nie brakowało też pola dla działalności wielu nawet misjonarzy w Polsce. A jednak zostać tu nie chciał. Nie był misjonarzem z powołania, nie umiał trafić do pogan, nic mu się nie udawało, czuł się zniechęcony. Jednakże szkoła w Magdeburgu, a zwłaszcza klasztor na Awentynie, wpoiły w niego bezwzględne posłuszeństwo władzy kościelnej. Papież zlecił mu misję i od tego Wojciech nie miał zamiaru się uchylać.

Dlaczego jednak nie chciał pozostać jako misjonarz w Polsce, zanim nie dojdzie do skutku misja wielecka? Cóż, nie czuł się tu swobodnie. Widzieliśmy już, że poglądy Wojciecha różniły

się poważnie od poglądów duchowieństwa obytego z pracą wśród Słowian. W Czechach Wojciech nie mógł się porozumieć z miejscowymi księżmi i zapewne im przypisywał winę własnych niepowodzeń, skoro za drugą bytnością w Pradze otoczył się już mnichami sprowadzonymi z Rzymu. Wiemy, że w Polsce też spotykał się z niechęcią. W jego przekonaniu przyczyną tego był zbytni liberalizm miejscowego duchowieństwa. Skoro więc już musiał poświęcić się misji, chciał to zrobić po swojemu, tymi metodami, w których słuszność wierzył. Na zupełnie nowym terenie, gdzie nie będzie mu bruździł żaden inny biskup, żadni inni księża, pogodzeni już z pogaństwem, lecz gdzie będzie sam z oddanymi mu i posłusznymi towarzyszami. Wtedy pokaże, że ma rację, że jego sposób postępowania z poganami jest najlepszy!

Bolesław Chrobry zaproponował mu wówczas Prusy. Książę polski czuł zapewne, że dłuższy pobyt Wojciecha w Polsce grozi niepotrzebnymi konfliktami. Z drugiej strony rozumiał, jak ważną osobistością jest Wojciech i że należy możliwie najlepiej skorzystać z okoliczności, które oddały go pod polską opiekę. Z tego punktu widzenia wysłanie Wojciecha do Wieletów byłoby zmarnowaniem okazji. Pracowałby on tam, koniec końców, dla niemieckich biskupów, dla niemieckich książąt, dla niemieckiego królestwa. Misja pruska natomiast, jeśli będzie udana, wprowadzi do tego kraju wraz z chrześcijaństwem państwowe wpływy polskie. Jeśli zaś nawet skończy się niepowodzeniem, to przecież rozsławi imię protektora, księcia Polski. Jakiż to inny z krajów tak niedawno ochrzczonych podejmuje równie ważne dla Kościoła zadania? Żaden. Dotąd misją na wschodzie Europy interesowali się spośród władców świeckich tylko cesarze. Teraz obok nich stanie w glorii szerzyciela chrześcijaństwa także, on Bolesław, książę Polski.

W kwietniu 997 roku wyruszył więc Wojciech do Prus. Towarzyszyło mu dwóch mnichów: brat przyrodni Radzym-Gaudenty i Bogusza-Benedykt. Dla ich ochrony przydzielił Chrobry orszak zbrojny, który odprowadził misjonarzy przez

Pomorze Gdańskie do granic Prus. Na ziemię pruską trójka księży wstąpiła sama.

Już pierwsze zetknięcie z pogańskimi mieszkańcami Prus przyniosło niepowodzenie. Ludzie wypędzili misjonarzy, a Wojciech, który trzymając psałterz w ręku śpiewał psalmy, dostał cios wiosłem, że upadł na ziemię i książkę z rąk wypuścił. W drugim miejscu powtórzyło się mniej więcej to samo. Prusowie kazali im uciekać, a gdy misjonarze się ociągali, posypały się na nich kamienie. Jeden z nich ugodził Wojciecha tak mocno, że biskup znów upadł i pokaleczył się do krwi. Misjonarze uszli do lasu. Tu spędzili noc, a na drugi dzień od rana zaczęli posuwać się ku polskiej granicy. Widocznie ogarnęło ich już zniechęcenie i poczucie bezsilności, więc postanowili wrócić pod opiekę Chrobrego. W południe dotarli do jakiejś polany, jak się zdaje, poświęconej miejscowemu kultowi pogańskiemu. Tu Radzym odprawił mszę, po czym cała trójka ułożyła się na odpoczynek i zasnęła. Zbudził ich gwar. Byli otoczeni przez Prusów. Na Wojciecha posypały się włócznie, pod których celnymi ciosami zmarł. Stało się to w uroczystość św. Jerzego, 23 kwietnia 997 roku.

Trupowi Wojciecha Prusowie ucięli głowę, dwóch pozostałych misjonarzy wolno puścili. Tak skończyła się pierwsza misja pruska.

Historię działalności Wojciecha wśród Prusów i jego męczeńskiej śmierci możemy znać tylko na podstawie relacji jego towarzyszy, którzy nie wszystko może rozumieli albo chcieli powiedzieć. Najwyraźniej są tu bowiem jakieś przemilczenia. Niezrozumiała jest ta powszechna nienawiść do pokojowej misji od pierwszych zaraz jej kroków, nie ma też wytłumaczenia fakt, że Prusowie zamęczyli Wojciecha, a tamtym dwóm nic złego nie zrobili.

Znając charakter Wojciecha i jego stosunek do pogan, możemy podejrzewać, że to on sprowokował swym zachowaniem się zadrażnienia. *Żywot świętego Wojciecha* przekazuje nam jego słowa skierowane do Prusów:

— Jestem z pochodzenia Słowianinem, imieniem Wojciech,

podług stanu mnichem, ze stanowiska niegdyś biskupem, z posłannictwa teraz waszym apostołem.[1]

Słowa te, zwłaszcza w stylizacji autora *Żywota*, brzmią grzecznie i niewinnie. Do uszu Prusów musiały one jednak trafić inaczej. Nie bardzo możemy sobie wyobrazić, jak mógł Wojciech wyrazić w języku pogańskich Prusów takie nie znane im pojęcia, jak mnich, biskup, a zwłaszcza apostoł. Najłatwiej przyjąć, że zabrzmiało to mniej więcej tak:

— Przychodzę z Polski, jestem chrześcijańskim dostojnikiem, a przysłano mnie, abym was pouczył i abyście mnie słuchali.

Po niedawnych próbach zbrojnego opanowania tego kraju przez Chrobrego taka rekomendacja nie musiała zrobić najlepszego wrażenia. Jeśli do tego dodamy znieważenie świętej polany, tak charakterystyczne dla nigdy nie szanującego miejscowych obyczajów biskupa, to śmierć Wojciecha stanie się bardziej zrozumiała. Raz jeszcze okazało się, że nie są to odpowiednie metody zachęcania pogan do przyjęcia nowej wiary.

Jeśli jednak życie Wojciecha było pasmem niepowodzeń, to śmierć jego okazała się wstępem do triumfu. Wieść o niej rozniosła się szeroko po chrześcijańskiej Europie wywierając olbrzymie wrażenie. Były to czasy, gdy życie ludzkie było tanie. Książęta mordowali się nawzajem, takie wypadki, jak tragedia libicka, były we wszystkich krajach na porządku dziennym. Budowanie władzy cesarskiej i autorytetu papieskiego dokonywało się wśród nieustannego rozlewu krwi. Świątobliwy cesarz i papieże nie mieli litości dla swych przeciwników politycznych. W rok po śmierci Wojciecha zdobył Otto III przeciwstawiający mu się Rzym. Przywódca obrońców poniósł śmierć za bunt przeciw cesarzowi, wyniesiony zaś przez opozycję antypapież Jan XVI, Jan Filagatos, dawny towarzysz Wojciecha z klasztoru na Awentynie, został na rozkaz cesarza i papieża potwornie okaleczony: obcięto mu nos, uszy i język i wyłupiono oczy.

---

[1] T. Silnicki, *Św. Wojciech — człowiek i święty, oraz jego działalność na tle epoki*, w dziele zbiorowym *Święty Wojciech, 997—1947*, Gniezno (bez roku wyd.), str. 65.



Scena wykupienia ciała św. Wojciecha przez Bolesława Chrobrego
Fragment Drzwi Gnieźnieńskich

Wszyscy ci męczennicy, do których świat ówczesny się przyzwyczaił, padali jednak ofiarą rozgrywek politycznych. Sami uczestniczyli w nich czynnie, najczęściej z bronią w ręku i — gdyby inaczej losy walk się potoczyły — mogli stać się nie ofiarami, lecz katami. Męczennicy, którzy szli na śmierć bezbronnie i dobrowolnie, aby dać świadectwo swej wierze, należeli już do legendy. Wydawało się, że nie mogą już wrócić czasy, gdy znów to będzie możliwe. Wszak Kościół stał się potęgą, a gdy szedł do pogan, towarzyszyło mu i zapewniało bezpieczeństwo zbrojne ramię chrześcijańskiego cesarstwa.

Tymczasem w śmierci Wojciecha było coś, co zbliżało ją do owych godnych podziwu wzorów pierwszych wieków chrześcijaństwa. Samotnie niemal, bez rycerskiego orszaku, poszedł w głąb obcego kraju ufny w swe posłannictwo. Poniósł śmierć nie w równej walce, nie w obronie jakichś ziemskich wartości, ale z Ewangelią w ręku jako bezinteresowny nauczyciel swojej prawdy.

Olśniła ta śmierć ówczesny świat. Sława Wojciecha przyćmiła innych świętych. Papież nie zwlekając ogłosił jego kanonizację. Cesarz Otto III wznosił na jego cześć kościoły w Akwizgranie, w Pereum pod Rawenną i w Rzymie.

Nie pozostawał w tyle i Bolesław Chrobry. Wykupił z rąk Prusów ciało Wojciecha, według legendy — na wagę złota. Inna, późniejsza legenda opowiada, że Bóg ukarał chciwych Prusów, którzy ostatecznie odeszli z jednym tylko groszem, gdyż ten, rzucony przez ubogą wdowę, przeważył szalę wagi. Tak czy inaczej koszty poniesione przez księcia były niewątpliwie drobne wobec korzyści politycznych, które w zamian uzyskał.

Ciało świętego Wojciecha spoczęło w katedrze gnieźnieńskiej. Kościół posiadający tak cenną relikwię stał się godny, by go podnieść do rangi siedziby pierwszego w Słowiańszczyźnie arcybiskupstwa. Imię księcia tej ziemi trwale złączyło się z opowieścią o świętym biskupie. Wreszcie przybył tu sam cesarz i wiemy już, co te odwiedziny przyniosły Bolesławowi.

Ale prócz tych doraźnych korzyści: niezależnej hierarchii kościelnej i wyniesienia księcia polskiego na jedno z najwyższych stanowisk w świecie łacińskim, męczeństwo świętego Wojciecha przyniosło inne jeszcze owoce. Spopularyzowało ono Polskę jako ośrodek misji, spowodowało powszechne uznanie moralnego prawa Polski do chrystianizowania krajów sąsiednich, co otwierało zarazem drogi ekspansji politycznej państwa piastowskiego. Więcej: Polska w opinii chrześcijańskiej zdystansowała wówczas kraje niemieckie. Sława świętego Wojciecha łączyła się z kompromitacją misji typu niemieckiego, misji zbrojnej. Wprawdzie Wojciech nikogo nie nawrócił, ale jego wyprawa przyniosła Kościołowi chwałę. Zbrojne ekspedycje Sasów przeciw Wieletom nie tylko nie dawały efektów, ale okrywały hańbą, a w każdym razie kłóciły się z ideologią Ewangelii i pojmowaniem chrześcijaństwa jako religii miłości.

Toteż w najbliższych latach po śmierci świętego Wojciecha Kościół łączył swe plany misyjne przede wszystkim z Polską. Już jedno z biskupstw powołanych do życia na zjeździe gnieźnieńskim w roku 1000, mianowicie biskupstwo kołobrzeskie,

miało za zadanie promieniować na zachód, oddziaływać na ziemie wieleckie.

W rok po zjeździe gnieźnieńskim znaleźli się w Polsce następcy świętego Wojciecha, którzy mieli tu zorganizować ośrodek kierujący pokojową misją w sąsiednich krajach pogańskich. Ludzie, którzy podjęli się tej pracy i chcieli kroczyć śladami męczennika, wyszli z Włoch, z pustelni świętego Romualda w Pereum koło Rawenny.

Romuald był, obok świętego Nila, najgłośniejszym ascetą ówczesnej Italii. Wokół swej pustelni skupiał uczniów i naśladowców, którzy pędzili tryb życia na pół pustelniczy, na pół zakonny, według surowo przestrzeganej, a nawet zaostrzonej, reguły benedyktyńskiej. Mieli oni świecić przykładem duchowieństwu, a zwłaszcza zakonnikom, w których szeregi wkradała się coraz większa demoralizacja. W oczach gorliwców to skromne, ale ciche i spokojne życie, jakie zapewniało Pereum, zaczęło jednak tracić wiele ze swego uroku w porównaniu z losem świętego Wojciecha. Pójście w jego ślady wydawało się najpiękniejszą i najpożyteczniejszą drogą służby chrześcijaństwu. W tym przekonaniu trzech spośród uczniów Romualda postanowiło udać się do Polski, by tam stworzyć coś w rodzaju szkoły misyjnej i nieść słowo Ewangelii do pogańskich Wieletów. Wśród tej trójki było dwóch Włochów — Jan i Benedykt — oraz jeden Niemiec: Bruno z Kwerfurtu.

Najwybitniejszą pośród nich postacią i przywódcą gromadki był Bruno. Krewniak cesarski, kształcił się w szkole magdeburskiej, tej samej, z której kilkanaście lat wcześniej wyszedł święty Wojciech. Później wstąpił na służbę cesarską i otrzymał stanowisko w kancelarii Ottona III. Pod wrażeniem śmierci Wojciecha został najpierw zakonnikiem w znanym nam klasztorze awentyńskim, w roku 1000 zaś przyłączył się do świętego Romualda.

Zarówno na Awentynie, jak i w Pereum częstym gościem bywał Otto III. W tychże kołach obracał się brat świętego Wojciecha, Radzym-Gaudenty, zanim udał się do Polski, by objąć rządy arcybiskupstwem gnieźnieńskim. Mówiono tu więc wiele

o planach cesarskich, o Polsce i o osobie Chrobrego, i w tej atmosferze dojrzała myśl Brunona i jego towarzyszy, aby z Polską związać swą dalszą działalność.

Benedykt i Jan udali się prosto do Polski, Bruno miał przybyć później. Skoro zadaniem mnichów miała być misja wśród Wieletów, których kraj był już formalnie podzielony między różne diecezje, trzeba było wpierw załatwić formalności, porozumieć się ostatecznie z cesarzem, uzyskać zezwolenie papieskie, a także omówić sprawę z zainteresowanymi biskupami. Wszystko to miał załatwić Bruno. Tymczasem jego towarzysze zagospodarują się w kraju, nauczą się słowiańskiego języka, pozyskają może na miejscu nowych entuzjastów idei nawracania pogan.

Bolesław Chrobry przyjął włoskich eremitów gościnnie. Umieścił ich pod Międzyrzecem, dał im ziemię i ludzi do pracy, aby mogli spokojnie czas swój poświęcić przygotowaniom do zamierzonego przedsięwzięcia.

Przybysze też nie próżnowali. Zorganizowali gospodarstwo tak, by mogło wyżywić większą liczbę osób, przyswajali sobie z zapałem język i znajomość miejscowych obyczajów. Musieli też współżyć z otoczeniem i odwiedzać bliższe i dalsze osiedla, bo niebawem grono ich powiększyło się o kilku Polaków: dwóch przedstawicieli jakiegoś możniejszego rodu, Izaaka i Mateusza, oraz chłopca z ludu, Krystyna, który został ich kucharzem.

Przygotowani już byli do wyprawy misyjnej, a Bruno wciąż nie przybywał. Tymczasem sytuacja międzynarodowa zaczęła się komplikować. W roku 1002 zmarł cesarz Otto III, a stosunki między jego następcą, Henrykiem II, a Bolesławem Chrobrym nie układały się najlepiej. Nie wiedząc, co o tym sądzić, Benedykt chciał wyruszyć na poszukiwanie Brunona. Bolesław gotów był użyczyć na to środków, dał Benedyktowi nawet dziesięć funtów srebra, stawiał przy tym jednak warunek, że eremita uda się jako poseł książęcy do papieża, by przedstawić jego spór z Henrykiem i prosić o koronę. Benedykt na to nie przystał. Do konfliktu polsko-niemieckiego mieszać się nie



Pięciu Braci

Obraz z XVII wieku w kościele bernardyńskim w Kazimierzu Biskupim

chciał, a w każdym razie nie uważał za stosowne występować przeciw Henrykowi, w którym widział cesarza, głowę świata chrześcijańskiego. Zwrócił więc otrzymane pieniądze, motywując odmowę w sposób następujący:

— Znajdujemy się w zakonie świętym, nie przystoi nam wcale zajmować się sprawami świeckimi.[1]

[1] *Monumenta Poloniae Historica*, tom I, str. 239.

Z podobnych względów nie przyjeżdżał Bruno. Zatrzymał się on na dworze Henryka II i czekał na rozwój wydarzeń. Przyjaźń dla króla niemieckiego wstrzymywała go przed nawiązaniem bezpośrednich kontaktów z przeciwstawiającym się mu księciem polskim.

Tymczasem międzyrzeckich eremitów spotkała katastrofa. Włodarz zawiadujący ich gospodarstwem napadł z kilkoma jeszcze ludźmi na pustelnię, zwabiony podobno wieścią o srebrze, które Benedykt miał dostać od księcia. W nocy 10 listopada 1003 roku zostali zamordowani: Benedykt, Jan, Mateusz, Izaak i Krystyn. Przed śmiercią mieli przebaczyć zabójcom. Polska zyskała nowych świętych, znanych jako Pięciu Braci Polskich.

Dopiero po zakończeniu pierwszej wojny Chrobrego z Henrykiem II, po pokoju poznańskim 1005 roku, przybył do Polski Bruno, wyświęcony tymczasem w Magdeburgu na arcybiskupa. Nie otrzymał on w zarząd żadnej metropolii, żadnej diecezji. Tak jak było to w pierwotnym planie, powierzono mu kierownictwo pracami misyjnymi w krajach pogańskich. Tytuł arcybiskupi miał mu tę pracę ułatwić, dając mu prawo wyświęcania nowych księży i biskupów. Ośrodkiem projektowanych misji nadal pozostawała Polska.

Bolesław Chrobry musiał powitać Brunona z właściwą sobie gościnnością i wspaniałością, gdyż stosunek nowo kreowanego arcybiskupa do księcia polskiego uległ radykalnej zmianie. Zniknęła bez śladu niedawna nieufność, zastąpił ją entuzjastyczny zachwyt chrobrym władcą jako wzorem monarchy i protektora Kościoła. Bruno wspólnie z księciem snuł śmiałe plany szeroko zakrojonej misji, która miałaby objąć nie tylko Wieletów, ale i wiele innych trwających wówczas w pogaństwie ludów. Bolesław wszystko akceptował i zapewniał poparcie materialne.

Energiczny i ambitny, wolny od kompleksów, jakie cechowały świętego Wojciecha, wiódł Bruno bardzo ruchliwe życie i wieloma naraz sprawami się zajmował. Wobec Chrobrego spłacił dług wdzięczności rozsławiając imię Polski w dwóch

pięknych utworach literackich: *Żywocie świętego Wojciecha* i *Żywocie Pięciu Braci*. W ciągu roku 1007 zdołał wysłać misję do Szwecji, wziąć osobisty udział w misji organizowanej w pogańskiej części Węgier, odwiedzić wreszcie w Kijowie Włodzimierza Wielkiego, by zorientować się w możliwościach działania wśród sąsiadujących z Rusią od południa Pieczyngów. Z Kijowa udał się do Pieczyngów i powiodło mu się tam znakomicie. Misja spotkała się z zainteresowaniem i Bruno mógł tam pozostawić jednego ze swych towarzyszy na stałe jako biskupa misyjnego.

W połowie 1008 roku Bruno powrócił do Polski. Zastał ją jednak w innym położeniu, niż gdy ją opuszczał. Pokój z Henrykiem II okazał się nietrwały i od roku toczyła się znów wojna. Było to przykre dla misjonarza darzącego przyjaźnią obydwu wrogich sobie władców. Co więcej, stała się rzecz niesłychana. Henryk zawarł bowiem przeciw Bolesławowi sojusz z Wieletami. Użycie pogańskich sił przeciw chrześcijańskiemu księciu było równoznaczne z wyrzeczeniem się dotychczasowych ideałów Cesarstwa. Był to dla Brunona wielki wstrząs. Nie tylko zresztą dla niego. Nawet nienawidzący Chrobrego kronikarz Thietmar gorszył się ową obecnością Wieletów wśród wojsk niemieckich. Nic dziwnego, skoro obserwował, jak wojownicy polscy „naprzeciw pogan wznosili krzyż święty w nadziei, iż pokonają ich z jego pomocą”[1].

Sojusz niemiecko-wielecki krzyżował poza tym plany Brunona. W tych warunkach o misji wśród Wieletów nie było co marzyć. Bruno musiał patrzeć ze zgryzotą, jak pogaństwo wieleckie wzrasta na sile i rozprzestrzenia się na kraj już formalnie ochrzczony, na Pomorze, gdzie właśnie w tym czasie upadło biskupstwo kołobrzeskie. Wojna hamowała także inne przedsięwzięcia Brunona. Chrobry bowiem odmawiał mu teraz pieniędzy tłumacząc się kosztami, jakie pociągają za sobą przedłużające się boje. Książę polski obiecywał wprawdzie nadal poparcie dla misji, odkładał je jednak wyraźnie do pomyślniejszych czasów.

[1] *Kronika Thietmara*, str. 554.

Bruno nie myślał jednak czekać z założonymi rękami. Wszechstronnie uzdolniony i wykształcony, władający dobrą łaciną i posiadający spory talent literacki, postanowił piórem wpłynąć na bieg wydarzeń. Napisał list otwarty do Henryka II, w którym wśród zapewnień szacunku i przyjaźni skrytykował jednak jego politykę i wezwał go do zgody z Bolesławem. Z fragmentami tego obszernego listu warto się zapoznać; oto tak zwraca się Bruno do Henryka:

„Jeśli ktoś powie, że tego władcę (to znaczy Bolesława) kocham, że dochowuję mu wierności i przyjaźni — to jest to prawdą. Kocham go rzeczywiście, jak duszę własną, a więcej od mego życia. Lecz w Bogu mam cennego świadka, że kocham go nie wbrew łasce waszej; gdyż, o ile mogę, pragnę go ku wam skłonić.

Jeżeli jednak wolno tak powiedzieć, nie tracąc łaski królewskiej: czy jest to dobrem prześladować chrześcijanina, a utrzymywać przyjaźń z ludem pogańskim? Co za zgoda Chrystusa z Belialem, co za porównanie światła z ciemnością? Jak mogą się zgadzać diabeł Swarożyc i wódz świętych, nasz Maurycy? Jakim czołem schodzą się razem: święta włócznia i godła pogańskie, karmione krwią ludzką? Czy nie wierzysz w grzech, o królu, gdy głowa chrześcijańska, co hańba powiedzieć, kroczy pod godłem demonów? Czyż nie lepiej mieć wiernym takiego człowieka, którego radą i pomocą mógłbyś wziąć trybut i uczynić ten lud pogański świętym i najbardziej chrześcijańskim? O, jakbym pragnął mieć nie wrogiem, lecz wiernym tego, o którym mówię: władcę Bolesława!

...Czyż nie zacniej walczyć z poganami dla chrześcijaństwa, niż gwałcić chrześcijan dla honoru świeckiego?... Czyż król nie wszedł do tej ziemi (to znaczy: do Polski) siłą z poganami i chrześcijanami? I cóż się stało? Ochronili (Bolesława) święty Piotr, którego dannikiem on się uważa, i święty Wojciech. Gdyby nie chcieli mu pomóc, nigdy by nie spoczywali w jego ziemi bracia męczennicy, którzy krew przelali i czynią wiele cudów grozą imienia Bożego.

...Bolesław chciał duchowo i materialnie poprzeć mnie

w nawracaniu Prusów i postanowił nie żałować na to pieniędzy; a oto z powodu wojny, którą mu wydał król..., nie ma czasu i nie może pomóc mi w szerzeniu Ewangelii...

...Ileż dobrego stałoby się w nawracaniu pogan, gdyby syn Bolesław żył z wami, z naszym królem, jedyną nadzieją świata, w dobrej zgodzie, tak jak żył jego ojciec, Mieszko, ze zmarłym cesarzem..." [1]

Mocne te słowa nie przyniosły natychmiastowej odmiany, niewątpliwie jednak wzmogły opozycyjny ferment w Niemczech, po roku zaś Henryk II rzeczywiście zrezygnował na pewien czas z sojuszu z Wieletami. Bruno wprawdzie nie doczekał tego, gdyż 9 marca 1009 roku poniósł śmierć wraz z czterema innymi księżmi w trakcie podjętej znów misji wśród Jadźwingów, ludu spokrewnionego z Prusami i osiadłego na południo-wschód od nich, w dorzeczu Bugu. Jeszcze jeden męczennik i święty chrześcijański, którego losy splątały się ściśle z wczesną historią Polski!

Śmierć świętego Brunona z Kwerfurtu położyła kres wielkim akcjom misyjnym przeprowadzanym pod patronatem Bolesława Chrobrego. Nie znaczy to jednak, by działalność tego typu w Polsce zupełnie wygasła. Pozostali przecież współpracownicy Brunona, którzy kontynuowali zapewne dzieło mistrza, choć nie na taką już skalę i nie z takim rozmachem. Po śmierci Chrobrego natomiast idea misji zewnętrznej rzeczywiście zagasła. Tragiczne wypadki w latach trzydziestych XI wieku ostatecznie przekonały książąt, że główny wysiłek misyjny trzeba poświęcić sprawie wykorzenienia pogaństwa we własnym kraju.

Czyżby Chrobry tego nie rozumiał? Dlaczego wobec tego popierał tak usilnie tych właśnie księży, którzy obrali sobie misję zewnętrzną za główny teren pracy?

Dwie na to składały się przyczyny. Po pierwsze, Chrobremu w związku z jego planami politycznymi zależało na rozgłosie. Stąd popierał przedsięwzięcia nie tak może pożyteczne,

---

[1] St. Zakrzewski, *Bolesław Chrobry Wielki*, str. 261—263.

co efektowne. Wyprawa świętego Wojciecha do Prusów spełzła praktycznie na niczym i z góry można było się spodziewać, że tak właśnie będzie. Ale porwanie się na taką rzecz musiało zrobić w całej Europie kolosalne wrażenie. Widzieliśmy, jakie korzyści dla Polski mógł z tego Bolesław natychmiast niemal wyciągnąć. Podtrzymywanie potem jeszcze przez kilkanaście lat idei misyjnej, współpraca ze znanym światu Brunonem sprawiały, że — z jednej strony — legenda o Chrobrym jako o najbardziej czynnym propagatorze chrześcijaństwa wciąż rosła, z drugiej zaś strony — królestwo niemieckie kompromitowało się swoją bezradnością, a w końcu sojuszem z poganami.

Misje zewnętrzne służyły jednak poza tym drugiemu jeszcze celowi. Bolesław Chrobry dążył przede wszystkim do rozszerzania granic Polski. Był to wielki zdolnościami, ale typowy władca wczesnofeudalny, myślący przez całe życie o podbojach. Nie darmo zestawiamy go z Karolem Wielkim, twórcą imperium frankijskiego. Idea misji zewnętrznej miała służyć polskiej ekspansji politycznej, tak jak dotąd służyła ekspansji niemieckiej. Inicjując misje w krajach, których jeszcze nie tknęła stopa chrześcijańskiego kapłana, Chrobry zabezpieczał sobie prawa pierwszeństwa do rozciągnięcia w przyszłości zwierzchnictwa politycznego na te ziemie.

Kiedy niepowodzenia wojenne i trudności wewnętrzne jego następców sprawiły, że przez dalszych sto lat Polska musiała zająć pozycję raczej obronną i zrezygnować z myśli o podboju nowych terytoriów, wówczas zajmowanie się misją zewnętrzną straciło wszelki sens. Dopiero w początkach XII wieku otworzyły się znów przed Bolesławem Krzywoustym widoki na opanowanie dawno utraconego Pomorza. Razem z tymi planami politycznymi wróciło zainteresowanie dla misji zewnętrznej. Chodziło w szczególności o to, by zwłaszcza na zachodnim Pomorzu, po które Polska sięgała równocześnie z książętami saskimi, wyprzedzić niemiecką inicjatywę misyjną i stworzyć fakty dokonane, dające moralną legitymację księciu polskiemu do zwierzchnictwa politycznego i kościelnego nad tym słowiańskim krajem.

Za Krzywoustego wyłoniły się jednak trudności w realizowaniu tego zadania. Brak było mianowicie chętnych. Misja wymaga ludzi o bardzo specjalnych dyspozycjach psychicznych. Misjonarz naraża się na trudy, niewygody, na wszelkie niebezpieczeństwa, aż do niebezpieczeństwa utraty życia włącznie. Decydują się na to fanatycy, pożądający właśnie śmierci w imię głoszonej przez siebie idei, albo też ludzie energiczni, dzielni, świadomi umiejętności pokonywania przeszkód. Ani jednych, ani drugich nie znajduje się zazwyczaj wśród zasiedziałego na intratnych stanowiskach duchowieństwa, nawykłego do bardziej lub mniej ofiarnej, ale z reguły spokojnej i systematycznej pracy. Duchowieństwo polskie w XII wieku do takiej tylko właśnie pracy się nadawało. Kraj był w zasadzie ochrzczony, głównym zadaniem księży nie było nawracanie ludności, lecz administracja kościelna. Tutaj więc amatorów pracy misyjnej na zupełnie jeszcze pogańskim Pomorzu nie mógł Krzywousty znaleźć.

Misjonarzy Pomorza musiał więc książę polski szukać za granicą. Było to przykre. Wprawdzie misje organizowane przez Chrobrego też pochodziły z zewnątrz kraju, ale było to naturalne w warunkach, gdy w samej Polsce chrześcijaństwo było jeszcze bardzo świeże i duchowieństwa rodzimego właściwie jeszcze nie było. Za Krzywoustego sytuacja była odmienna. Polska organizacja kościelna okrzepła, przeważająca część ludności wyznawała w zasadzie religię chrześcijańską, na jakiś szczególny brak duchowieństwa nie można było narzekać. Mimo to całkowicie polskiej misji nie udało się zorganizować.

Ale i na Zachodzie niełatwo było znaleźć amatorów nawracania pomorskich pogan. Ludzie typu Brunona z Kwerfurtu zdarzali się wprawdzie w każdej epoce, było ich jednak zawsze mniej niż możliwych pól działania. Za czasów Chrobrego ludzie tacy ściągali do Polski, bo spopularyzowało ją męczeństwo świętego Wojciecha, bo pociągały wyobraźnię nowe metody misyjne, którym patronował książę gnieźnieński. Słowiański wschód Europy stał się wtedy po prostu modny. W XII wieku było już inaczej. Zachód zaczynał żyć ideą wypraw krzyżowych

i dla natur czynnych, żarliwych i pragnących zasłużyć się chrześcijaństwu najbardziej atrakcyjnym terenem działalności stała się Jerozolima.

Z wielkim więc trudem udało się Krzywoustemu zainteresować Pomorzem jednego zaledwie zachodnioeuropejskiego mnicha, Bernarda Hiszpana. Był to człowiek wyznający ideę misji pokojowej, którego raziły orężne sukcesy chrześcijaństwa i który wskutek tego nie uległ krucjatowej modzie. Pragnął on zdobywać pogan przykładem cnotliwego życia i głoszeniem nauk Chrystusowych. Nawiązał więc do tradycji świętego Wojciecha i Pięciu Braci, w praktycznej zaś działalności był może bardziej jeszcze naiwny niż tamci. Na Pomorze udał się sam jeden, skromnie jak pielgrzym, w wytartej odzieży i boso. Początkowo spotkał się z szyderstwem.

— Cóż to za bóg, który swemu kapłanowi nie może sprawić butów! — śmieli się Pomorzanie.

Rozdrażniony kpinami Bernard schwycił wówczas siekierę i chciał rąbać drzewo, bóstwu miejscowemu poświęcone. Ludność nie pozwoliła na to, niefortunny misjonarz otrzymał kilka razów, po czym wsadzono go na łódkę i puszczono na morze.

— Praw sobie kazania bałwanom morskim, jeśli koniecznie chcesz kogoś nauczać — wołano za nim ze śmiechem.

Misja Bernarda spełzła na niczym. Ani nie nawrócił nikogo, ani nie stał się męczennikiem, co miałoby również znaczenie propagandowe. Ot, potraktowano go jak niezbyt groźnego szaleńca.

Następną misję zorganizował Krzywousty już inaczej. Działając w porozumieniu z księciem zachodniopomorskim Warcisławem postanowił wysłać do Szczecina orszak wspaniały, który by ludziom tamtejszym mógł zaimponować bogactwem i siłą. Nie miała to być wyprawa samotnych zakonników, lecz zbrojna ekipa. Jej trzon stanowiło sześćdziesięciu doborowych rycerzy z kasztelanem Pawłem na czele. Przewodniczyć wyprawie zgodził się bawarski biskup, Otton z Bambergi, który w młodości był kapelanem księcia polskiego, prowadził na



Kościółek św. Wojciecha na Rynku w Krakowie. W głębi widać wieże kościoła Mariackiego

dworze polskim szkołę, a stąd znał nieźle język i obyczaje słowiańskie.

W ciągu kilku miesięcy wyprawa Ottona zjeździła część księstwa zachodniopomorskiego, położoną na prawym brzegu Odry. Biskup starał się jak najbardziej unaocznić Pomorzanom potęgę chrześcijańskiego Boga odprawiając nabożeństwa z wielką okazałością i nie żałując złota. Jego rycerskie otoczenie do perswazji misjonarzy dodawało odpowiednie orgumenty natury świeckiej. Nie bez znaczenia był zwłaszcza fakt, że Bolesław Krzywousty uzależniał złagodzenie warunków pokoju od przychylnego stosunku szczecińskich możnych do misji.

Działalność Ottona zakończyła się całkowitym sukcesem. Możni zdecydowali się przyjąć chrzest, a na ich polecenie ściągał na wyznaczone miejsca lud, który biskup i jego towarzysze chrzcili znaną już nam masową metodą całymi tysiącami. W krótkim czasie całe prawobrzeżne Pomorze nadodrzańskie stało się formalnie chrześcijańskie.

Powodzenie misji polskiej wywołało zaniepokojenie w Niemczech. W kilka lat później Otton znów wyruszył do państwa Warcisława, aby kontynuować chrystianizację na ziemiach po lewej stronie Odry, tym razem jednak już nie jako wysłannik Krzywoustego, ale z ramienia cesarza i książąt niemieckich.

Był to jak gdyby wyścig między Polską i Niemcami. Obydwu państwom chodziło o to, by organizowaną przez siebie misją objąć jak największą połać Pomorza, aby dzięki temu zdobyć prawo do rozciągnięcia na ten kraj własnej organizacji kościelnej i własnego zwierzchnictwa politycznego. Inicjatywa misyjna Bolesława Krzywoustego sprawiła, że ekspansja niemiecka na ziemie Słowian nadbałtyckich musiała zatrzymać się na granicy Odry. Dalej na wschód leżał już kraj zdobyty dla chrześcijaństwa przez Polskę i fakt ten panowie niemieccy musieli uznać.

W roku 1135 na zjeździe w Merseburgu spotkał się cesarz Lotar z Supplinburga z Krzywoustym. Ustalono wtedy ostatecznie rozgraniczenie wpływów niemieckich i polskich na Pomorzu Zachodnim. Kraj aż po Odrę przypadł Polsce.

Łatwo teraz zrozumieć, dlaczego książęta i królowie polscy tyle uwagi poświęcali misji w krajach sąsiednich, dlaczego rozwijał misje zewnętrzne Chrobry wtedy jeszcze, gdy sama Polska potrzebowała działalności misjonarskiej, dlaczego śpieszył się Krzywousty z chrystianizacją ziem nad Odrą, nie darząc równym zainteresowaniem Pomorza Wschodniego. We wszystkich tych wypadkach chodziło o jedno i to samo: o wykazanie, że Polska skuteczniej i bardziej umiejętnie niż Niemcy może wprowadzić chrześcijaństwo na ziemie pogan, i że wobec tego ma moralne prawo — zgodnie z panującym w średniowieczu poglądem na świat — rozciągać na te ziemie swą władzę polityczną.

Chrześcijaństwo służyło więc pierwszym Piastom między innymi za narzędzie ekspansji politycznej.

Rozdział ósmy

KOŚCIÓŁ W SŁUŻBIE PIERWSZYCH PIASTÓW

Dzieje stosunku Kościoła do państwa to bardzo ciekawy rozdział historii, obfitujący w sceny dramatyczne. Były wśród nich i walki zbrojne, i ciche, podstępne zabiegi o przewagę. Biskupi wstępowali na ambony, by uroczyście wykląć swego monarchę i wezwać możnych i lud do odmówienia mu posłuszeństwa, to znów królowie stawiali dostojników kościelnych przed swój sąd, oddawali ich na tortury lub pód topór kata. Bywało, że duchowieństwo spiskowało z wrogami państwa. W niektórych państwach zdarzały się prześladowania Kościoła. Nie ma narodu, który w swej przeszłości nie miałby do zanotowania podobnych faktów.

W historii naszego kraju widzimy ponadto, jak w różnych jej okresach papiestwo korzystało z wpływów posłusznego sobie Kościoła w sposób niezgodny z interesami naszego narodu. Niejedną szkodę poniosła Polska dlatego, że ulegając Kościołowi zaniedbywała swoje żywotne interesy, a walczyła za cudzą sprawę.

Toteż rozpowszechniło się mniemanie, że między państwem a Kościołem istniała zawsze rozbieżność dążeń i stan walki oraz że Kościół w Polsce był od początku swego istnienia reprezentantem obcych sił politycznych.

Mniemanie to nie jest jednak słuszne. Początkowo, za pierwszych Piastów, Kościół polski był zależny od państwa, był jego narzędziem i sługą. Od czasu gdy Otto III zrzekł się

na zjeździe gnieźnieńskim na rzecz Bolesława Chrobrego prawa nominacji biskupów, królowie i książęta polscy obsadzali według własnej woli stanowiska kościelne. Biskupi czuli się więc organizacyjnie i politycznie zależni od polskiego monarchy, a nie od żadnego ośrodka znajdującego się na zewnątrz państwa. Z monarchą wiązały ich też interesy ekonomiczne. Dopóki Kościół nie stał się sam potężnym właścicielem wielkich dóbr ziemskich, dopóty jego egzystencja i rozwój były uwarunkowane hojnością księcia. Panujący byli dobrodziejami Kościoła i duchowieństwo starało się im za to odwdzięczyć.

Główne wówczas zadanie Kościoła polskiego, jakim było szerzenie wiary chrześcijańskiej wśród możnych i ludu, leżało w interesie państwa. Chrześcijaństwo bowiem dawało Polsce tę jedność religijną, której nie mogło zapewnić rozbite na kulty lokalne pogaństwo. Chrześcijaństwo wzmacniało również w społeczeństwie autorytet króla. Król — w myśl nowych pojęć — był bowiem pomazańcem bożym, osobą świętą, wobec której posłuszeństwo stawało się nakazem religijnym. Już więc sama praca misyjna nabierała w owych czasach charakteru służby państwu.

Duchowieństwo przebywające w Polsce nie ograniczało się jednak bynajmniej do pracy misyjnej, ale współpracowało z książętami również politycznie. Takie postacie, jak wspominany uprzednio eremita Benedykt, który odmówił Chrobremu podjęcia się misji politycznej, należały do wyjątków. Większość biskupów, opatów i bardziej wykształconych zwykłych księży była stale obarczana przez księcia zadaniami o charakterze świeckim i starała się z nich wywiązać dobrze. Z osób duchownych składała się kancelaria książęca, duchowni też stanowili zwykły skład poselstw wysyłanych za granicę.

O tym, że ci cudzoziemscy księża wiernie służyli swemu polskiemu panu, zaświadcza najlepiej opinia, jaką zdobywali sobie na dworach Polsce niechętnych. Oto co pisał kronikarz niemiecki Thietmar o opacie Tunim, włoskim mnichu, który osiadł w polskim klasztorze w Międzyrzecu:

„Bolesław... wysłał do cesarza swojego opata, imieniem Tuni... Cesarz jednak rozpoznał w nim zaraz szpiega i zatrzymał go, dopóki całe wojsko nie przeszło przez znajdujące się na drodze bagna przy pomocy mostów ułożonych poprzedniej nocy. Wtedy dopiero powrócił ów mnich z powierzchowności, a chytry liszka z czynów swoich i za to przez swego pana tak lubiany."[1]

Jak wynika z przytoczonego fragmentu, opat Tuni dobrze się krzątał około sprawy Chrobrego, skoro ściągnął na siebie gniew wrogów księcia polskiego.

A przypomnijmy sobie z poprzedniego rozdziału postać arcybiskupa Brunona z Kwerfurtu. Jak bardzo oddany Chrobremu był ten graf niemiecki i przyjaciel dwóch kolejnych cesarzy! Jak niedwuznacznie głosił w liście do Henryka II słuszność polityki polskiej! Zwracając się do cesarza z całym szacunkiem, podkreślał jednak, że dochowywać będzie wierności władcy polskiemu.

Nie tylko w polityce zewnętrznej przedstawiciele Kościoła polskiego służyli państwu piastowskiemu. Także wobec społeczeństwa polskiego Kościół zajmował pozycję solidarną z władzą państwową. Toteż kiedy po śmierci Mieszka II Polska stała się widownią zamieszek i buntów skierowanych przeciw tej władzy, ofiarą ich stała się przede wszystkim organizacja kościelna. Natomiast odbudowa monarchii przez Kazimierza Odnowiciela i Bolesława Śmiałego niosła z sobą niemal automatycznie ponowny rozkwit Kościoła.

Kościół polski w tamtych czasach nie był instytucją istniejącą obok państwa. Był monarchii tak ściśle podporządkowany, że może być uważany za część stojącego na jej usługach aparatu państwowego.

Nie jest to jakąś wyłączną cechą stosunków polskich. To, co się działo w Polsce, było jedynie odbiciem stosunków panujących w całej Europie. Wszędzie władcy świeccy mieli wtedy przewagę nad czynnikami kościelnymi. Wprawdzie panująca

[1] *Kronika Thietmara*, str. 496—498.

teoria głosiła raczej równorzędność obu władz, papież i cesarz wspólnie byli według niej namiestnikami Boga na ziemi, ale praktycznie znaczenie cesarza było o wiele większe. Cóż z tego bowiem, że papieże mieli pewien autorytet polityczny, że uznawano ich prawo do rozdawania koron, że oni tylko mogli koronować cesarza, kiedy sami znajdowali się w mocy tegoż cesarza? Cesarz panował nad Rzymem i on obsadzał tron papieski według swego uznania.

Na wybór biskupów i arcybiskupów nie miał papież nigdzie wpływu. W Niemczech i w krajach od cesarstwa zależnych powoływał ich cesarz, w innych królestwach — królowie. Władcy świeccy dbali o to, aby godności kościelne w ich krajach dostawały się w ręce ludzi im oddanych i politycznie bliskich. Wymagali też od nich przysięgi wierności. Już to przesądzało o podporządkowaniu Kościoła państwu.

O wiele luźniejsza była zależność biskupów od papieża. Kościół nie był instytucją scentralizowaną, jaką stał się później i jest do dziś. Poszczególne prowincje kościelne, czyli arcybiskupstwa, cieszyły się stosunkowo dużą swobodą i samodzielnością. Ich zwierzchnicy oddawali papieżowi wszelkie należne mu honory, ale jednocześnie twardo stawali w obronie swych praw, gdy Rzym próbował je uszczuplić. Ilustracją takiej postawy może być choćby znana już nam walka biskupów bawarskich z Metodym, kiedy to episkopat archidiecezji salzburskiej przeciwstawił się stanowczo zarządzeniom papieskim, uważając je za nielegalne.

Taki stan rzeczy był dla monarchów bardzo wygodny. W Kościele miejscowym zyskiwali oni silnego i wartościowego sojusznika. W Niemczech zwłaszcza, gdzie rosła siła książąt dążących do osłabienia władzy centralnej, dostojnicy kościelni stanowili główne oparcie polityczne cesarza i odgrywali rolę skutecznej przeciwwagi wobec opozycji panów świeckich.

Polityczne zaangażowanie duchowieństwa i jego coraz bardziej świecki tryb życia pociągał jednak za sobą także skutki ujemne. Słabła praca duszpasterska, postępowanie wielu księży

i zakonników budziło zgorszenie, zmniejszał się autorytet i wpływ Kościoła. Kościół zaś bez autorytetu tracił znaczenie również dla państwa.

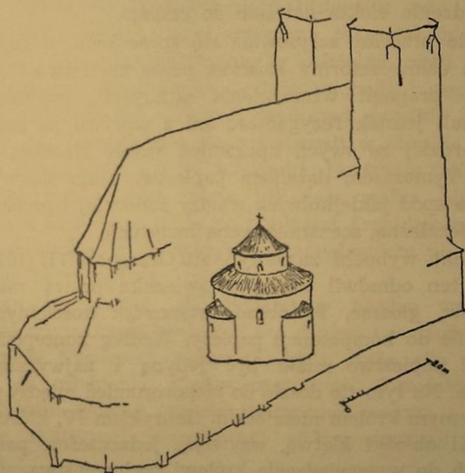
W latach gdy Polska zetknęła się z chrześcijaństwem, w Kościele zachodnioeuropejskim zaczynała się reakcja przeciw takiemu stanowi rzeczy. W różnych ośrodkach głoszono program reform Kościoła, domagano się od duchowieństwa bardziej moralnego życia i wypełniania obowiązków, żądano zwiększenia karności kościelnej. Ruch ten przybrał na sile zwłaszcza w połowie XI wieku, kiedy zyskał poparcie cesarza Henryka III. W krajach Cesarstwa wprowadzono wtedy celibat księży i występowano ostro przeciw rozpowszechnionemu zwyczajowi sprzedawania godności kościelnych. Aby podnieść upadający autorytet papieży, zreformowano sposób ich wyboru. Papieża mieli wybierać kardynałowie z tym zastrzeżeniem, że zatwierdzenie elekta należało do cesarza.

Rychło przecież zarysowała się sprzeczność między pojmowaniem celów reformy Kościoła przez cesarstwo i papiestwo. Cesarze pragnęli wzmocnienia autorytetu papieskiego, nie zamierzali jednak rezygnować ani z wpływu na papieży, ani tym bardziej ze swych uprawnień wobec Kościoła w Niemczech. Tymczasem dążeniem papiestwa stało się wyzwolenie Kościoła spod jakiejkolwiek władzy świeckiej i przekształcenie go w niezależną, scentralizowaną instytucję.

Konflikt wybuchł za pontyfikatu Grzegorza VII (1073—1085). Papież ten odmówił władcom świeckim prawa mianowania biskupów, głosząc, że obsada stanowisk kościelnych należy wyłącznie do kompetencji papieży. Według koncepcji Grzegorza VII papiestwo miało być jedyną i najwyższą władzą Kościoła. Na tym tle doszło do nieporozumień między papieżem a ówczesnym królem niemieckim Henrykiem IV, którego Grzegorz VII obłożył klątwą, wzywając jednocześnie panów niemieckich do wypowiedzenia królowi posłuszeństwa.

Wypadki te nie były obojętne dla Polski. Nieprzyjazny cesarstwu książę Bolesław Śmiały stanął po stronie Grzegorza VII i uzyskał od niego koronę królewską. Łączyło się to oczy-

wiście z uznaniem przez nowego króla papieskiego programu reform. Do Polski przybył wtedy legat papieski, aby uporządkować stosunki w tutejszym Kościele. To, co zastał, odbiegało tak dalece od ideałów reformy kościelnej, że z wprowadzenia od razu wszystkich wymagań stawianych w owym czasie Kościołowi na Zachodzie musiał zrezygnować. Takie rzeczy, jak małżeństwa księży, z którymi we Francji, w Niemczech czy w Anglii walczono skutecznie już od parudziesięciu lat, tu były czymś zupełnie naturalnym, a wreszcie mało ważnym wobec opłakanego stanu samej organizacji kościelnej. Skarżył się więc legat papieżowi, że w kraju tym diecezje nie mają ściśle określonych granic, biskupów jest za mało, ci zaś, którzy są, mało dbają o obowiązki kościelne, nie przebywają w swych siedzibach, lecz wałęsają się po całym kraju. Te więc przede



Rotunda wzniesiona przez Mieszka I w Gnieźnie, na tle sylwety dzisiejszej Katedry

Rekonstrukcja według prof. J. Zachwatowicza

wszystkim sprawy wymagały uregulowania. Pragnął tego sam król i w zgodnej współpracy państwa z wysłańcem papieskim zaprowadzono porządek w administracji kościelnej.

Wątpliwe jest natomiast, by król zrezygnował wówczas z prawa mianowania biskupów. Zapewne uznał tylko teoretycznie postulaty Rzymu w tym zakresie, w praktyce zaś pozostało wszystko po dawnemu. Nie mogło zresztą być inaczej. Program gregoriański wymagał swobodnego obioru biskupów przez kanoników katedralnych zorganizowanych w kapituły, który to wybór stawał się ważny po zatwierdzeniu go przez papieża. W Polsce nie było jeszcze kapituł; pierwsze z nich powstaną dopiero w XII wieku. W tych warunkach spór o sposób powoływania biskupów, tak ostry na Zachodzie, u nas był na razie zupełnie nieaktualny i problem ten nie mógł naruszać panującej harmonii między państwem a Kościołem.

W parę lat jednak po bytności legata Grzegorza VII w Polsce i koronacji królewskiej Bolesława Śmiałego wybuchł tajemniczy konflikt między królem a jednym z dostojników kościelnych, biskupem krakowskim Stanisławem. O całej tej sprawie wiemy niesłychanie mało. Znamy właściwie tylko jej zakończenie, mianowicie fakt skazania biskupa przez króla na śmierć przez ćwiartowanie. Tyle bowiem przekazuje nam jedyne w tym wypadku wiarygodne źródło, kronika Galla:

„To bowiem wiele mu (Bolesławowi) zaszkodziło, gdy przeciw grzechowi grzech zastosował, gdy za zdradę wydał biskupa na obcięcie członków. Ani bowiem zdrajcy biskupa nie usprawiedliwiamy, ani króla mszczącego się tak szpetnie nie zalecamy.” [1]

Więcej kronikarz nie chciał nic na ten temat powiedzieć. Przemilczał zwłaszcza przyczynę sporu, wzmiankując tylko ogólnikowo o zdradzie biskupa. Szczegółów nigdy więc znać nie będziemy. Spróbujmy jednak dać odpowiedź na pytanie, czy spór Bolesława Śmiałego ze Stanisławem „ze Szczepanowa” miał charakter starcia między państwem a Kościołem. Jest to

[1] Anonim, tzw. Gall, *Kronika polska*, str. 95.

problem ważny, byłoby to bowiem pierwsze tego rodzaju starcie w dziejach Polski.

Na pozór wydawałoby się, że tak właśnie było. Zbieżność dat pierwszej walki cesarstwa z papiestwem i omawianego wypadku sugeruje, że mamy tu do czynienia z echem owego wielkiego konfliktu między władzą kościelną i świecką i że ta sama różnica pojęć, jaka skierowała cesarza przeciw Grzegorzowi VII, ujawniła się również w tym tragicznym epizodzie historii Polski. Podobnie zresztą przedstawia sprawę legenda z końca XII wieku.

Według tej legendy, powstałej w krakowskim środowisku kościelnym, przyczyną konfliktu było niemoralne życie Bolesława Śmiałego oraz surowość, z jaką król ten karał rycerzy, którzy go opuścili podczas wyprawy na Kijów. Biskup Stanisław miał przeciw temu wystąpić i napominać króla, a gdy słowa perswazji nie pomogły, rzucił jakoby na Bolesława klątwę i wezwał kraj do wypowiedzenia posłuszeństwa wyklętemu władcy. Król kazał wówczas swoim ludziom zabić biskupa, a gdy ci wymawiali się, nie mając odwagi popełnić zbrodni, wpadł sam do kościoła na Skałce, gdzie Stanisław odprawiał właśnie mszę, i ciął go przez głowę mieczem.

W świetle powyższej legendy Stanisław „ze Szczepanowa" wygląda na wyznawcę i naśladowcę Grzegorza VII. Tak samo jak ten papież poważył się nie tylko rzucić klątwę na głowę koronowaną, ale stanął na stanowisku, że ta kara kościelna pozbawia zarazem króla jego władzy świeckiej.

Rozpatrzmy jednak, o ile ta legenda zasługuje na wiarę. Różne bowiem bywają legendy. W niektórych przechowuje się, przekazywane z ust do ust, z pokolenia na pokolenie, ziarno prawdy historycznej. Inne są tworem fantazji, czerpią motywy z wydarzeń współczesnych autorowi legendy, odzwierciedlają nie faktyczny przebieg wypadków, lecz tendencje środowiska, w którym legenda się rodzi. Do jakiego więc typu należy legenda o świętym Stanisławie?

Łatwo dostrzec zasadniczą niezgodność legendy z relacją dobrze poinformowanego, bo prawie współczesnego wypadkom

Galla. Kronikarz wiedział jeszcze, jaką śmiercią zginął Stanisław: skazano go na ćwiartowanie, co było wówczas normalnie stosowaną karą za zdradę monarchy. Legenda o tym już nie wie i wprowadza motyw zabójstwa biskupa przy ołtarzu. Już ten fakt stawia prawdomówność legendy w podejrzenie. Jeśli nie utrwaliła ona tak ważnego szczegółu, jak rodzaj śmierci biskupa Stanisława, to najprawdopodobniej także inne zawarte w niej wiadomości nie zasługują na wiarę.

Skąd się one jednak wzięły? Czyżby były całkowicie zmyślone?

Niezupełnie. Niektóre szczegóły sporu biskupa z królem, zwłaszcza zaś rzekome zabójstwo biskupa przy odprawianiu mszy, są zgodne z innym faktem historycznym. W taki właśnie sposób zginął w Anglii, w roku 1170, arcybiskup Tomasz Becket. W czasie gdy powstawała legenda o Stanisławie, Europa była właśnie pod świeżym wrażeniem angielskiej tragedii.

Widzimy więc, że w pamięci ludzi końca XII wieku zatarły się już całkowicie wydarzenia z czasów Bolesława Śmiałego. Wiedziano tylko, że biskup zginął w wyniku konfliktu z królem. Odtwarzano więc przebieg wypadków na wzór innych, lepiej znanych sporów kościelno-politycznych, a i samych bohaterów — króla i biskupa — modelowano na kształt ludzi współczesnych. Ponieważ druga połowa XII wieku była okresem ostrej walki między Kościołem a monarchami, w walce tej zaś dostojnicy kościelni — także już w Polsce — szafowali nader często karami kościelnymi, zwłaszcza klątwą, więc nie powinno dziwić, że nie inaczej wyobrażano sobie wtedy postępowanie biskupa Stanisława.

Tymczasem nasza znajomość stosunków w XI wieku czyni wersję o klątwie rzuconej na króla przez biskupa krakowskiego zupełnie nieprawdopodobną, a to z kilku powodów.

Przede wszystkim pamiętajmy, że Bolesław Śmiały należał do obozu zwolenników Grzegorza VII. Dopiero co przeprowadzał wraz z legatem papieskim reformę organizacyjną Kościoła w Polsce, dopiero co otrzymał od papieża koronę królewską.

O poglądach biskupa Stanisława nic nie wiemy. Jeżeli jednak — jak przypuszczają niektórzy — należałby do obozu przeciwnego, antygregoriańskiego, to nie ważyłby się rzucać klątwy na króla, który w myśl tradycyjnej teorii był pomazańcem Bożym. Tym bardziej nie do pomyślenia jest, by antygregorianin, uznający zwierzchność monarchy nad biskupami, mógł zwalniać poddanych królewskich od obowiązku posłuszeństwa. Przecież obóz antygregoriański uważał analogiczny krok papieża za pozbawiony podstaw prawnych.

Klątwę na króla mógł więc rzucić tylko biskup podzielający w całej pełni pogląd Grzegorza VII o wyższości władzy kościelnej nad świecką. Legenda kościelna o świętym Stanisławie uważa też konsekwentnie biskupa krakowskiego za gregorianina. W takim jednak razie byłby on sojusznikiem politycznym Bolesława Śmiałego i trudno by było zrozumieć, jak między nim a królem mogło dojść do tak wielkiego zatargu.

Załóżmy jednak, że — jak to niektórzy tłumaczą — współdziałanie Bolesława z papieżem było tylko krótkotrwałą taktyką polityczną króla, któremu zależało głównie na podtrzymywaniu Grzegorza VII w walce z cesarstwem, nie zaś na reformie kościelnej. Czy wówczas prawdopodobniejsza by się stała możliwość konfliktu między monarchą a tą częścią duchowieństwa, która chciała dalej pogłębiać reformę, zapoczątkowaną zaledwie w okresie wizyty legata papieskiego? Nie bardzo. Następnym etapem reformy w owych czasach musiała być przede wszystkim walka o wewnętrzną karność w Kościele i o celibat duchowieństwa. Król nie miał żadnych powodów, by temu się przeciwstawiać; przeciwnie — reformy gregoriańskie natrafiały na największy opór właśnie wśród kleru, którego swobodę ograniczały.

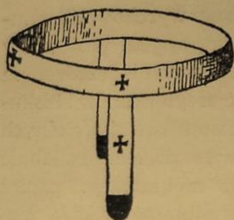
Gdyby jednak z jakichś nie znanych nam powodów wybuchł rzeczywiście zatarg między królem a biskupem o prawa Kościoła, to i wówczas gregoriański biskup nie czułby się w prawie sięgać po broń klątwy kościelnej. Zwierzchnikiem Kościoła polskiego był bowiem arcybiskup gnieźnieński i, w myśl zasad karności kościelnej, do niego powinien zwrócić się Stanisław

o interwencję. Ale i arcybiskup ostateczne wyrokowanie musiałby zostawić papieżowi. Jednym z głównych postulatów Grzegorza VII była dyscyplina w centralistycznie rządzonym Kościele i ograniczenie sfery uprawnień arcybiskupów i biskupów. Papież zatwierdzał wybranych dostojników kościelnych i on jedynie mógł ich zawieszać w czynnościach. Podobnie rozumiał Grzegorz stosunek Kościoła do monarchów: papież rozdaje korony i tylko on władny jest odbierać władzę niegodnym królom. Przekreślenie koronacji królewskiej, dokonanej za zgodą papieża, decyzją prowincjonalnego biskupa byłoby w oczach Grzegorza VII karygodnym wybrykiem.

Na przełomie XII i XIII wieku Kościół głosił już inną teorię. Według niej władza duchowna była tak niepomiernie wyższa od władzy świeckiej, że najskromniejszy ksiądz stał ponad najpotężniejszymi monarchami. Wtedy rzeczywiście rozpowszechnił się zwyczaj wyklinania królów przez pojedynczych biskupów, co zresztą przyczyniło się tylko do obniżenia powagi tej kary kościelnej.

Sądzimy więc, że opowieść o klątwie rzuconej przez biskupa Stanisława na Bolesława Śmiałego jest takim samym późnym wymysłem, jak rzekoma śmierć tego biskupa podczas odprawiania mszy. Co więcej, wątpimy w ogóle, by spór króla ze Stanisławem miał charakter konfliktu państwa z Kościołem. Gdyby bowiem tak było, Kościół uznałby od razu biskupa-męczennika za świętego. W XI wieku nie znano jeszcze długich procesów kanonizacyjnych. Duchowni, którzy ponieśli śmierć za wiarę lub w obronie interesów Kościoła, byli natychmiast zaliczani w poczet świętych. Jeżeli tak się nie stało ze Stanisławem, którego kanonizowano dopiero po dwustu prawie latach na podstawie powstałej stosunkowo późno legendy, znaczy to, że w swym sporze z królem nie występował on wcale jako reprezentant Kościoła i że śmierć spotkała go nie jako biskupa, ale z innych jakichś przyczyn.

Jakich? Tego wprawdzie ze względu na brak źródeł nie wiemy, ale możemy się domyślać. Biskup Stanisław był Polakiem, przedstawicielem miejscowego rodu możnowładczego. W odróż-



Paliusz, oznaka godności i władzy arcybiskupiej

Jest to wełniana taśma śnieżnej białości, którą wkłada się na ramiona; jej końce opuszczają się na piersi i plecy. Według przepisów kościelnych białe baranki, które dają wełnę na paliusze, są poświęcane w dniu 21 stycznia w bazylice św. Agnieszki w Rzymie, po czym wiezie się je karetą do papieża, by je pobłogosławił. Pozostają następnie pod opieką wybranych specjalnie przez papieża zakonnic i w Wielką Środę są strzyżone

nieniu więc od biskupów pochodzenia cudzoziemskiego, którzy — w Polsce izolowani od społeczeństwa — służyli wiernie wspólnym wówczas interesom Kościoła i monarchy, Stanisław „ze Szczepanowa" powiązany był z jakimś określonym środowiskiem możnowładztwa świeckiego i reprezentował jego dążenia polityczne. Możnowładztwo zaś niechętnym już okiem patrzyło na silną władzę królewską, potrafiło przeciw monarsze intrygować i spiskować, a nawet czasem otwarcie się buntowało. Widocznie bliskie związki biskupa z kołami opozycji możnowładczej ściągnęły nań zarzut zdrady i karę, jaką prawo przewidywało dla łamiących obowiązek wierności królowi.

Opozycja biskupa Stanisława nie była więc przejawem konfliktu między Kościołem a państwem, o czym wtedy jeszcze nie ma w Polsce mowy, lecz stanowiła fragment coraz częstszych buntów świeckiego możnowładztwa przeciwko władzy królewskiej. W miarę jak przybywało biskupów pochodzenia polskiego, ten i ów z nich mógł oczywiście solidaryzować się ze swymi bliskimi i przeciwstawiać się swemu panu. Czynił to jednak w imię własnych interesów świeckich, osobistych czy rodzinnych, nie zaś jako przedstawiciel Kościoła.

Pod tym względem Polska za czasów Bolesława Śmiałego i jeszcze przez cały prawie wiek następny różniła się od Europy Zachodniej. Tam od wystąpienia Grzegorza VII rosła samodzielność Kościoła i przeciwstawiał się on coraz silniej władzy świeckiej. Ograniczenie wpływu monarszego na miano-

wanie biskupów sprawiało, że ci ostatni przestali być podporą tronu, stawali się natomiast coraz bardziej posłusznymi wykonawcami woli papieży i reprezentantami dążeń politycznych Rzymu. W Polsce inaczej. Utrzymywały się tradycyjne uprawnienia książąt, którzy na stolice biskupie wprowadzali miłe sobie i oddane osoby. Kościół polski zachowywał niezależność od Rzymu i wiele zarządzeń papieskich nie było tu wcale honorowanych. Bez żadnych konsekwencji przeszła próba papieża Innocentego II, aby Polskę podporządkować metropolii magdeburskiej, i wobec oporu polskich biskupów papiestwo musiało zaakceptować stan istniejący. Nie przyjmowały się też reformy gregoriańskie: ksiądz żonaty, otoczony gromadką dzieci, był nadal normalnym zjawiskiem, choć na Zachodzie celibatu duchowieństwa już ściśle przestrzegano.

Charakterystyczny dla stosunków kościelnych w Polsce jeszcze w XII wieku jest następujący epizod.

W pierwszym roku rządów Bolesława Krzywoustego papież Paschalis II przysłał metropolicie gnieźnieńskiemu, Marcinowi, paliusz arcybiskupi. Przy jego wręczeniu miał arcybiskup złożyć, zgodnie z przepisami prawa kościelnego, przysięgę wierności papieżowi. Marcin jednakże zdziwił się bardzo usłyszawszy to żądanie i przedstawił sprawę księciu. Książę po naradzie ze swym otoczeniem zabronił arcybiskupowi składania jakichkolwiek przysiąg. Na próżno wysłannicy papieża tłu-



Strój pontyfikalny arcybiskupa. Zwróćmy uwagę na paliusz

maczyli, że ta przysięga jest warunkiem otrzymania paliusza, bez paliusza zaś nie można mieć pełni władzy metropolitalnej, nie wolno wyświęcać biskupów ani zwoływać synodów. Na wszelkie perswazje arcybiskup odpowiadał, że jest obowiązany do wierności swemu księciu i nikomu innemu podobnej przysięgi złożyć nie może.[1]

Nawet jeszcze po śmierci Krzywoustego, w początkach rozbicia dzielnicowego Polski, pierwsze próby ingerencji papieskiej w wewnętrzne sprawy państwa natrafiły na zdecydowany opór polskich biskupów. Gdy bowiem po wygnaniu z kraju księcia Władysława II papież wziął go w obronę, a przysłany do Polski legat papieski, kardynał Gwido, rzucił klątwę na tych, którzy orzeczeniu Stolicy Apostolskiej się nie poddadzą, cały episkopat Polski z arcybiskupem gnieźnieńskim na czele wyrok ten zlekceważył i nie uległ nawet po osobistych napomnieniach papieża.

Poczucie suwerenności państwa polskiego było więc aż do połowy XII wieku powszechne w Kościele polskim i nie jest nam znany ani jeden wypadek z tego okresu, który by świadczył o wpływach jakichś ośrodków czy instytucji obcych na postępowanie polskiego duchowieństwa. Pod tym względem nie było różnicy między klerem rodzimego pochodzenia i klerem napływowym: jedni i drudzy uważali się przede wszystkim za sługi państwa.

W ostatnich dziesiątkach lat tego okresu książę mógł być za to mniej pewny poparcia ze strony Kościoła przeciw opozycji wewnętrznej. Jeśli za pierwszych Piastów obcy stosunkom miejscowym biskupi widzieli słusznie swego najpewniejszego opiekuna w monarsze i starali się wobec tego autorytet książęcy czy królewski wynieść jak najwyżej, to w miarę postępów chrystianizacji kraju sytuacja powoli się zmieniała. Możnowładcy niechętni księciu nie mogli już być podejrzewani o sympatie pogańskie, byli równie dobrymi chrześcijanami jak

---

[1] Oparliśmy się tu na liście papieża Paschalisa II (*Kodeks Wielkopolski*, I, nr 5), o którym wielu badaczy sądzi, że nie odnosi się do Polski, lecz do Węgier. Mniemania tego nie podzielamy.

dwór książęcy, coraz częściej sami patronowali różnym przedsięwzięciom kościelnym, fundowali kościoły i wyposażali je zarówno pieniędzmi, jak i ziemią. Na najwyższych stanowiskach kościelnych w Polsce zmniejszała się szybko liczba cudzoziemców, wypieranych przez przedstawicieli polskich rodów rycerskich. Na stolicy krakowskiej na przykład od czasu biskupa Stanisława zasiadali przez dłuższy czas sami Polacy. Ludzie ci, związani z kręgiem społecznym, z którego wyszli, dzielili jego poglądy i w razie ewentualnego konfliktu między swymi świeckimi krewnymi a księciem mogli łatwo zachwiać się w bezwzględnej wierności wobec monarchy.

Nie musiało to się zdarzać często. Książęta obsadzając według własnego uznania stolice biskupie, zwłaszcza zaś metropolię gnieźnieńską, dobierali przecież kandydatów spośród ludzi wypróbowanych, ze środowisk najbliższych dworowi. Jeżeli więc mogła się zdarzyć taka sprawa, jak bunt biskupa Stanisława, to w każdym razie nie była ona regułą postępowania biskupów, lecz przeciwnie — bardzo jaskrawym wyjątkiem.

Typowym przykładem zachowywania się kierowników polskiego Kościoła wobec walk wewnętrznych w kraju może być postawa wspomnianego już Marcina, arcybiskupa gnieźnieńskiego z czasów Władysława Hermana i Bolesława Krzywoustego. Przeżył on kilka wojen domowych: najpierw bunty synów Hermana przeciw ojcu, po śmierci zaś tegoż walkę braci — Zbigniewa i Bolesława — między sobą. Za każdym razem starał się odegrać rolę pośrednika i zapobiec rozlewowi krwi lub nie przemyślanej zemście zwycięzców. Stanowiska jego nie można mimo to jednak nazwać neutralnym. Za życia Władysława Hermana stał przy nim, tak że u kronikarza Galla zyskał sobie epitet „wiernego starca”. Później równie wiernie służył starszemu z synów Władysława, Zbigniewowi, aż Bolesław Krzywousty podczas walk z bratem wolał go dla pewności uwięzić. Dopiero po klęsce Zbigniewa podporządkował się Marcin młodszemu księciu. Postępowanie Marcina było więc konsekwentne: arcybiskup opowiadał się zawsze po stronie legalnego księcia i nigdy nie stawał w obozie buntowniczym.

Zupełnie inaczej będzie w następnym okresie naszych dziejów, w czasach rozbicia dzielnicowego Polski. Wówczas biskupi solidarnie z całym możnowładztwem będą starali się osłabić władzę książąt i często zobaczymy ich wśród przywódców różnych buntów. Na głowy Piastów posypią się wtedy klątwy dostojników Kościoła, a ideałem biskupa zostanie ogłoszony Stanisław „ze Szczepanowa", którego kult szerzyć się będzie w Polsce na przestrogę książętom. Ale to już dzieje innego okresu, którym tu się nie zajmujemy. W okresie początków polskiego chrześcijaństwa Kościół był częścią państwa i dobrze służył monarchii.

Że tak rozumiano wówczas wzajemny stosunek państwa i Kościoła, odczytać można z następującej ciekawej refleksji kronikarza Galla, cudzoziemskiego mnicha przebywającego na dworze Bolesława Krzywoustego:

„Tak jak święci mężowie czczeni są dla swych dzieł dobrych i cudów, tak też królowie ziemscy i książęta wywyższani są zwycięskimi wojnami i triumfami; a jak zbożną jest rzeczą w kościołach głosić kazania o żywotach świętych i męczeństwach, tak chwalebnym też jest w szkołach i pałacach wysławiać triumfy i zwycięstwa królów i książąt; a jak żywoty świętych i ich męczeństwa, opowiadane po kościołach, skłaniają myśli wiernych ku religii, tak dzieła rycerskie i zwycięstwa królów i książąt, rozgłaszane po szkołach i zamkach, zagrzewają umysły rycerzy do dzielności. Również jak pasterze Kościoła Bożego powinni szukać korzyści duchowej dla dusz wiernych, tak obrońcy kraju starają się rozszerzać jego honor i sławę, i doczesną chwałę. *Godzi się bowiem, by słudzy Boga w tych rzeczach*, które dotyczą Boga, duchem posłuszni byli Bogu, zaś w tych, *które są cesarza, okazywali cześć i pełnili służby książętom świata*".[1]

---

[1] Anonim, tzw. Gall, *Kronika polska*, str. 141.

Rozdział dziewiąty

NOWE OBYCZAJE

Chociaż biskupi byli posłuszni swym monarchom, nie znaczy to, by sami nie wywierali także wpływu na nich. Książę szanował dostojników Kościoła jak równych sobie, bo przecież byli pomazańcami bożymi i reprezentowali władzę duchowną. Nawet tak potężny władca jak Chrobry oddawał im honory książęce. Za przykładem panującego szło jego otoczenie i niewielu lat było potrzeba, by w środowisku możnowładczym i rycerskim autorytet biskupi stał się mocno ugruntowany.

Chrześcijaństwo, które długo nie mogło wyprzeć wierzeń i obyczajów pogańskich u ludu, w „górnej" warstwie społeczeństwa przyjęło się i wywierało poważny wpływ kulturalny. Kościół niósł z sobą kult określonych świętych, którzy mieli służyć za wzory dla wiernych, i w miarę rozpowszechniania się tego kultu niektóre nowe obyczaje, obce dawniej Słowianom, przyjmowały się w Polsce.

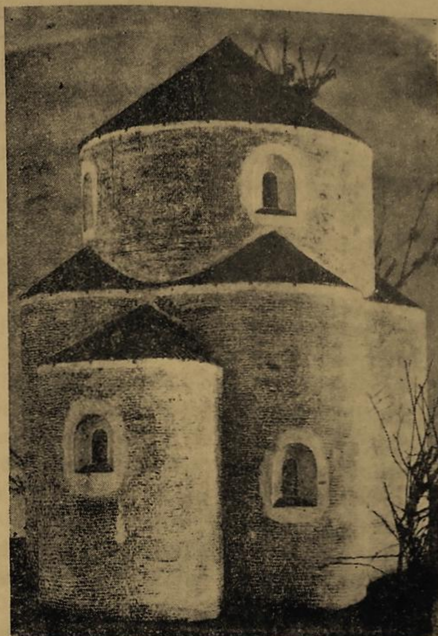
Święci, których w X—XII wieku czczono w naszym kraju, byli bliscy możnym i rycerstwu. Kościołowi polskiemu w tym okresie zależało głównie na chrystianizacji tych właśnie warstw społecznych, nie propagował on więc patronów wywodzących się z gminu, lecz ukazywał ideał dobrego chrześcijanina na przykładzie ludzi znakomitych tak pod względem pochodzenia, jak majątku i znaczenia w świecie. Niektórych z nich już poznaliśmy. Święty Wojciech był synem książęcym, spokrewnionym z kilkoma dynastiami panującymi. Święty Bruno

z Kwerfurtu był możnym grafem, posiadającym równie świetne koligacje. Święty Benedykt-eremita pochodził ze znakomitej rodziny włoskiej z Benewentu. Jego towarzysz, Jan, był w życiu świeckim towarzyszem weneckiego księcia Piotra Orseolo, który później zasiadł także na tronie węgierskim. Wszyscy oni należeli więc do najwyższej arystokracji, obracali się wśród królów i książąt zarówno w okresie życia świeckiego, jak i po przyjęciu sukni duchownej, znali osobiście cesarza i byli jego ulubieńcami.

Z patronów obcych, czczonych już wcześniej w Kościele, wielkim powodzeniem cieszyli się na terenie Polski święty Jerzy, święty Maurycy, święty Wacław, święty Lambert, święty Wawrzyniec, a wszyscy oni reprezentowali też „górę" społeczną. Święty Wacław, pod którego wezwaniem wzniesiono pierwszą katedrę krakowską, był panującym księciem Czech. Święty Jerzy zaś, któremu już Mieszko I poświęcił kościół w Gnieźnie, to ulubiony patron rycerstwa. Wizerunki przedstawiają go na koniu, uzbrojonego, a nawet walczącego ze straszliwym smokiem, zagrażającym pięknej dzieweczce.

Kult świętych zastąpił panom polskim dawny kult bogów pogańskich. Jak niegdyś Słowianie nieśli przed wojskiem posągi lub symbole bóstw, tak teraz zjawiły się w wojsku krzyże, a poszczególne pułki miały swych patronów. Pułk gnieźnieński na przykład zwany był pułkiem świętego Wojciecha. Za czasów Krzywoustego — jeśli wierzyć Gallowi — wśród rycerstwa wyruszającego na wyprawę wojenną uwijali się biskupi rozdając błogosławieństwa i zagrzewając do boju, przed bitwą zaś całe wojsko wysłuchiwało mszy polowej, a rycerze przystępowali do komunii.

Dawniej poszczególne ziemie i rody miały własnych, lokalnych bogów. Teraz chrześcijaństwo było religią ogólnopaństwową, ale stare przyzwyczajenia sprawiły, że niektóre możne rody obierały sobie patrona spośród świętych i same organizowały jego kult. Tacy więc Gryfici upodobali sobie świętego Klemensa. Jego imię nadawali dzieciom przy chrzcie, stawiali mu posągi i kaplice, starali się zapewne o jego relikwie.



Rotunda św. Feliksa i Adaukta na Wawelu,
z końca X w., pierwotnie Najśw. Marii Panny

Cześć relikwii świętych i handel nimi, rozpowszechniony na Zachodzie, łatwo bowiem przeniknął do Polski. Zastąpiły one w pewnym stopniu pogańskie amulety, choć całkowicie ich nie wyparły. W każdym razie relikwiom przypisywano moc nadprzyrodzoną, toteż posiadanie ich stawało się ambicją ludzi bogatszych i znaczniejszych. Starano się otrzymać je jako nagrodę za zasługi dla chrześcijaństwa albo też kupowano za drogie pieniądze. Wielkie zapotrzebowanie na nie i naiwna wiara sprzyjały fałszerstwom, w których wyniku bardziej po-

pytne relikwie cudownie się rozmnażały, tak że z czczonych w Europie szczątków ciał niektórych męczenników można by złożyć nieraz po kilkanaście ich postaci, a i te musiałyby mieć więcej niż po pięć palców u rąk i podwójne uzębienie.

Jak bezkrytycznie podchodzono do owych przedmiotów kultu, niech poświadczy lista ofiar Bolesława Krzywoustego i jego żony Salomei dla klasztoru w Zwiefalten nad Dunajem. Wśród innych kosztownych darów mnisi otrzymali:

„...rękę świętego Stefana męczennika ze skórą, ciałem i paznokciami, wyjąwszy kciuk, ponadto 90 innych świętych relikwii, między którymi szczególnie wyróżniały się: duża cząstka krzyża świętego, ząb świętego Jana Chrzciciela, ząb świętego Pankracego, ząb świętej Cecylii, *trochę krwi Chrystusa, mleka Maryi Panny* i łańcucha świętego Piotra..." [1]

Zakonnicy umieli te skarby właściwie zużytkować; jak poświadczył ich opat — „to wszystko zostało po większej części... sprzedane na rozmaite potrzeby".[2] O kupców nie było trudno wobec rosnącego zainteresowania możnych świętymi relikwiami.

Do kultu świętych należało wznoszenie im kościołów. W pierwszej fazie chrystianizacji fundatorami ich byli prawie wyłącznie książęta, już jednak w XII wieku powstały także fundacje prywatne. Wiemy, że wznosił kościoły wojewoda Władysława Hermana, potężny Sieciech. Śląskiemu wielmoży Piotrowi Włostowicowi legenda przypisuje ufundowanie aż siedemdziesięciu kościołów, a choć tak wielka ich liczba jest zapewne przesadzona, to sam fakt fundacji nie ulega wątpliwości.

Pierwotnie stawiano po grodach niewielkie kościółki, przeważnie rotundy, to znaczy budowle o kolistej podstawie, których średnica mierzyła kilka do kilkunastu metrów. Takim był kościół pod wezwaniem Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny w Gnieźnie, wzniesiony przez Mieszka I na miejscu, gdzie później stanęła katedra. Takim był krakowski kościółek świętego Feliksa i Adaukta. Do tejże kategorii zaliczają się powsta-

---

[1] G. Labuda, *Słowiańszczyzna pierwotna*, str. 282.
[2] Tamże.

jące jeszcze w końcu XI wieku kościoły świętego Idziego, do którego szczególne nabożeństwo miał książę Władysław Herman.

Już rozmiary tych świątyń przesądzały o ich przeznaczeniu. Nie miały do nich ściągać rzesze okolicznej ludności. Dwór książęcy, możnowładcy, załoga grodowa, w większych ośrodkach może jeszcze rzemieślniczo-handlowa ludność podgrodzia — oto oczekiwani wierni. To środowisko przyzwyczajało się do odwiedzania kościoła, słuchania mszy i kazania, przystępowania do sakramentów. Uczyło się prymitywnie pojmowanych zasad wiary, legend o świętych i czynionych przez nich cudach, przeznaczenia sprzętów kościelnych. I choć nie wszyscy biskupi i księża wykonywali dość gorliwie swoje obowiązki, choć niektórym z nich zarzucali papieże włóczęgę po kraju i zaniedbywanie swych właściwych siedzib, to przecież starczało duchowieństwa na to, by ową wyższą warstwę społeczeństwa wiązać z Kościołem. A i wspomniane włóczęgi biskupów nie były pozbawione znaczenia. Nie jeździli oni przecież po chatach wieśniaczych, ale obracali się wciąż w tym samym feudalnym kręgu, uczestnicząc w polowaniach, zabawach dworskich i ucztach, gdzie także mieli okazję urabiać otoczenie. Pomysł niejednej fundacji, niejednego pobożnego czynu, rodził się właśnie podczas towarzyskiego obcowania z lubianym dostojnikiem kościelnym, który pośród rozmowy umiał wpleść opowieść o wielkich cudach takiego to świętego lub o łaskach, jakie spłynęły gdzieś daleko na gorliwego w wierze rycerza.

Przenieśmy się na chwilę na dwór księcia Władysława Hermana i jego małżonki, Judyty czeskiej. Strapiona była para książęca i choć starała się gościom okazywać wesołe oblicze, przecież nikogo oszukać nie mogła. Wszak to pięć już lat mijało od książęcych zaślubin, a księżna pani wciąż wiotka, nie obiecuje potomstwa. Nie wypada wprawdzie o tym mówić, ale biskup poznański Franko wie, że myśli obecnych krążą wciąż koło tego zmartwienia. W stosownej więc chwili, gdy gwar biesiadników nieco przycichł, zaczyna swą opowieść człowieka bywałego:

— Jest pewien święty w granicach Galii ku południowi, około Marsylii, gdzie Rodan wpada do morza — ziemia zwie się Prowansją, a święty zowie się Idzi — który tak wielkie ma wobec Boga zasługi, że każdy człowiek, który z pobożnością swą ku niemu się zwraca i o nim pamięta, jeżeli o coś go poprosi, osiągnie to z całą pewnością.

Opowieść płynęła, biskup roztaczał przed zebranymi krajobraz odległego kraju i sensacyjne zdarzenia, o których tam zasłyszał. Para książęca zapamiętała jednak głównie pierwsze słowa. Jeśli taki wpływowy ów święty Idzi, to może i na ich strapienia pomoże? Trzeba będzie pomówić później z biskupem, niech poradzi, co czynić.

Biskup nazajutrz wezwany na poufną rozmowę przytwierdził, że wczorajsza jego opowieść zawierała najoczywistszą prawdę i zapewnił:

— Jeżeli jak najpobożniej wypełnicie, co wam powiem, to niewątpliwie pragnienie wasze się spełni.

Obiecał tedy książę solennie, że uczyni wszystko, co trzeba, niech jeno Franko nie zwleka z radą. A na to biskup:

— Zatem na podobieństwo chłopca sporządźcie posąg ze złota, przygotujcie dary królewskie i pospieszcie je posłać świętemu Idziemu.

Nie zwlekając wykonał to wszystko Władysław Herman i poselstwo książęce wyruszyło do Prowansji, by tam w klasztorze Saint-Gilles złożyć bogate dary. Tak się złożyło, że po roku Judyta rzeczywiście urodziła syna, Bolesława Krzywoustego.

Mieli teraz co opowiadać księża po dworach rycerskich! Już nie za morzami, za górami, ale tu, w ich kraju, wydarzył się oczywisty cud. Okazało się wyraźnie, że ze świętymi można skutecznie zawierać podobne umowy, jak starzy zawierali z bożkami pogańskimi. Jeśli ksiądz był tak wykształcony w wymowie, jak na przykład kronikarz Gall, to przedstawił rzecz jasno, popularnie i plastycznie:

— Odebrawszy dary, opat i braciszkowie... trzydniowy odprawili post z litaniami i modlitwami... Żywo! sługo Boży, orę-

downiku tej sprawy, spełnij, czego żądają wota twoich sług! Za chłopca daj chłopca, za fałszywego daj prawdziwego! Stwórz cielesnego, zachowując sobie złotego! Cóż więcej? Jeszcze postu mnisi w Prowansji nie dopełnili, a już matka w Polsce doznała radości poczęcia syna! [1]

Po takich opowiadaniach rosła gorliwość panów i rycerzy. Nie każdego z nich stać było na to, by złoto rozdawać na funty i budować kościoły. Ale biskupi i opaci przyjmowali chętnie także drobniejsze dary: a to jakiś sprzęt kościelny, byle ze szczerego złota, a to tkaninę drogocenną, najchętniej zaś wieś lub choćby jakiś kawałek ziemi, który by powiększył uposażenie kościoła.

Bylibyśmy jednak niesprawiedliwi, gdybyśmy sądzili, że łaskę świętych obiecywali księża wyłącznie za dary materialne. Nie. Nakłaniali również do modlitwy i umartwień, do bogobojnego życia, wzorowanego na życiu świętych patronów. Szczerość i natężenie modłów nie były tak łatwe do odmierzenia jak ilość ofiarowanego złota. Dlatego też nie każdy hojny ofiarodawca bywał przez świętych wysłuchany. Biskupi tłumaczyli wtedy, że widać winę za to ponoszą grzechy proszącego i jego nie dość gorliwa modlitwa.

Toteż modlono się coraz więcej, przedsiębrano pobożne pielgrzymki do świętych relikwii, poczynano się też bardziej liczyć z wymaganiami moralnymi chrześcijaństwa. Do bezwzględnie dodatnich osiągnięć Kościoła należało pewne złagodzenie obyczajów. Okrutne kary i sposoby wywierania zemsty, jak wyłupywanie oczu, obcinanie języka, kastrowanie, nie zanikły wprawdzie zupełnie, ale coraz częściej były odczuwane jako ciężka przewina, grzech, za który trzeba pokutować. Podniosło się też stanowisko społeczne kobiety, którą prawo pogańskie traktowało niemal jak niewolnicę, każąc jej nawet ginąć wraz ze śmiercią męża. Jeśli bowiem wierzyć świadectwu Thietmara. „po pogrzebie każdego męża, którego palono na stosie, obcinano głowę jego żonie i w ten sposób dzieliła ona jego los po

---

1 Anonim, tzw. Gall, *Kronika polska*, str. 99.



Pasowanie na rycerza
Według rękopisu z XIII wieku

śmierci."[1] Przeciw obyczajowi temu Kościół występował ostro i — jak się zdaje — skutecznie.

Propagował też Kościół wśród możnych obowiązek opieki nad słabszymi i bezbronnymi. Spośród tych bezbronnych na pierwszym miejscu wymieniano wprawdzie właśnie sam Kościół, niemniej jednak pojęcie to obejmowało także kobiety, zwłaszcza wdowy, oraz sieroty. Ubogich zalecano wspierać jałmużną. Za pośrednictwem Kościoła została przeszczepiona z feudalnego Zachodu na teren Polski instytucja rycerstwa, pojętego nie tylko jako zawód, lecz jako godność przysparzająca zaszczytu, ale i nakładająca określone obowiązki. Nadanie młodzieńcowi szlachetnego pochodzenia tytułu rycerza, czyli ceremonia tak zwanego pasowania na rycerza, polegająca na wręczeniu kandydatowi miecza z pasem rycerskim, łączyła się z obrzędem o charakterze religijnym. Kandydat na rycerza przystępował najpierw do komunii, następnie zaś składał przysięgę, w której obiecywał, że będzie wiernie służył Kościołowi

[1] *Kronika Thietmara*, str. 582.

i swemu monarsze oraz że będzie bronił słabszych i służył im opieką. Ze względu na ten mieszany, świecko-kościelny charakter pasowania na rycerza nazywano ten obrzęd „ósmym sakramentem". Wiemy, że w Polsce był on stosowany na pewno za czasów Władysława Hermana. Nie mamy natomiast niestety żadnych danych, by ocenić, czy ów kościelny ideał rycerza wpływał istotnie na obyczaje polskiego możnowładztwa. W szczególności można wątpić, by pod wpływem chrześcijaństwa uległ jakiejś wybitniejszej poprawie stosunek możnych do ludu.

Sam Kościół zresztą, równając ludzi w szansach osiągnięcia pośmiertnego szczęścia w niebie, na ziemi nie zacierał bynajmniej różnic społecznych. Kiedy Gall w swej kronice roztacza przed nami wyidealizowany obraz Bolesława Chrobrego jako nie tylko potężnego, ale i świętego władcy, podaje jako jedną z jego trzech największych cnót — obok pobożności i sprawiedliwości — że „dostojników i cały lud miłował", ale: „z należytym rozróżnieniem."[1] Nie wypadałoby bowiem, w pojęciach owych czasów, by król miał kochać lud tak samo, jak możnych dostojników.

Podobne „należyte rozróżnienie" spotykamy także u innych pisarzy tej epoki. Oto Thietmar kreśląc w swym testamencie wizerunek idealnego biskupa zwraca się do swego następcy z takim charakterystycznym napomnieniem:

— Bogatych w swej diecezji traktuj z szacunkiem, biednych zaś z łaskawością i miłosierdziem![2]

Cóż, tak tylko mógł wyglądać kompromis między ewangelicznym nakazem miłości bliźniego a feudalnym poglądem na świat klasy panującej, do której należeli przecież dostojnicy kościelni. Na tle ówczesnej epoki trzeba im poczytać za zasługę, że stojąc u szczytu drabiny społecznej i przemawiając do możnych, uwzględniali w ogóle w swych kazaniach i naukach jakieś obowiązki w stosunku do owych „biednych". Pewnym też efektem tych nauk było rozpowszechnienie się zwyczaju

1 Anonim, tzw. Gall, *Kronika polska*, str. 80.
2 *Kronika Thietmara*, str. 596.

dawania jałmużny, co zaświadczają liczne źródła; co prawda, w niektórych przynajmniej przypadkach „jałmużną" nazywano także darowizny na rzecz kościołów i duchowieństwa.

Hojność leżała podobno już w charakterze pogańskich Słowian, nie tak więc trudno było nakłonić bogatych wielmożów polskich do imponujących darowizn i takiej czy innej jałmużny. Na znacznie większy opór natrafiał propagowany przez średniowieczny Kościół ideał ascezy. Wspominaliśmy już przy innej okazji, jak niechętnie słuchali początkowo panowie słowiańscy o postach. W ciągu dwu wieków, z pomocą władzy państwowej, udało się jednak przyzwyczaić możnych do tych niepopularnych wyrzeczeń. Co więcej, strach przed karami kościelnymi, a w ich konsekwencji — przed piekłem po śmierci, skłaniał możnych nawet do poddawania się rzeczywiście ciężkim rygorom pokutnym za popełnione zbrodnie. Oto jak według naocznego świadka miał pokutować Bolesław Krzywousty za śmierć brata:

„...pościł od mięsa, leżąc wytrwale na ziemi w popiele i włosiennicy, wśród strumieni łez i łkań... wyrzekł się towarzystwa ludzkiego i rozmowy, mając ziemię za stół, trawę za ręcznik, czarny chleb za delicje, a wodę za nektar! ...Zarządzał codziennie śpiewanie psalmów i odprawianie mszy za grzechy i za zmarłych, i z wielkim miłosierdziem niósł ulgę nędzarzom, karmiąc ich i odziewając.

Jeszcze jeden bardzo odpowiedni środek pokuty zastosował Bolesław... Mianowicie... dokonał pielgrzymki do świętego Idziego i świętego króla Stefana z największą pobożnością... I przez wszystkie dni owego postu czterdziestodniowego byłby pościł, poprzestając na posiłku samym tylko chlebem i wodą, gdyby ze względu na trudy pielgrzymki nie skłaniali go do łamania owego postu biskupi i opaci mszami świętymi i modlitwami. Co dzień też od miejsca noclegu tak długo szedł bosymi stopami wraz z biskupami i kapelanami, aż skończył odmawianie godzinek o Najświętszej Pannie, dziennych godzin kanonicznych i siedmiu psalmów pokutnych z litanią... A taką pobożność i gorliwość okazywał także w obmywaniu nóg ubogim i dawa-



Kościół św. Idziego w Inowłodzu, fundowany przez Władysława Hermana w końcu XI wieku

niu jałmużny, że nikt potrzebujący wsparcia nie prosił go bezskutecznie o zlitowanie...

Z takąż pobożnością duchową i pompą świecką dokonał Bolesław powrotu ze swej pielgrzymki, jednakże wracając do swego królestwa nie wyrzekł się od razu trybu życia pokutniczego i stroju pielgrzymiego, lecz wytrwał w tym samym charakterze pielgrzymim dalej, udając się aż do grobu świętego męczennika Wojciecha, by tamże odprawić uroczystość Wielkiejnocy. Im bliżej z każdym dniem dochodził do stolicy świętego męczennika, tym pobożniej wśród łez i modlitw postępował naprzód bosymi stopami. Gdy zaś przybył do miasta i grobu świętego męczennika, jakże ogromne rozdał jałmużny ubogim, ileż ozdobnych kosztowności złożył na ołtarzach kościoła!... W stosunku zaś do biskupów swoich, książąt, kapelanów i rycerzy tak okazale i hojnie uświetnił rozdawnictwem darów ową

świętą i przesławną Wielkanoc, że każdy z możniejszych, jak nie mniej z pomniejszych, otrzymał od niego kosztowne i ozdobne szaty."[1]

Kronikarz pragnął przedstawić pokutę księcia w możliwie najlepszym świetle i nie unikał przesady. W rzeczywistości Krzywousty nie umartwiał się nadmiernie, co zresztą potwierdzają różne napomknienia w tekście. Czytamy w nim przecież, że książę miał tylko intencję rygorystycznego obchodzenia Wielkiego Postu, ale sami biskupi go przed tym powstrzymali. Rzekome trudy pielgrzymki do klasztorów węgierskich także inaczej ocenimy, jeśli zwrócimy uwagę na następujący fragment jej opisu:

„Przez całe Węgry przyjmowany był ogromnie religijnie przez biskupów, opatów i prepozytów i z niesłychaną okazałością, a nader skrzętnie przygotowywano dlań wszelką posługę świecką... Wszędzie towarzyszyli mu urzędnicy królewscy i służba, a specjalni powiernicy mieli uważać i dawać znać królowi, gdzie gorliwsze, a gdzie opieszalsze dla Bolesława przygotowano przyjęcie."[2]

Nie trwała też ta pokuta zbyt długo, gdyż biskupi „na każdej znaczniejszej uroczystości... odpuszczali mu cokolwiek z pokuty na mocy swej władzy kościelnej.[3]

Mimo tych wszystkich zastrzeżeń przytoczony opis pokuty Krzywoustego ma wartość dla nas, gdyż informuje, jak według ówczesnych wymagań Kościoła powinna wyglądać taka pokuta. Widzimy, że prócz hojnych darowizn na rzecz krajowych i zagranicznych kościołów składały się na nią pielgrzymki do miejsc świętych, modlitwy „wśród strumienia łez i łkań" oraz umartwienia ciała. Do tych ostatnich należały posty oraz zaniedbanie higieny, powszechnie uważane w średniowieczu za niezbędny element ascezy. Odnajdujemy je we wzmiance Galla, że Bolesław leżał w popiele „mając ziemię za stół, trawę za ręcznik".[4]

---

[1] Anonim, tzw. Gall, *Kronika polska*, str. 167—169.
[2] Tamże, str. 168.
[3] Tamże, str. 167.
[4] Tamże.

Wzory zachodnie szły pod tym względem dalej i były już odrażające. Oto jeden z przykładów, sławionych w kronice niemieckiej:

„Żyła za czasów króla Henryka w miejscowości zwanej Thrubizi pewna pustelnica, imieniem Sizu, odznaczająca się ogromną pobożnością... Przez sześćdziesiąt cztery lata, w odludnej części wspomnianego miasta, potrafiła ta czysta dziewica czynić ofiary ze siebie na rzecz niebieskiego oblubieńca i strzegła cnoty niepokalania więcej, niż ludzka pozwala na to ułomność. Przez cały ten okres nigdy nie walczyła z ostrym zimnem przy pomocy rozpalonego ogniska, a najsilniejszy środek ogrzewający, jakiego używała, polegał na tym, że zdrętwiałe już prawie ręce i nogi umieszczała gwoli ich ożywienia na ogrzanym z lekka kamieniu... *Nie otrząsała się z robactwa, które żarło ją nieustannie, a jeżeli samo odpadło, kładła je sobie z powrotem na ciało.*" [1]

W Polsce podobne przejawy pobożności spotykamy dopiero w XIII wieku. Przyszły one być może bezpośrednio z Niemiec. W każdym razie pierwszą znaną nam polską ascetką tego typu była święta Jadwiga, księżna śląska, żona Henryka Brodatego, a córka niemieckiego księcia Meranu. Według relacji swego biografa tak ćwiczyła się w pokorze:

„Często przechodząc tam, gdzie były chusty, którymi zakonnice po umyciu się obcierały ręce, miejsca, na których więcej widziała brudu nagromadzonego tym wycieraniem, z miłością i słodyczą... gorąco całowała, a czyniąc na tych brudem powalanych chustkach znak krzyża, przykładała je do oczu i piersi jak relikwie drogocenne. Nadto częstokroć wodą, w której zakonnice umyły nogi, myła oczy swoje i twarz całą, a nawet — co bardziej podziwienia godne — całą swą głowę i szyję i wnuczków swych maleńkich twarze i głowy wielokroć myła, silną mając nadzieję i wierząc, że świętość sióstr zakonnych, których ta woda dotknęła, tak jej i dzieciom wyjdzie na zbawienie.

...Siadlszy do jedzenia nie przyjęła wcześniej napoju, zanim

[1] *Kronika Thietmara*, str. 590—592.

z jej kielicha nie napił się ów biedak, który wśród innych nędzarzy wydawał się jej potworniejszy. Miejsca zaś, na których siadali żebracy, gdy to mogła uczynić potajemnie, dotykała wargami, całując je."[1]

Inną księżnę polską z końca XIII wieku, świętą Kingę, żonę Bolesława Wstydliwego, średniowieczny autor wychwala za to, że „nigdy przez całe swe życie nie używała ciepłej kąpieli w wannie czy w łaźni, ani też żadną wodą nigdy twarzy nie myła, chyba z powodu komunii świętej lub wielkiej konieczności."[2]

W pierwszych wiekach polskiego chrześcijaństwa takie formy ascezy budziły jednak zbyt silne obrzydzenie w społeczeństwie, aby mogły się przyjąć. Słowianie dbali wtedy o czystość ciała i kąpiel była ich pierwszą potrzebą. Zabiegi higieniczne weszły nawet do rytuału niektórych obrzędów pogańskich. Obcych wędrowców, między innymi kupców arabskich, uderzały liczne łaźnie w krajach słowiańskich. Toteż przyzwyczajenia do czystości nie mogły tak łatwo zniszczyć mody religijne z Zachodu.

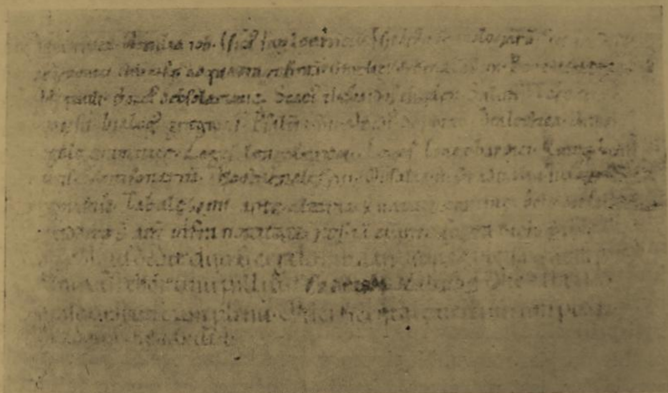
Brano natomiast chętnie z zagranicy to, co było rzeczywistym postępem. Przede wszystkim więc rozwojowi polskiej kultury umysłowej chrześcijaństwo dodało bodźca. Uczeni księża przynieśli ze sobą znajomość pisma, a jego znaczenie zostało zaraz w Polsce zrozumiane. Nic w tym dziwnego. Polska stawała się właśnie wielkim państwem, którym rządzić i administrować bez posługiwania się pismem było coraz trudniej. Już za pierwszych chrześcijańskich Piastów powstała zatem kancelaria książęca, w której zatrudnieni byli duchowni noszący tytuły kapelanów książęcych. Stąd wychodziły listy do obcych państw, tu gromadzono i wystawiano przeróżne dokumenty.

Ograniczenie znajomości pisma do kół duchownych nie trwało długo. Umiejętność tę pragnęli posiąść także świeccy, przede wszystkim książę i co rozumniejsi możni. Już Mieszko II był w niej zapewne kształcony, o jego zaś następcach wiemy na

---

[1] *Monumenta Poloniae Historica*, tom IV, str. 521 n.
[2] Tamże, str. 718.

pewno, że w młodzieńczym wieku posyłano ich do szkół klasztornych. Za czasów Władysława Hermana była już zorganizowana szkoła na dworze książęcym. Uczył w niej Otto, późniejszy biskup Bambergi i apostoł Pomorza Zachodniego. W zasadzie jednak szkoły mieściły się przy klasztorach, które w tych



Inwentarz biblioteki katedralnej w Krakowie z 1110 roku

wczesnych czasach były głównymi ośrodkami kultury umysłowej. W bibliotekach klasztornych gromadzono książki, cenne wtedy, bo ręcznie kaligrafowane i wspaniale zdobione. Mnisi benedyktyńscy zajmowali się między innymi żmudnym przepisywaniem ksiąg, aby powiększyć liczbę posiadanych egzemplarzy. Do największych bibliotek należał zbiór klasztoru benedyktynów w Tyńcu oraz zbiór katedry krakowskiej. Wielkość tego ostatniego szczęśliwie znamy, zachował się bowiem jego inwentarz z początków XII wieku. Figuruje w nim 48 pozycji, co na owe czasy nie było liczbą małą.

W klasztorach też i przy katedrach biskupich rodziło się polskie piśmiennictwo: zapiski rocznikarskie. W klasztorze zapewne pisał Bruno z Kwerfurtu żywot świętego Wojcie-

cha. Mnichem był autor pierwszej kroniki polskiej, zwany Gallem. W piśmie używano oczywiście języka łacińskiego, jak to było w zwyczaju w całej Europie Zachodniej. Gdyby nawet chciał ktoś wówczas pisać po polsku, nie potrafiłby tego dokonać. Alfabet łaciński ze swymi 24 znakami nie wystarczał na oddanie w piśmie bogatej głosowni polskiej. Nie było w tym alfabecie odpowiednich liter, aby wyrazić nimi spółgłoskę **ł**, samogłoski nosowe: **ą**, **ę**, zmiękczenia: **ć**, **ń**, **ś**, **ź** oraz wiele jeszcze głosek dziś już w naszym języku zanikłych, jak na przykład tak zwane samogłoski pochylone, które jeszcze nasi dziadowie w końcu XIX wieku wymawiali i w piśmie zaznaczali. Wielu wieków było potrzeba, by przystosować ten zapożyczony alfabet do naszego języka. We wczesnym średniowieczu piszący mieli nie lada kłopot, gdy trzeba było zanotować jakieś imię lub miejscowość słowiańską. Wychodziły z tego zupełne dziwolągi, których dziś nieraz nie potrafimy zrozumieć mimo starań uczonych. Ot, napisał jeden z kronikarzy, Widukind, że Licicaviki byli podlegli Mieszkowi I, i dotąd głowią się historycy, o jakim plemieniu jest mowa. Napisano o tym kilkadziesiąt poważnych artykułów, jest nawet cała książka poświęcona owym tajemniczym Licicavikom, ale te długie dyskusje do żadnego naprawdę pewnego wniosku nie doprowadziły.

Słyszeli zapewne niektórzy światli i bywali ludzie w Polsce, że jest alfabet specjalnie przystosowany do języków słowiańskich, wynaleziony już dawno przez Cyryla i Metodego. Ale po pierwsze alfabet ten łączył się jakoś ze sprawą potępionej przez Rzym liturgii słowiańskiej, po drugie zaś w świecie, w którym niewielu tylko ludzi umiało czytać, a książka była rzadkością, pismo słowiańskie nie było właściwie potrzebne. Któż by je czytał? Księgi kościelne były łacińskie i takimi być musiały. Kancelaria książęca prowadziła korespondencję z obcymi dworami, wystawiała dokumenty wagi nieraz międzynarodowej, oczywiście więc posługiwała się tym językiem, który dla wszystkich zainteresowanych był zrozumiały, to jest właśnie łaciną. Dopóki w kraju wśród szerszego społeczeństwa nie rozpowszechniła się szkolna oświata, a wraz z nią umiejęt-

ność i potrzeba czytania, dopóty literatura w języku polskim była zbędna, bo nie miałaby odbiorcy.

Nie jest więc to takie ważne, że we wczesnym średniowieczu nie pisano po polsku. Ważne jest to, że w ogóle pismo trafiło do Polski. Upatruje się w tym słusznie jeden ze skutków kulturalnych przyjęcia przez dwór polski chrześcijaństwa. Tak niewielkie zastosowanie miała bowiem wówczas książka w życiu świeckim, tak zaś konieczne były księgi dla ceremonii religijnych i kształcenia kleru, że Kościół był w całej Europie jedyną instytucją istotnie zainteresowaną w rozpowszechnianiu pisma.

Wpływy Zachodu, którym wrota do Polski otworzyło chrześcijaństwo, działały jednakże bardzo powoli, a w pierwszych wiekach kształtowały jedynie oblicze kulturalne i obyczajowe warstw wyższych. Ogół społeczeństwa był na nie bardziej odporny.

Nawet przecież religijne pojęcia chrześcijaństwa z trudem i bardzo powoli trafiały do ludu, a cóż dopiero mówić o nowych obyczajach! Kościół chcąc uzyskać wpływ na ludność musiał tolerować stary obyczaj i kulturę słowiańską. Próby walki z nią, które tu i ówdzie widzieliśmy, kończyły się zazwyczaj tragicznie i nie znajdowały naśladowców. Jedynie możliwą drogą chrystianizacji okazało się łączenie słowiańskich tradycji z chrześcijańskimi pojęciami religijnymi. Na czym to polegało, staraliśmy się wyjaśnić poprzednio między innymi na przykładzie obrzędu „sobótki": dawny obrzęd pogański nie stracił wiele ze swego charakteru, a tylko został związany z uroczystością kościelną. Mity i baśnie pogańskie, opowiadania o przyjaznych i nieprzyjaznych bóstwach, pieśni ludowe — to wszystko nie znikło bynajmniej z chwilą przyjęcia przez ludność nowej wiary. Zapominano tylko z wolna o pogańskim pierwotnie charakterze tych utworów. Nazwy bóstw zostały zastąpione przez imiona świętych, przez aniołów i diabłów, dawne motywy jednak trwały, wzbogacając się oczywiście nowymi szczegółami, czerpanymi z opowieści biblijnych, legend o cudach itp. Zjawiska takie są normalne w rozwoju każdego społeczeństwa i nie są przejawem wypierania jednej kultury przez drugą, lecz raczej



Zabytkowy kościółek św. Benedykta na Krzemionkach pod Krakowem

dowodzą siły rodzimej kultury, która wchłaniała nowe elementy nie tracąc nic ze swego słowiańskiego charakteru.

Przykry oczywiście fakt, że wobec późnego pojawienia się piśmiennictwa w języku polskim nie zostały utrwalone na piśmie żadne wczesnośredniowieczne pieśni czy opowiadania ludowe, nie jest też dowodem zubożenia kulturalnego naszych przodków pod wpływem chrześcijaństwa. Twórczość ludowa żyła w słowie przekazywanym z pokolenia w pokolenie. Czyż zresztą inne narody mają wiele tego rodzaju pomników? Nie, jest ich w ogóle mało, a te, które są, trudno uznać bez zastrzeżeń za utwory ludowe: ich rycerska tematyka — czy to w ruskim *Słowie o pułku Igora,* czy w niemieckich Nibelungach, czy w starofrancuskiej *Pieśni o Rolandzie* — każe je uważać raczej za świadectwa wyodrębniającej się kultury klasy panu-

jącej. Do dyskusji nadaje się też twierdzenie, że brak podobnych utworów w piśmiennictwie polskim jest rezultatem przyjęcia łacińskiego chrześcijaństwa. Francja bowiem, Niemcy czy kraje skandynawskie należały także do Kościoła rzymskiego, u nich tak samo jak u nas w Kościele i w piśmiennictwie oficjalnym panowała łacina, a jednak nie przeszkodziło to im ocalić i rozwijać swą twórczość rodzimą, a nawet część jej utrwalić na piśmie. Przypisywanie więc Kościołowi zbyt wielkiego wpływu — obojętne: dodatniego czy ujemnego — na oblicze kulturalne Polski wczesnośredniowiecznej nie wydaje się uzasadnione.

Nie należy lekceważyć znaczenia Kościoła i wpływów obyczajowych zachodniego chrześcijaństwa. Zbyt stara i rozwinięta była jednak polska, słowiańska kultura, by miała zamrzeć w zetknięciu z oddziaływaniem czegoś nowego.

Wprowadzenie chrześcijaństwa do Polski z inicjatywy własnych jej książąt, w warunkach niezależności politycznej, sprawiło, że kraj nasz nie stał się widownią walki dwóch obcych sobie kultur i nie stanął — jak słowiańskie Połabie — wobec groźby germanizacji. Rodzima kultura okazała się na polskich ziemiach dość silna, by wchłaniać stopniowo nowe elementy, nie tracąc nic ze swego słowiańskiego charakteru.

Ocenić możemy to teraz, z perspektywy tysiąca lat. Oblicze współczesnej kultury polskiej — tak jak każdej zresztą kultury — kształtowały w ciągu wieków najrozmaitsze wpływy i warunki historyczne. Wśród nich było oczywiście i chrześcijaństwo, odegrało ono też nie najmniejszą rolę. Dość jednak porównać nasz sposób życia i obyczaj ze sposobem życia i obyczajem Włochów czy Hiszpanów, aby stwierdzić, że wspólne tym narodom dziedzictwo chrześcijaństwa niknie wobec odrębności narodowych.

Te przeważające, rodzime cechy naszej kultury ludowej, którymi odróżniamy się od innych narodów świata, sięgają swymi początkami czasów znacznie dawniejszych niż mądra decyzja polityczna polskich książąt wprowadzających do kraju religię chrześcijańską.

ZAKOŃCZENIE

Przedstawiliśmy garść faktów i problemów związanych z początkami chrześcijaństwa w krajach słowiańskich, a w szczególności w Polsce. Nie wyczerpaliśmy ich. Ten okres naszych dziejów wymaga wciąż jeszcze nowych badań, które pogłębią jego znajomość. Już jednak to, co zawarliśmy w niniejszej książeczce, powinno posłużyć Czytelnikowi do zrozumienia roli i znaczenia historycznego tak zwanego „chrztu Polski".

Chrystianizacja Polski była długotrwałym procesem, który ciągnął się przez około dwa stulecia. Zapoczątkował go osobisty chrzest Mieszka I w 966 roku oraz budowa polskiej organizacji kościelnej w latach 968—1000. Decyzja książęca wynikła z dwóch różnych przesłanek: z potrzeb wewnętrznych młodego państwa polskiego i z wymagań ówczesnej polityki zewnętrznej Piastów.

Decydujące znaczenie miały tu względy wewnętrznopolityczne. Konsolidujące się dopiero państwo, powstałe z terytoriów o różnych tradycjach, nie mogło rezygnować z tak ważnego instrumentu oddziaływania ideologicznego na społeczeństwo, a przynajmniej na jego wpływowe warstwy, jakim jest jedna religia i jedna organizacja kultowa, powiązana z monarchią i jej uległa. Pogaństwo słowiańskie nie było religią odpowiadającą tym wymaganiom; przeciwnie — podtrzymywało raczej odrębności regionalne, które Piastowie chcieli przezwyciężyć. Przykład krajów sąsiednich wskazywał natomiast, że Kościół chrześcijański, podporządkowany wówczas niemal wszędzie władzy państwowej, może oddać poważne usługi w budowie i umacnianiu jednolitej monarchii.

Decyzję przyśpieszyły względy zewnętrznopolityczne. Rozra-

stająca się terytorialnie Polska Mieszkowa zaczęła się już bezpośrednio stykać z chrześcijańskim Zachodem i musiała jakoś z nim współżyć. Najbardziej korzystne było w tej sytuacji szybkie przyjęcie chrztu przez księcia polskiego, który w ten sposób uprzedzał ewentualny późniejszy nacisk ze strony niemieckich sąsiadów.

Chrzest Mieszka I odbył się zatem w zasadniczo odmiennych warunkach niż chrzest innych książąt zachodniosłowiańskich. Gdy tamci przyjmowali nową religię w ten czy inny sposób przymuszeni, Mieszko uczynił to z własnej inicjatywy. I chociaż nie mogło się przy tym obejść bez pośrednictwa jakichś kół niemieckich, książę polski dość łatwo jednak zdołał nawiązać bezpośrednie stosunki z Rzymem i uchronić się przed włączeniem swego kraju w obręb niemieckiej organizacji diecezjalnej.

Faktyczna siła państwa polskiego za Mieszka I i Bolesława Chrobrego pozwoliła następnie temu ostatniemu tak wyzyskać sprzyjające okoliczności i przypadki — jak choćby bytność świętego Wojciecha w Polsce przed jego misją pruską — że bardzo jeszcze powierzchownie schrystianizowana Polska nie tylko stała się odrębną prowincją kościelną, ale została uznana przez Zachód za aktywny ośrodek misyjny, dystansujący Niemcy. W średniowiecznej Europie, w której panującą ideologią było właśnie chrześcijaństwo, znaczyło to bardzo wiele. Opinia zasłużonego dla chrześcijaństwa władcy stała się dla Chrobrego poważnym i skutecznym atutem w jego umiejętnej grze politycznej, która doprowadziła najpierw do zjazdu gnieźnieńskiego w 1000 roku, a następnie do koronacji królewskiej.

Atutem tym potrafili się posługiwać również jego następcy, jak Bolesław Śmiały, czy zwłaszcza Bolesław Krzywousty, patron misji na Pomorzu Zachodnim.

Nie ma w tym nic dziwnego, że efekty przyjęcia chrztu przez władców Polski dają się zauważyć przede wszystkim w ich polityce zagranicznej. Na owoce chrystianizacji wewnątrz kraju trzeba było bowiem poczekać, aż nowa religia rzeczywiście w nim się ugruntuje. W szerzeniu nowej wiary wśród możnych

Kościół był aktywnie wspierany przez państwo i dzięki temu pogaństwo w tym kręgu społecznym rychło zanikło. Lud natomiast trwał jeszcze dość długo przy dawnych wierzeniach i ostateczna jego chrystianizacja dokonała się prawdopodobnie dopiero w ciągu XIII wieku.

Mimo to działalność Kościoła nawet w tym najwcześniejszym okresie nie pozostawała bez wpływu na sprawy wewnętrzne państwa. Organizacja kościelna uzupełniała aparat państwowy monarchii piastowskiej, a oddani księciu dostojnicy kościelni służyli mu lepiej i wierniej niż ambitni wielmoże świeccy. Chrześcijańskiemu możnowładztwu Kościół wszczepiał ideę posłuszeństwa władcom państwa. Koronując Bolesława Chrobrego i niektórych jego następców na królów, Kościół czynił z nich „pomazańców bożych", na których chrześcijanin nie mógł bez grzechu podnieść ręki.

O ówczesnej roli chrześcijaństwa mówimy więc w skrócie, że dawało ono ideologiczną sankcję, czyli ideologiczne uzasadnienie władzy monarszej. Dlatego było ono niezmiernie ważnym narzędziem w rękach pierwszych Piastów budujących i umacniających polskie państwo wczesnofeudalne.

Przykłady z dziejów niektórych innych ludów zachodniosłowiańskich, tych zwłaszcza, które z chrześcijaństwem zetknęły się w wyniku przegranych walk z Cesarstwem lub z książętami niemieckimi, wskazują, że nowa religia mogła odegrać też zupełnie inną, złowrogą rolę, mianowicie rolę ideologicznej sankcji obcego podboju i germanizacji. Fakt, że tak zwany „chrzest Polski" sprzyjał w X—XII wieku umocnieniu państwa polskiego na wewnątrz i na zewnątrz, nie wynikał więc z istoty chrześcijaństwa. Zadecydowały o tym sprzyjające okoliczności, a zwłaszcza rozum polityczny ówczesnych książąt Polski i ich doradców.